

Pracovní Město: Technická Úprava: Jan a Dana Štěrba, Praha

W. John G. Young

TOM HANKS PAUL NEWMAN JUDY LAW



DROGA DO ZATRACENIA

MAX ALLAN COLLINS

Na podkladě románu od DAVIDA SEIFA

film se režíruje SAMÁ MENDESÁ

ULTRA

MAX ALLAN COLLINS

Na podstawie scenariusza Davida Selfa
według komiksu Maksa Allana Collinsa i Richarda Piersa Raynera

DROGA DO ZATRACENIA

Przekład

Jan Hensel Tomasz Wilusz

Tytuł oryginału ROAD TO PERDITION

Dla Richarda i Deana Zanucków - ojca i syna, którzy wybrali wspólną drogę

Musisz wybrać drogę dla siebie.

Kazuo Koike

O Michaelu Sullivanie krąży wiele sprzecznych opowieści. Jedni powiadają, że był porządnym facetem; inni - że był zły do szpiku kości. Aleja spędziłem z nim sześć tygodni zimą 1931 roku. To właśnie nasza historia.

Jako dziecko przybył z rodzicami do Ameryki. Rodzina przez nieuwagę urzędnika, któremu omsknęło się pióro, na zawsze utraciła wtedy O przed nazwiskiem. Na nowo - przez przypadek - ochrzczeni Sullivanowie osiedlili się wkrótce w Rock Island w stanie Illinois, dokąd ciągnęło wielu emigrantów skuszonych widokami na pracę w fabrykach Johna Deere'a i Harwestera, a także w zakładach zbrojeniowych produkujących karabiny i czołgi.

Amerykańscy imigranci - - czy to irlandzkiego, czy włoskiego lub żydowskiego pochodzenia - szybko przekonywali się jednak, że lokalne władze zupełnie ich ignorują, a jedyna władza, z którą trzeba się liczyć, to rządy gangsterów. Przestępcze księstwka wyrastały więc w całej Ameryce jak grzyby po deszczu, zyskując nowe wpływy po wprowadzeniu prohibicji. Tri - Cities (Trójkąt Trzech Miast) - Rock Island i Modine w stanie Illinois oraz Davenport po drugiej stronie Missisipi w stanie Iowa - nie był wyjątkiem. Niemal niepodzielną władzę sprawował tu John Rooney.

Pochodzący z Irlandii Rooneyowie utrzymywali zaskakująco dobre i żywe kontakty z potężną włosko - sycylijską mafią Ala Capone. Sam John Rooney był z wykształcenia prawnikiem, a jego władza - przez większość lokalnej społeczności uważana za nieusuwalną - kojarzyła się prostym ludziom z dobrotliwym despotyzmem. Wraz z synem Connorem - uważanym powszechnie za błądy i raczej niewyraźny cień ojca - John Rooney miał w kieszeni policję i polityków.

Z perspektywy czasu trudno mi wyobrazić sobie mojego ojca biorącego udział w tak ciemnych i szemranych interesach. Michael Sullivan senior reprezentował typowe cnoty głowy rodziny - był spokojny, miłkliwy, niezawodny i godny szacunku; nigdy nie pił za dużo, nie szwendał się po burdelach. I jestem całkowicie przekonany, że naprawdę kochał moją matkę... swoją Annie.

A jednak mój ojciec miał także drugie oblicze. Choć nigdy o tym z nami nie rozmawiał, był dumnym weteranem. W 1916 roku wyjechał do Europy walczyć w Wielkiej Wojnie. Nauczył się posługiwać karabinem i zabijać ludzi tak biegle, że odznaczono go za odwagę. To, co było grzechem w oczach Boga, zdaniem Wuja Sama zasługiwało na nagrodę.

Gdy więc Michael Sullivan wrócił z wielkiej wojny, wiedział, jak się obchodzić z bronią, a pan John Rooney dał mu pracę. Sullivan dobrze mu służył, był lojalnym żołnierzem.

Układy mojego ojca z panem Rooneyem wiązały się z ich irlandzkim pochodzeniem. Bez względu na to, co złego pan Rooney robił i w jak ciemne interesy się mieszał, ludzie z Tri - Cities wiedzieli tylko, że stary pan Rooney miał dla naszych pracę - w swoich gazetach i restauracjach, w fabrykach, a nawet w rządowych zakładach zbrojeniowych. Dla mojego ojca - i wielu jego rówieśników - John Rooney po prostu był rzędem.

Nigdy nie orientowałem się dokładnie, co tata robił dla Rooneyów, wiedziałem tylko, że był w tym dobry. Mieszkaliśmy przecież w najokazalszym domu w mieście (oprócz rezydencji pana Rooneya), sam John Rooney traktował mojego ojca jak drugiego syna, a mojego młodszego brata Petera i mnie kochał jak wnuków. Uwielbialiśmy pana Rooneya - choć wyczuwaliśmy, że mama nie podziela naszego entuzjazmu - i domyślaliśmy się tylko, że tata robi dla niego coś niebezpiecznego... coś związanego z bronią. Jak Tom Mix albo Samotny Jeździec.

Zwykle tą bronią był kolt kaliber 0,45 cala. Widzieliśmy często - Peter - i ja - szpiegując ojca z dumą i oczarowaniem, jak wsuwał pistolet do skórzanej kabury pod marynarkę. Raz jednak zobaczyliśmy tatę z jeszcze bardziej imponującą bronią. Pamiętam, że ten widok stał się tematem wielu naszych nocnych rozmów.

Tamtego dnia podpatrywaliśmy, jak ojciec otwiera czarną lśniąca skórzaną walizkę o twardej ściankach, którą tak często nosił. Tylko raz, właśnie wtedy, mieliśmy okazję przyjrzeć się, co zawierała.

Lśniący czarny futerał mógł z powodzeniem kryć instrument muzyczny - skrzypce albo rożek angielski. Ale w wyłożonym pluszem, podzielonym na mniejsze schowki wnętrzu spoczywał rozłożony na części pistolet maszynowy typu Thompson. Ojciec szybko i sprawnie złożył je w jedną, budzącą postrach całość. Jako ostatni mocował z trzaskiem podobny do okrągłej puszki magazynek; potem zamknął wieko i walizeczka znowu sprawiała wrażenie zupełnie nieszkodliwej.

Pedałując zawzięcie na rowerze. Michael Sullivan junior - w ciepłych wełnianych rękawiczkach, z twarzą zakrytą do połowy szalikiem i z paczką gazet na ramieniu - wjechał na wzgórze i puścił się pędem w dół po szarej wstążce szosy przecinającej białą rozległą przestrzeń zimowego krajobrazu. Wkrótce opuścił usiane domkami przedmieścia i wjechał na teren dzielnicy przemysłowej. Mijając pozamykane fabryki - nawet wpływy pana Rooneya nie zdołały do końca powstrzymać kryzysu - kierował się w stronę jednego z ostatnich pracujących zakładów.

Wkrótce Michael - szczupły, niski jak na swój wiek, ze strzechą kasztanowych włosów - stanął u bram fabryki Johna Deere „a, której kominy buchały kłębami czarnego dymu. Z budynku zaczęli się wysypywać robotnicy, by posłuchać okrzyków małego gazeciara: „Mężczyzna ginie w wypadku w fabryce! Śmierć w fabryce!”

Fabryka Deere'a nie należała do miejsc, w których chłopak zwykle sprzedawał gazety. Przyjazd tu doradził mu pan McGowan ze sklepu Peerless, skąd Michael brał codziennie stosik „Rock Island News”. Siwiuteńki staruszek w okularach zarządzający sklepikiem - który należał oczywiście do Rooneya - powiedział, że robotników na pewno zainteresuje artykuł dnia.

Pan McGowan uraczył chłopca tą odrobiną życiowej mądrości z takim samym błyskiem w oku, z jakim częstował go zwykle oranżadą.

Zmęczeni pracą robotnicy rzeczywiście zaczęli sięgać do kieszeni po moniaki, by przeczytać o tym, jak Danny McGovern wpadł w tryby maszynierii w należącej do pana Rooneya rozlewni napojów gazowanych.

Nieunikniony tragiczny wypadek - głosił podtytuł. Michael zerknął na koniec artykułu, by przeczytać, że pan Rooney wspomniałomyślnie wypłacił rodzinie zmarłego równowartość jego dwuletniej pensji, czym dał dowód swojej „wrodzonej dobroci”. Rodziny nie było stać na zorganizowanie stypy w domu pogrzebowym, więc pan Rooney udostępnił własną rezydencję.

Dwunastoletni chłopak był wystarczająco obeznany z lokalną prasą, by wiedzieć, że „Argus” - jedyna licząca się konkurencja Rooneya na gazetowym rynku - przedstawi historię w zupełnie innym świetle. „Argus” nazywał Rooneya gangsterem, dodając zwykle inne równie niepochlebne epitety, a felietony w obu gazetach przypominały salwy wrogich, ostrzeliwujących się okrętów.

W ciągu niespełna dziesięciu minut Michael zarobił sporo grosza. Uśmiechnięty od ucha do ucha mimo ostrego mrozu, z zadowoleniem słuchając brzęku monet w kieszeniach, wskoczył z powrotem na rower. Włożył rękawiczki, owinął szyję szalikiem i popedałował z powrotem do miasta. Minął fabrykę Harwestera i jedną ze sponsorowanych przez pana Rooneya garkuchni rozdających bezrobotnym gorącą zupę, a potem skręcił w uliczkę biegnącą między dwoma wielkimi magazynami, zostawiając za plecami fabryczne kominy.

Tuż za kościołem św. Piotra, którego neogotyckie wieże górowały nad okolicą, puścił się w dół samym środkiem dwupasmowej Main Street i przyglądał wściekłym twarzom kierowców próbujących uniknąć wypadku. Uprawiał niebezpieczną jazdę między samochodami, od kiedy zaczął rozwozić gazety, i sprawiało mu to zawsze wielką frajdę.

Nawet na Main Street niektóre witryny były zabite deskami, a Michael często słyszał od ojca: „Mamy szczęście, że w tak ciężkich czasach jest nam tak lekko”. Ale nie dotyczyło to sklepu Peerless ani - skoro już o tym mowa - żadnego ze sklepów i restauracji pana Rooneya.

Postawił rower przed wejściem i wbiegłszy do środka, rzucił na ladę torbę z gazetami. Pan McGowan powitał chłopca lekkim skinieniem głowy i natychmiast zabrał się do liczenia niesprzedanych egzemplarzy. Rozluźniwszy szalik, Michael sięgnął do kieszeni i wysypał na ladę dźwięczące monety. Wciągnął głęboko powietrze, rozkoszując się zapachem cukierków, tytoniu i celulozy - jakże cudownym miejscem był ten sklepik!

Pan McGowan szybko przeliczył pieniądze, a potem łypnął na chłopca spode łba, unosząc jedną brew. Michael zrozumiał, że rachunek się nie zgadza. Z westchnieniem wsunął rękę do kieszeni i wygrzebawszy brakującą ćwierćdolarówkę, cisnął ją na ladę.

Sklepikarz uśmiechnął się krzywo, skinął głową i wrócił do rachunków. Gdy zajęty był odliczaniem skromnego zarobku Michaela, chłopak szybkim ruchem zwinął z wystawy torebkę tytoniu Bugler i wetknął ją niepostrzeżenie pod palto.

Z pobrzękującymi w kieszeni pieniędzmi wybiegł ze sklepu, wskoczył na rower i odjechał. Wkrótce skręcił w boczną uliczkę, rozejrzał się podejrzliwie dookoła i wydobył zza pazuchy drewnianą poobijaną fajkę, którą jego ojciec wyrzucił kilka tygodni temu. Nabił ją tytoniem, wyciągnął zapalnik i wprawnie zapalił.

Pykając z zadowoleniem fajeczkę, wyjechał ze śródmieścia i popedałował w kierunku przedmieść. Pomyślał z satysfakcją, że jest już właściwie dorosły.

Gdy wjechał na długi obsadzony drzewami podjazd domu Sullivanów, znowu zrobił się czujny. Wiedział, że powinien schować fajkę nim znajdzie się w zasięgu okien. Jeśli tata przyłapie go na paleniu, będzie miał przechłapanie.

Zwolnił, patrząc trwożnie przed siebie. Ten krótki moment nieuwagi wykorzystał skrytobójca, z morderczą precyzją posyłając śnieżkę prosto w czapkę Micheala. Chłopak stracił równowagę, runął na ziemię, a żarząca się fajka śmignęła w powietrze i z sykiem upadła na śnieg.

Zza drzewa wyłonił się ubrany w kombinezon dziesięcioletni Peter Sullivan - również niski na swój wiek. Śmiał się od ucha do ucha, uradowany, że udało mu się tak powalić brata.

Ale Michael przeżył wiele podobnych ataków i już lepił własną śnieżkę. Zrobił to tak zręcznie i szybko, że Peter nie miał nawet czasu uciekać; dostał śnieżną pigułą prosto w czoło. Runął na ziemię, przeturlał się i znieruchomiał, wbijając wzrok w niebo i wstrzymując oddech.

Michael też „nie żył” - leżał na plecach, wydychając ostatnie opary tytoniowego dymu.

Żaden z chłopców nie zauważył uśmiechającej się dobrodusznie kobiety w kuchennym oknie, ich matki Annie Sullivan. Z tej odległości nie dostrzegła fajki - gdyby było inaczej, uśmiech zmieniłby się w surową minę - wiedziała tylko, że te codzienne napady Petera na starszego brata są oznaką braterskiej miłości.

Annie - ładna, drobna, blisko czterdziestoletnia kobieta - cieszyła się, że chłopcy tak dobrze się dogadują. Często bracia rywalizują ze sobą, a nawet się nienawidzą, jej mąż zaś faworyzował Petera (który omal nie umarł podczas porodu), więc Michael mógł się czuć odtrącony i winić za to brata.

Annie usłyszała warkot forda sedana, którego przyjazd obwieszczał powrót do domu głowy rodziny. Co robi mały Michael? Orła na śniegu?

Chłopak - wciąż udając martwego - usiłował zagrzebać nogą fajkę, żeby ukryć ją przed wzrokiem ojca, który właśnie spojrzał w stronę chłopców, jadąc wielkim ciemnozielonym autem do garażu.

Peter od razu się poderwał i pobiegł za samochodem. Michael tylko patrzył. Gdyby ruszył za bratem, ojciec wyściskałby Petera i zmierzwił mu czuprynę, on zaś - i to jeśli miałby szczęście - zostałby powitany co najwyżej sztywnym skinieniem głowy. Uznał, że może się bez tego obyć.

Chłopcy odrabiali lekcje przy kuchennym stole, który nie został jeszcze nakryty do kolacji, a matka krzątała się przy piecu.

Michael zazdrościł bratu. Peter był pupilkiem nauczycieli, a teraz pisał coś w zeszytach tak szybko, jakby ołówek sam za niego myślał. Niech mnie, jak on to robi? - pomyślał Michael, ślęcząc nad zadaniami z matematyki. Poczul za plecami obecność matki; pachniała czystością i mydłem. Pochyliła się nad jego ramieniem i szepnęła z uśmiechem:

- Pomogę ci z tym później.

Michael odwzajemnił uśmiech, a matka pocałowała go w policzek.

- Idź po ojca - powiedziała, a potem poprosiła Petera, żeby sprzątnął książki i pomógł jej nakryć do kolacji.

W domu przeważały kolory żółty i zielony, kontrastujące z podłogą z ciemnego drewna. Buty Michaela dudniły głucho o deski, gdy wbiegał po schodach na piętro. Nie był to dom bogaczy, ale chłopak wiedział, że mieszka lepiej niż koledzy. Podobała mu się gładka powierzchnia drewnianej poręczy, lubił wodzić po niej dłonią.

Przez uchylone drzwi sypialni rodziców na piętrze Michael zobaczył ojca stojącego

naprzeciw dużej szafy z lustrem. Nawet bez wezwań mamy przygotowywał się do kolacji. Zdjął spinki do mankietów i włożył je do rzeźbionego drewnianego pudełeczka, rozwiązał prążkowany krawat i odwrócił się, żeby go położyć na łóżku. W końcu zdjął marynarkę, ukazując umocowaną pod ramieniem ciemną skórzaną kaburę i pistolet.

Chłopak nie wiedział, że to wojskowy kolt kaliber 0.45 - broń, którą Michael Sullivan senior przywiózł do domu z wielkiej wojny.

Zarówno pistolet, jak i kabura znalazły się wkrótce na łóżku, ale gdy pan Sullivan zaczął zdejmować kamizelkę, wyczuł obecność syna i rzucił ją pośpiesznie na broń.

W domu panowała niemal zupełna cisza. Mąciło ją tylko głośne tykanie stojącego na dole zegara dziadka. Michael czuł się w mrocznym korytarzu bezbronny jak robak, bał się, żeby ojciec na niego nie nadepnął i go nie zmiażdżył.

- Ojczy, kolacja na stole.
- Dziękuję, już idę.

Chłopiec pobiegł na dół, a Michael Sullivan senior - wysoki, muskularny szatyn o bladej cerze, błękitnych oczach i regularnych rysach - spojrzął w lustro. Mężczyzna naprzeciw niego zdawał się rozumieć, że syn potrzebuje więcej uwagi.

Przy stole w kuchni panowała typowa dla tej rodziny oficjalna atmosfera: ojciec w białej koszuli i matka w niebieskiej sukience siedzieli naprzeciwko siebie; chłopcy w milczeniu czekali na posiłek.

Michael zastanawiał się, dlaczego ojciec nie wspomniał jeszcze o fajce. Miał nadzieję, że mama o niczym się nie dowie.

- Michael - rzekł ojciec tonem bardziej szorstkim niż zwykle.

Chłopak spojrzął na niego błagalnie.

- Zmówisz modlitwę?

Michael odetchnął z ulgą. Pochylił głowę, splótł ręce i powiedział:

- Dziękujemy Ci, Boże, za dary, które będziemy spożywać. Prosimy Cię o błogosławieństwo w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Amen.

Wszyscy powtórzyli „Amen” i mama zaczęła podawać jedzenie. Przez cały czas Michael czuł na sobie spojrzenie ojca i tylko czekał, kiedy powie w obecności mamy o fajce. Ale nic takiego się nie stało. Kolejny dar od Boga - a w każdym razie od taty.

Po kolacji chłopcy poszli do salonu posłuchać słuchowiska radiowego o przygodach Samotnego Jeźdźca. Rodzice zabrali się do zmywania naczyń. Właściwie Annie zmywała, a pan Sullivan wycierał talerze.

- Au! - jęknęła w pewnej chwili. Właśnie myła noże.
- Co się stało?
- Skaleczyłam się.

Sullivan przemył palec żony zimną wodą, potem dokładnie obejrzał ranę.

- Nie jest głęboka - powiedział, sięgając po kawałek gazy. Opatrzywszy skaleczony palec, spojrzał głęboko w błękitne oczy żony i ucałował jej dłoń. - Lepiej?

Skinęła z uśmiechem głową.

Wrócili do zmywania. Z salonu dobiegały odgłosy radiowej strzelaniny.

Rezydencja Johna Rooneya znajdowała się przy Dwudziestej ulicy w Longview, elitarnej dzielnicy Rock Island, zamieszkaney głównie przez prawników, lekarzy i przemysłowców. Tę część miasta, położoną na wysokim wzgórzu, nazywano wówczas Pętlą Longview, tam bowiem wiodły trasy najpierw konnych tramwajów, a potem trolejbusów.

Chodziliśmy z bratem do prywatnej szkoły katolickiej Vii la de Chantal, która mieściła się niedaleko domu Rooneya. Jeszcze dzisiaj, kiedy myślę o wjeżdżaniu na rowerze na to wzgórze, bolą mnie nogi, a wtedy jeździło się po bruku.

Mimo bogactwa pan Rooney był społecznikiem i dobrym katolikiem. Większość bogatych Irlandczyków w Rock Island była oranżystami, a większość irlandzkich katolików - robotnikami, wykwalifikowanymi lub nie. Mój ojciec pochodził z biednej robotniczej rodziny i wychowywał się w okolicy zwanej Greenbush. Jako nastolatek należał do tamtejszego gangu, chociaż dzięki kościołowi Serca Jezusowego mógł również grać w drużynie bejsbolowej i uprawiać inne sporty.

Wciąż jednak, gdy patrzę wstecz, wyobrażam sobie ojca z tamtych lat jako nastoletniego chuligana. Gdy pan Rooney wziął go pod swoje skrzydła, zapewnił naszej rodzinie życie, o jakim moi prawdziwi dziadkowie nie mogli nawet marzyć.

Następnego popołudnia, w sobotę, stalowoszare niebo zwiastowało szybkie nadejście zmroku. Michaelowi nie uśmiechało się spędzenie wieczoru w towarzystwie trupa, ale wiedział, że sprzeciw nie ma sensu - zwłaszcza że tata nie powiedział nic o nieszczęsnej fajce... Ojciec wyprowadził samochód z garażu, podjechał pod dom i zostawił włączony silnik, aby w mroźny dzień rodzina mogła wsiąść do ciepłego auta. Michael pierwszy dołączył do taty. Gdy gramolił się na tylne siedzenie, ojciec obserwował go, patrząc w lusterko.

- Michael - odezwał się po chwili.

- Tak, ojcze?

- To stypa. Nie chcę widzieć tych kości. Rozumiesz? - Tak jest, ojcze.

Nieważne, że grę w kości inicjował ojciec chrzestny chłopców - pan Rooney. Dzisiaj miało nie być żadnego hazardu.

Michael zapytał ojca, czym się różni stypa od pogrzebu, a ten odpowiedział, że to taka... uroczystość.

- Dlaczego ktoś miałby uroczyście obchodzić czyjąś śmierć? - dopytywał się chłopak.

Ojciec zamyślił się, a potem wyjaśnił, że to takie pożegnanie zmarłej osoby.

Wkrótce ruszyli w drogę. Tata za kierownicą, obok mama, a z tyłu Peter i Michael - wszyscy w swoich najlepszych ubraniach. Chłopcy, podobnie jak ojciec, mieli na sobie trzyczęściowe garnitury i krawaty. Garnitur taty był czarny, krawat również, a mama włożyła granatową suknię, tak ciemną, że też wydawała się czarna.

- Tato - odezwał się Peter.
- Tak? - zapytał ojciec, nie odrywając wzroku od drogi.
- Znałeś go?
- Trochę.
- Jak umarł?
- Miał wypadek. Przy pracy.

Michael nie był zaskoczony. Wiedział, że to ten sam człowiek, o którym pisano wczoraj w gazetach.

- Co mu się stało? - zainteresował się Michael.
- Zakrztusił się fajką.

Michael omal nie wybuchł śmiechem, Peter też, ale matka wcale nie była rozbawiona. Spojrzała badawczo najpierw na męża, a potem na starszego syna. Na szczęście rzadko pytała ojca, co miał na myśli, ilekroć mówił coś tajemniczego.

Wjechali na dziedziniec rezydencji Rooneya, a Michael po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że ogromna willa jest nie tylko piękna, lecz także złowroga. Pewnie dlatego, że przyjechaliśmy na stypę. a niebo jest takie ciemne i ponure, przekonywał sam siebie. Ale pokryta czerwoną dachówką budowla z żółtawej cegły, okolona dwiema wspaniałymi wieżami rzeczywiście wyglądała jak nawiedzony dom. Michaela przeszedł nieprzyjemny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z mroźną pogodą.

Na podjeździe stało wiele samochodów. Chłopak ze zdumieniem spostrzegł wśród nich kilka ciężarówek. Żalobnicy ze wszystkich klas społecznych - biedni i bogaci wystrojeni w najlepsze ubrania - zbierali się z ponurymi minami przed domem i wchodzili do środka.

Mama niosła garnek z gulaszem, który był jej specjalnością. Chłopcy poszli przodem po betonowych schodach prowadzących do masywnych drzwi. Zatrzymali się przed nimi, czekając, aż ojciec otworzy i wpuści ich do środka. Pierwsza weszła mama, potem Peter i Michael, a tata na końcu. Znaleźli się w długim, przestronnym holu. Wkroczyli do świata wysokich sufitów, wykładanych orzechowym drewnem i mahoniem ścian, lśniących parkietów, orientalnych dywanów, lamp od Tiffany'ego, aksamitnych obić, ozdobnych lusterek i lśniących świeczników.

Nawet dwunastoletni Michael zauważył, że mimo odświętnych niedzielnych strojów wielu żałobników nie pasuje do luksusowych wnętrz, w których się znaleźli. Byli to prości robotnicy ze swoimi spracowanymi żonami, chuderlawymi dziećmi, a czasem również w towarzystwie rodziców o pomarszczonych twarzach, zapadłych oczach i w ubraniach pochodzących z końca poprzedniego stulecia.

Ruszył za ojcem, który poprowadził ich przez tłum rozmawiających i śmiejących się gości do salonu, gdzie zebrali się krewni i przyjaciele zmarłego.

Panowała tu pełna szacunku, a nawet bólu cisza. W pokoju obok stała otwarta trumna. Spoczywała na wielkiej bryle lodu, z której do podstawionych kubłów skąpy wała woda. Wokoło umieszczono wieńce i bukiety kwiatów.

Michael ruszył za ojcem w kierunku trumny, ale Peter zatrzymał się gwałtownie i pociągnął matkę za rękaw. Pani Sullivan spojrzała na syna. Widząc strach malujący się na jego twarzy, uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie bój się - szepnęła. - To nic takiego, chodź...

Ale chłopiec nie dawał za wygraną i w końcu mama musiała ulec. Stanęli razem przy drzwiach, a Michael wraz z tatą podeszli do trumny i uklękli.

Michael zastanawiał się, po co ten lód. Wtedy ojciec pochylił się w jego stronę i szepnął:

- Dzięki temu ciało wolniej się rozkłada.

Podczas modlitwy chłopak zerknął do wnętrza trumny. Martwy mężczyzna wyglądał dziwnie: miał woskowatą, białą skórę, a wargi i policzki umalowane na czerwono jak klaun. Ale najdziwniejsze były nakryte monetami oczy.

Gdy później zapytał tatę o te monety, ojciec wytłumaczył, że to zapłata, aby zmarły poszedł do nieba. Na kolejne pytanie odpowiedział, iż nie wie, czy to naprawdę działa, ale na wszelki wypadek zapalał jeszcze u św. Piotra świeczkę w intencji zmarłego. Tak, żeby się upewnić.

Michael zerknął ukradkiem na modlącego się w skupieniu ojca. Dostrzegł w jego twarzy coś dziwnego, jakieś napięcie.

- Amen - powiedział w końcu Sullivan.

Ledwie wstali i odwrócili się od trumny, usłyszeli chrapliwy głos z wyraźnym, irlandzkim akcentem:

- Kto uściska biednego starego człowieka?

W drzwiach stał ubrany w nienagannie skrojony ciemny garnitur John Rooney.

Obaj chłopcy podbiegli do swojego przyszywanego dziadka, który czule ich uściskał.

Annie Sullivan przypatrywała się tej scenie, walcząc z uczuciem potępienia dla człowieka, który tak wiele dla nich zrobił. Szczupły, siwy mężczyzna z wąsem był w młodości zabójczo przystojny. Nawet teraz, choć miał już siedemdziesiąt lat, wiele pań wzdychało cicho na jego widok.

Ostatnio Annie zauważyła, że zaczął powłóczyć nogami, a na jego twarzy coraz wyraźniej zarysowywał się wyraz zmęczenia, który świadczył, iż John Rooney mógł odczuwać ciężar grzechów, jakie miał na sumieniu. Czasami czuła się hipokrytką, wiedząc, że ona i jej rodzina żyje w szczęściu dzięki temu wcieleniu zła. Starła się nie myśleć, jak potworne rzeczy robił jej mąż dla ojca chrzestnego ich synów.

A chłopcy bardzo kochali Rooneya.

Teraz zadał pytanie, które stało się już niemal rytuałem.

- No dobrze, który jest który? - Spoglądał na chłopców, pokazując palcem to na Michaela, to na Petera.

Peter zaczął się przedstawiać.

- Nie, nie pomagaj mi. - Dotknął palcem nosa jednego z chłopców. - Peter - dotknął drugiego - i... Michael.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Staruszek jak zwykle udawał, że ich myli.

Pan Rooney przytulił chrzestnych synów i spojrzał na drugi koniec pokoju, gdzie stali ich rodzice.

- Annie - powiedział i uklonił się lekko. - Mię... miło cię widzieć.

- Pochylił głowę i szepnął do Michaela:

- Przynieście, co trzeba?

Michael skinął głową, a rozentuzjasmowany Peter krzyknął: - Tak!

Pan Rooney, wciąż obejmując chrześniaków, wyprostował się i zwrócił się do ich taty:

- Mam pilny interes do tych panów. Proszę mi wybaczyć.

Sullivan patrzył, jak Rooney wyprowadza chłopców z pokoju, wymieniając z nimi porozumiewawcze spojrzenia. Wiedział, co będą robić, i na myśl o tym uśmiechnął się lekko.

Potem wrócił do salonu i podszedł do stołu pełnego jedzenia i napojów. Nalał sobie whisky; potrzebował napić się czegoś mocniejszego.

Kiedy uniósł szklankę do ust, zauważył potężnie zbudowanego Fina McGovern, który stał nieopodal ubrany w najlepszy garnitur i trzymał butelkę Burbona w taki sposób, jakby to był koktajl Mołotowa.

Czterdziestoletni Fin - najstarszy brat Daniela, którego ciało spoczywało w otwartej trumnie - spojrzał na Sullivana. Nie było to przyjazne spojrzenie.

W piwnicy domu Rooneya młodszy syn Sullivana zdjął but, a następnie przechylił i z okolicy palców wyturlały się dwie kostki do gry. Chłopiec wyjął je i podał panu Rooney'owi, który z całkowitą powagą powiedział do chrześniaków:

- Panowie, czas rozpocząć grę.

Michael przyglądał się z zachwytem, jak staruszek długo miesza kostki w złożonych dłoniach, potem całuje zwinięte w kulę dłonie.

wyrzuca kostki w górę, łapie je w powietrzu i. unosząc lewą nogę, rzuca z impetem o ścianę. Kostki odbijają się i toczą po podłodze, a w końcu zatrzymują się pod stopami rozbawionych, śmiejących się chłopców.

Pan Rooney potrafił sprawić, że chłopcy świetnie się bawili, i właśnie za to Michael go tak lubił.

Po jakimś czasie pan Rooney usiadł na podłodze z plecami opartymi o ścianę i wytarł chusteczką spocone czoło. Został ograny przez chłopców i stracił olbrzymią sumę: całego dolara.

- No nie, gdzie jest policja?! - zalił się staruszek. Już wcześniej przypomniał chrześniakom, że wśród gości na górze jest naczelnik policji, a prawo surowo karze kradzież.

- Dobrze wiem, jak traktować takich kanciarzy jak wy - nasrożył się.

- Nie było żadnych kantów, staruszkule! - wykrzyknął radośnie Michael.

- Jak się przegrywa, trzeba bulić! - orzekł Peter, biorąc się pod boki.

Pan Rooney wyciągnął ramiona, a chłopcy złapali go za ręce, żeby pomóc mu wstać. Ale ojciec chrzestny tylko ich podpuszczał; przyciągnął chłopców do siebie, mocno przytulił i ucałował każdego w czuprynę.

- Michael - powiedział - weź sobie tego dolara, zanim zmienię zdanie. Znajdziesz go w kieszeni mojej marynarki, w gabinecie.

Michael wbiegł po schodach na górę, przedarł się przez tłum gości i popędził co sił szerokimi kręconymi schodami na piętro. Większość świateł była zgaszona, więc choć na dworze nie zapadła jeszcze noc, w wielkim, pełnym ciemnych wiktoriańskich mebli domu panował niemal zupełny mrok. Chłopca od razu opuścił dobry nastrój.

Gabinet pana Rooneya znajdował się na końcu korytarza. Michael wiele razy przesiadywał z ojcem chrzestnym w tym pokoju, czasami nawet grali tam w kości, ale mrok i unoszący się w gabinecie zapach dymu tytoniowego sprawił, że chłopak zaczął się bać.

Na skórzanej kanapie przy ścianie, ze szklaneczką whisky na brzuchu i cygarem w zębach leżał Connor Rooney, szczupły, przystojny, mniej więcej trzydziestoletni ciemny blondyn, podobny raczej do zmarłej matki niż do ojca.

Spojrzał na Michaela spod zmrużonych powiek.

- Cześć - powiedział obojętnym głosem.
- Dzień dobry.

Michael i jedyny syn jego ojca chrzestnego byli w pokoju zupełnie sami, cygaro Connora żarzyło się w ciemności pomarańczowym światłem.

- Przypomnij mi... z którym z młodych Sullivanów mam do czynienia?
- Z Michaelem, proszę pana.
- Proszę pana? - Connor wziął szklankę do ręki, oparł się na łokciu i uśmiechnął krzywo do chłopca. - Nie musisz do mnie mówić „proszę pana”.

- Tak jest, panie Rooney - odparł Michael, zastanawiając się, co Connor robił sam w gabinecie, gdy w domu pełno gości.

- Mów mi Connor. Wujek Connor. Okej? No dobra, czego tutaj szukasz?
- Pan Rooney poprosił, żebym przyniósł mu marynarkę.
- Wróc później, okej? Jestem zajęty.
- Tak jest... proszę pana.

Connor wzruszył tylko ramionami, odwrócił wzrok od chłopca i z powrotem ułożył się wygodnie na kanapie. Postawił szklankę na brzuchu i zaczął puszczać kółka z dymu, obserwując spod na wpół przymkniętych powiek, jak wzbijają się w powietrze i rozwiewają.

Michael spojrzał na wiszącą na krześle marynarkę, w której był wygrany w kości dolar. Mógłby bez trudu wyjąć banknot z kieszeni, ale bał się Connora Rooneya i chciał jak najszybciej wyjść z pokoju.

Powiedział więc grzecznie „do widzenia” i wyszedł.

Z rezydencji Johna Rooneya rozciągał się wspaniały widok na dolinę Missisipi i inne domy na stoku wzgórza, co oczywiście pozwalało mu patrzeć z góry na lokalne elity. W tamtych czasach stany Illinois i Iowa łączył tylko jeden most - biegnący od obu brzegów rzeki do Arsenal Island, gdzie znajdował się magazyn broni - więc ludzie, by przepłynąć się przez Missisipi, wybierali na ogół prom, który kosztował dwadzieścia pięć centów. Po zmroku na promie można było uprawiać hazard i pić alkohol.

Michael Sullivan senior siedział w wygodnym fotelu w rogu salonu. Na stojącym obok stole paliła się nocna lampka.

Ktoś zadzwonił łyżeczką o kieliszek, zrobiło się cicho i oczy wszystkich - nawet Sullivana i Connora - zwróciły się w stronę Johna Rooneya, który stanął przed okazałym kominkiem.

Rooney powiódł wzrokiem po zebranych, zaglądając w twarz każdemu z gości. Na sali nie było nikogo, kto by wątpił, że Rooney mówi właśnie do niego.

- Witam was w moim skromnym domu - zaczął.

Kiedy przemawia publicznie, pomyślał Sullivan, jego irlandzki akcent robi się jeszcze wyraźniejszy.

- Miło mi znowu gościć tylu przyjaciół. Odkąd umarła Mary, tylko ja i mój chłopak snujemy się po tych wielkich pustych pokojach... Miałem wygłosić mowę, lecz prawda jest taka, że byłoby nieszczerze z mojej strony, gdybym powiedział, że dobrze znałem Danny'ego. Ale kiedy tracimy jednego ze swoich, dotyka to każdego z nas.

Po sali przemknęła fala pomruków aprobaty.

- Powiem o tym, jak go zapamiętałem. Ty, Fin, na pewno też to pamiętasz. Danny grał w licealnej drużynie futbolowej. Mistrzostwa stanu: tamci prowadzą sześcioma punktami, dziesięć sekund do końca gry... I wtedy Danny wykonał blok swojego życia... powalił na ziemię kolegę z drużyny!

Po sali przetoczyła się salwa dobrodusznego śmiechu.

- Tak... błędy. Bóg nam świadkiem, wszyscy je popełniamy. - Rooney wyprostował się i rzekł poważnym tonem: - Pijemy dzisiaj za Danny'ego.

Wszyscy wstali i unieśli szklanki i kieliszki, by wyrazić szacunek dla zmarłego. Michael Sullivan niedbałym ruchem wyciągnął z kieszeni srebrną piersiówkę. Nie zdawał sobie sprawy, że Annie, która stała nieopodal z synami, obejmując ich czule, przygląda mu

się zaniepokojona.

Mocnym, donośnym głosem Rooney wznosił toast:

- Niech Bóg raczy przyjąć go do siebie. - I jeszcze głośniejszym, choć lekko ironicznym tonem dodał: - Niech trafi do nieba, zanim diabeł się dowie, że umarł.

Michael, który nigdy wcześniej nie słyszał tego tradycyjnego irlandzkiego toastu, był oczarowany, a jednocześnie wzburzony. Po co dobry człowiek miałby oszukiwać diabła? A może mężczyzna z monetami na oczach był grzesznikiem?

Pan Rooney przedstawił zebranym brata zmarłego.

Michael Sullivan senior przypatrywał się z uwagą tej scenie.

- A teraz nasz dobry przyjaciel Fin McGovern powie kilka słów. - Jakimś sposobem Rooney umiał mówić poważnie i lekko zarazem. - Idę o zakład, że będą to słowa bardziej poetyckie od moich. No, Fin, chodź tu, czekamy!

Najstarszy brat zmarłego wystąpił przed gości.

- Dziękuję, John - powiedział, a potem zwrócił się do zebranych.

- Mój brat Danny nie był mądry ani dobrze wychowany.

Niektórzy goście uśmiechnęli się, inni pokiwali głowami.

ii - A jak się schlał - ciągnął z uśmiechem McGovern, chociaż w oczach zbierały mu się łzy - robił się cholernie upierdliwy.

Przez salę przetoczyła się fala dobrodusznego śmiechu. Sullivan jednak się nie śmiał. Connor też. Rzucając ukradkowe spojrzenia w kierunku Rooneya, zaczęli się powoli przesuwają w stronę Fina. na wypadek gdyby ten zrobił się nagle bojowy.

- Ale był lojalny - mówił dalej brat zmarłego - i odważny. I nigdy nie słyszałem, żeby skłamał.

W salonie zapanowała niezręczna cisza.

- Spodobałaby mi się ta stupa - oznajmił McGovern, sianiając się na nogach. - W imieniu rodziny chciałbym podziękować naszemu wspaniałomyślnemu gospodarzowi.

Zebrani odetchnęli z ulgą, nie wyczuwszy sarkazmu, który dla Sullivana - i Annie - był oczywisty.

- Gdzie byłoby to miasto bez pana Johna Rooneya? Niech go Bóg błogosławi - powiedział McGovern przez ściśnięte gardło.

Rozbrzmiały pomruki aprobaty i oklaski. Rooney uklonił się skromnie, dziękując za słowa uznania.

McGovern odwrócił się do Rooneya i spojrzał mu głęboko w oczy.

- Pracuję dla ciebie od wielu lat, John... prawie pół życia. I nigdy nie miałem do ciebie

żadnych pretensji.

Tylko niektórzy spostrzegli zmianę w wyrazie twarzy Rooneya - surowość w jego oczach. Sullivan spostrzegł. Zbliżał się już do czoła zgromadzonych, tuż za nim szedł Connor.

- Ale teraz zdałem sobie sprawę - podjął McGovern drżącym głosem - że rządysz tym miastem, jak Bóg rządzi światem... Ty dajesz i ty odbierasz.

Sullivan znalazł się obok Fina. Wziął go za ramię i łagodnie, ale zdecydowanie odprowadził na bok. Żalobnicy patrzyli na to ze zdziwieniem, nie bardzo wiedząc, co się dzieje.

- Orkiestra tusz! - zawołał rubasznym głosem Rooney.

Muzycy zaczęli grać skoczną melodię, a gospodarz zwrócił się z uśmiechem do zebranych i wznosił swoją szklaneczkę, zapraszając do zabawy. Tymczasem Sullivan zdołał już wyprowadzić pijanego Fina na zewnątrz. Dwaj przyjaciele McGoverna ruszyli za nimi.

Annie, wciąż obejmująca synów, patrzyła, jak Connor Rooney wychodzi z salonu, by dołączyć do jej męża, Fina McGoverna i jego dwóch tęgich kumpli.

Podeszła z chłopcami do bufetu i tylko od czasu do czasu zerknęła ukradkiem w stronę drzwi, ale Michael i tak wyczuł, że jest zdenerwowana. Gdy pomagała Peterowi nałożyć na talerzyk kawałek tortu, wymknął się z salonu.

Podszedł do frontowych drzwi i zobaczył stojącego plecami do wejścia pana Rooneya, który obserwował scenę rozgrywającą się na trawniku.

Ojciec Michaela prowadził Fina do ciężarówki, przy której czekali dwaj rośli mężczyźni o ponurych twarzach. Pochód zamykał Connor Rooney, kroczący tuż za plecami wyraźnie ślaniającego się na nogach McGoverna.

Michael uznał, że McGovern jest pijany. Wydawało mu się zupełnie zrozumiałe, że brat zmarłego próbuje utopić swój smutek w whisky. Dziwił go tylko opór, jaki stawiał, ilekroć Connor Rooney usiłował mu pomóc. Odpychał go wtedy i wołał:

- Pochowam brata... a potem zabiorę się do was.

Tata najwyraźniej nie brał tych pogroźek poważnie; powtarzał bowiem tylko:

- Tak, Fin, tak... zabierzesz się do nas... ale najpierw musisz się wyspać.

Doprowadził go w końcu do ciężarówki. Dwaj mężczyźni, którzy na niego czekali, przerwali rozmowę i pomogli ojcu wepchnąć pana McGoverna do kabiny, potem zaś sami wskoczyli do środka.

Connor Rooney, widząc, że Fin siedzi już w samochodzie, odwrócił się i zaczął iść w kierunku domu. Jego twarz - biała w świetle księżycy - wyglądała dziwnie. Pozornie bez wyrazu, niezdradzająca śladu zdenerwowania, ale mimo to Michael był przekonany, że młody

Rooney jest po prostu wściekły. To, co tata potraktował jako bredzenie pijaka, „wujek Connor” uznał za rzeczywistą groźbę.

Gdy ciężarówka odjeżdżała z łoskotem, tnąc światłami mrok, pan Rooney wyszedł z cienia i zszedł po schodkach, by dołączyć do syna i Sullivana, którzy wracali do domu. Spotkali się przed samym gankiem.

- Co z nim? W porządku? - spytał pan Rooney.

- Tak, w porządku. - Connor wzruszył ramionami. - Za dużo wypił. Porozmawiam z nim.

Słowa Connora nie pasowały do tego okropnego wyrazu twarzy, jaki miał kilka chwil przedtem.

- Dobrze - powiedział pan Rooney. - Ale weź ze sobą Mike'a.

- Nie trzeba, tato. Poradzę sobie...

- Weź go - rozkazał surowo pan Rooney, jakby Connor wciąż był dzieckiem. - I masz z nim tylko porozmawiać. Ostatnio mieliśmy dość rozrób.

Michael obejrzał się, by sprawdzić, czy matka zauważyła jego nieobecność, a kiedy się odwrócił, pan Rooney właśnie wchodził do domu.

Ale ojciec chrzestny zmierzwił mu tylko czuprynę i uśmiechnąwszy się, poszedł do salonu. Connor zignorował Michaela, za to tata wydawał się zaskoczony i raczej niezadowolony, że go widzi.

Zastanawiał się, co syn usłyszał i zobaczył - i ile z tego wszystkiego zrozumiał.

Mały Michael nie rozumiał do końca, dlaczego ci rzekomo pograżeni w żalu ludzie tak dobrze się bawią, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej mu się to podobało. Wielu gości upiło się co najmniej tak bardzo, jak pan McGovern, wszyscy tańczyli, a orkiestra grała różne melodie, najczęściej skoczne szkockie tańce.

Pan Rooney - znakomicie grający rolę uroczego gospodarza - chodził po sali i rozmawiał z gośćmi, trzymając w dłoni szklankę whisky. A czasami nawet dwie.

Annie tańczyła z jednym z ludzi pana Rooneya, wirowała z rozwianymi włosami, uśmiechnięta. Wyglądała tak pięknie i młodo jak panna na wydaniu.

Connor Rooney okazał się naprawdę dobrym tancerzem. Chociaż Michael nie przepadał za „wujkiem”, musiał przyznać, że radzi sobie nie gorzej od tych panów w smokingach, których oglądał w kinie.

Wszyscy patrzyli na Connora i bili brawo. Jego największym wielbicielem okazał się pan Rooney. Michael widział, że wujkowi Connorowi sprawia to przyjemność - może dzięki temu przestał się czuć jak strofowany dzieciak. Na zakończenie Connor uklonił się

zawadiacko, nie kryjąc ani tego, ile wypił, ani jak bardzo się cieszy, że ojciec śmieje się i z dumą bije mu brawo.

Orkiestra skończyła grać i na chwilę zrobiło się cicho. Potem uwaga wszystkich zebranych skupiła się na Johnie Rooneyu, który zasiadł do fortepianu. Gospodarz spojrzął na Sullivana i lekkim skinieniem głowy przywołał go do siebie. Zaczęli grać.

Michael stał akurat koło matki, natomiast mały Peter dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się obok Connora Rooneya i obaj patrzyli na swych ojców grających razem.

Zebrani wsłuchiwali się w piękną smutną melodię. Michael, widząc ojca grającego tak swobodnie z panem Rooneyem, który tyle dla niego znaczył, poczuł się szczęśliwy.

Annie Sullivan uśmiechała się tylko i kręciła głową, wiedząc, że jej mąż zrobi wszystko, o co ten cudowny straszny człowiek go poprosi.

Connor również się uśmiechał. W każdym razie jego usta się uśmiechały, bo oczy na pewno nie.

Kiedy skończyli grać, Rooney odwrócił się do Sullivana i objął go ramieniem.

Peter podniósł wzrok na Connora. Ten facet jest jakiś dziwny, pomyślał. Ma coś straszego w oczach. Ale najdziwniejsze było, że młody Rooney ciągle się uśmiechał. Peterowi nie dawało to spokoju, zapytał więc:

- Dlaczego zawsze się pan uśmiecha?

Connor spojrzął na niego, nie przestając się uśmiechać.

- Bo to wszystko jest kurewsko zabawne.

Chłopiec zeszytniał na moment, a potem uciekł przerażony i podniecony zarazem. Do tej pory tylko raz usłyszał to okropne przekleństwo, a chłopak, który go użył, został wydalony ze szkoły.

Gdy kilka godzin później Michael wyszedł w piżamie z łazienki, z pokoju rodziców dobiegły go niewyraźne głosy. Przystanął na chwilę przy drzwiach ich sypialni.

Był bardzo ciekawy, o czym mówią, ale że nie chciał podsłuchiwać, pobiegł z powrotem do pokoju, który dzielił z bratem. Światło było już zgaszone i Peter spał smacznie od pół godziny, ale Michael postanowił jeszcze poczytać.

Wgramoliwszy się pod kołdrę, zapalił latarkę i otworzył *Podróże Samotnego Jeźdźca*, wydane w jego ulubionej serii Dużych Małych Książek, które miały niewielki format, ale były za to bardzo grube. Na każdej lewej stronie był tekst, a na prawej widniał obrazek.

Większość Dużych Małych Książek (dziesięć centów za sztukę) opisywała przygody komiksowych bohaterów, takich jak Dick Trący czy Sierotka Annie. Ale Michael wołał bohaterów Dzikiego Zachodu - filmowego Toma Miksa i radiowego Samotnego Jeźdźca.

Uwielbiał te grube książeczki. Zachwycił się zwłaszcza obrazkami, zawsze opatrzonymi krótkim podpisem, na przykład: Światło księżycy wlewało się do pokoju. Jeśli strona zaczynała się od nowego zdania, przyglądał się najpierw obrazkowi i czytał podpis, a dopiero później wracał do lektury głównego tekstu. Teraz przewrócił kartkę, która odsłoniła zarys postaci wdrapującej się przez okno. Ktoś wdrapywał się przez okno - głosił podpis.

Podpisy zawsze nawiązywały do tego, co było widać na rysunku, ale chyba właśnie dlatego wszystko wydawało się ważniejsze i bardziej tajemnicze.

- Michael?

Aż podskoczył, mimo że to był tylko głos Petera. - Co?

- Miałem zły sen... O domu pana Rooneya.

- Daj spokój, to tylko dom. Śpij.

- Myślisz, że pan Rooney jest tak bogaty jak Babę Ruth?

- Bogatszy. - Michael oparł się na łokciu i po chwili zastanowienia dodał: - Jest bogatszy od Babe'a... a Babę jest bogatszy od prezydenta.

- A my jesteśmy bogaci? - Nie, głupolu. Idź spać!

Michael usłyszał, jak brat nakrywa się kołdrą, i wrócił do lektury. Na początku zawsze opisywano zbrodnie złych bandytów; najfajniejsze będzie, jak Samotny Jeździec zacznie z nimi robić porządek.

- Michael? - Co?

- Czym się zajmuje tata?

Patrząc na obrazek przedstawiający jadących konno Samotnego Jeźdźca i jego indiańskiego przyjaciela Tonto, Michael odparł: - Tata pracuje dla pana Rooneya.

- Dlaczego?

- Bo tata nie miał ojca. Więc pan Rooney go przygarnął.

- Wiem. Ale co tata dla niego robi?

Michael przewrócił kartkę. Kolejny obrazek przedstawiał ranczera Beasleya, budzącego się na odgłos „klik!” Podpis brzmiał: BEASLEY

Usłyszał odgłos odbezpieczanego rewolweru.

Przez chwilę Michael przyglądał się twarzy wystraszonego ranczera.

- Wykonuje niebezpieczne zadania dla pana Rooneya - odparł w końcu. - Dlatego nosi pistolet... - Znów przewrócił kartkę. - Czasami nawet pan prezydent prosi tatę o pomoc, bo tata jest bohaterem i w ogóle.

Peter usiadł na łóżku, próbując przemyśleć to, co usłyszał.

- Robisz mnie w konia.

- Wcale nie!

Peter odwrócił się do ściany i mruknął:

- Kurewsko zabawne.

Teraz Michael usiadł na łóżku.

- Peter, nigdy tak nie mów.

- Dobra - burknął chłopiec, tuląc się do poduszki.

Michael odłożył książkę na stolik. Powiedział bratu „dobranoc” i ułożył się do snu. Miał nadzieję, że nie przyśni mu się żaden koszmar, mimo iż widział dzisiaj tyle okropnych rzeczy: straszny dom, trupa w trumnie, a przede wszystkim wujka Connora.

Chodziliśmy z Peterem do prywatnej katolickiej szkoły - otoczonej drzewami strzelistej gotyckiej budowli niedaleko rezydencji pana Rooneya.

Niektóre dzieci w szkole gadały o mnie i o Peterze za naszymi plecami, bo tata pracował dla Johna Rooneya. Pamiętam, jak byłem zdziwiony, kiedy się dowiedziałem, że o łagodnym staruszkę, który był moim ojcem chrzestnym, krążyły w szkole straszne opowieści. Młodsze dzieci nigdy nie przechodziły na drugą stronę Dwudziestej ulicy, gdzie stał dom Rooneyów. Starsi chłopcy opowiadali im, że stary Rooney czai się przy płocie i tylko czyha, żeby pochwycić któreś dziecko, zabrać je do wielkiego domu i zmielić na kielbasę.

Peter i ja śmialiśmy się z tych głupot, ale czasami śmiech wiązał nam w gardłach. Chyba już wtedy wiedziałem, że dorastamy pod kloszem, a w mojej dziecięcej świadomości zaczęło się formować niejasne poczucie, że żyliśmy w kłamstwie.

W poniedziałkowy ranek, dwa dni po stypie, rodzina Sullivanów siedziała w kuchni i jadła śniadanie. A właściwie mężczyźni siedzieli, bo Annie Sullivan stała przy kuchennym blacie i przygotowywała dla chłopców kanapki do szkoły. Odbijające się od śniegu słońce świeciło przez okno, drobinki kurzu tańczyły w świetle jego promieni jak małe muszki.

Peter dłużył widelcem w ostatnim plastrze smażonego bekonu, a Michael smarował miodem prawie spalonego tosta - właśnie takie lubił - kiedy ojciec odstawił na spodek filiżankę po kawie i powiedział:

- Przepraszam cię, Peter, ale nie będę mógł przyjść na twój koncert. Muszę pracować. Bracia wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a Peter zapytał niewinnie:
 - Co będziesz robił?
 - Tata będzie zarabiał na chleb na twoim talerzu, młody człowieku - odparła matka kategorycznym tonem, który wykluczał wszelką dyskusję.
 - No dobrze, chłopcy, sprzątnijcie talerze - polecił ojciec.
- Peter wstał, postawił talerz na blacie przy zlewie i podszedł do taty.
- Dobry z ciebie chłopak - powiedział ojciec, obejmując go.

Michael nie poczuł się urażony. Wiedział, że młodszym braciom trzeba poświęcać więcej uwagi - w końcu są bardziej dziecinni. Ale kiedy znowu sięgnął po plaster miodu, z obrzydzeniem odkrył tkwiącą w jednej z woskowych dziurek martwą pszczołę. Przyglądał się jej jak zahipnotyzowany: coś w tej pszczole... coś w niej...

- Michael - przywołała go do porządku matka. - Talerz.

- Tak, już. Przepraszam - odparł, wstając z krzesła. Wyrzucił do śmieci całego tosta.

Tego dnia w ogóle nie uważał na lekcjach. Siedział grzecznie w ławce, ale był nieobecny duchem. Przyglądał się szarym, oblepionym śniegiem drzewom. Na kilku огоłoconych gałęziach powiewały osamotnione brązowe listki. Michael myślał o trupie z monetami na oczach, o martwej pszczole, o zwiędłych liściach... i nagle wydało mu się, że wszystko wokół umiera. Wszędzie jest śmierć.

Po szkole rozwiózł gazety i dopiero wtedy wrócił do domu. Zdziwiony, że brat nie wita go jak zwykle śnieżkami, spojrzął na garaż i przypomniał sobie, co tata mówił rano - jak przeproszał, że musi pracować. Czy weźmie ze sobą pistolet? Czy to kolejna niebezpieczna misja? - zastanawiał się Michael.

Kiedy Sullivan wyszedł z domu, było już ciemno i padał deszcz. Państwo Clarensowie, których córka też śpiewała w chórze, zabrali już Annie i Petera do Villa de Chantal, gdzie miał się odbyć występ. Michael został w domu, siedział w swoim pokoju i przygotowywał się do jakiejś klasówki.

Sullivan otworzył garaż, wszedł do środka i skierował się do stojącej w głębi szafki. Przez chwilę szperał wśród pistoletów i pudełek amunicji. Wyciągnął niewielką czarną walizeczkę i dwa bębnowe magazynki, z których każdy mieścił po sto pocisków kaliber 0.45 - takich samych, jakimi strzelał ze swojego ulubionego kolta przywiezionego z wielkiej wojny.

Zamknął szafkę na klucz i wszedł do zielonego forda sedana. Futerał i magazynki położył na podłodze pod tylnym siedzeniem. Wyprowadził wóz z garażu, zatrzymał się na podjeździe, zamknął garaż, po czym wyjechał na ulicę. Nie podejrzewał, że jego syn Michael ukrył się w schowku pod tylnym siedzeniem auta.

Deszcz zmienił się w rzęsiłą ulewę, więc Sullivan jechał bardzo ostrożnie. Mimo to już po dziesięciu minutach znalazł się w centrum Rock Island.

Kiedy zatrzymał się przed hotelem Florence, Connor Rooney już na niego czekał, obserwując ulicę z hotelowego lobby. Podbiegł do samochodu i włączył się na przednie siedzenie.

Mrużąc oczy, Connor wyciągnął spod płaszcza butelkę.

- Chcesz sobie golnąć?

Sullivan potrząsnął przecząco głową i obrzucił Connora ostrym spojrzeniem.

- Mamy z nim tylko porozmawiać, pamiętasz?

Ruszyli w stronę dzielnicy magazynów. Jechali w milczeniu. Słychać było tylko opony na mokrej szosie, deszcz dudniący o dach i szum wody płynącej rynsztokiem.

- Nie przeciągajmy zbytnio całej sprawy. Muszę jeszcze wrócić do miasta - odezwał

się obojętnym głosem Connor.

Gdy ford przemierzał śliskie ulice, tylne siedzenie uniosło się lekko, a ukryty pod nim Michael wyjrzał na zewnątrz i zobaczył na podłodze obok czarny lśniący futerał. Chłopak tylko raz widział, co jest w środku, gdy wraz z Peterem podpatrywał z ukrycia, jak ojciec składa wyciągnięte z niego części w złowrogi karabin.

Michael słyszał, że gangsterzy w radiu i na filmach mówili na ten karabin tommy, ale nie miał pojęcia, dlaczego tak go nazywali. Podniósł jeszcze trochę siedzenie, żeby wpuścić do ciasnej skrytki więcej powietrza, a przy okazji lepiej się przyjrzeć walizeczce.

Z przodu siedział ojciec - za kierownicą - i wujek Connor. Michael bez trudu rozpoznał jego głos. Tata cały czas milczał, za to wujek Connor śpiewał jazzową piosenkę; wyglądało, że ma dobry humor.

Na wieku czarnej walizki leżały dwa okrągłe pojemniki - wielkości puszek tuńczyka, może trochę większe - które podskakiwały lekko, ilekroć samochód trafił na jakąś dziurę. Okrągłe pojemniki miały coś wspólnego z karabinem. Tego dnia, kiedy podglądał z Peterem, jak tata go składa, widział, że zamontował na nim taką puszkę.

Michael podejrzewał, że w środku są naboje. Popchnął siedzenie jeszcze kilka centymetrów do góry i pojemniki podskakujące razem z samochodem znalazły się w zasięgu ręki. Można by wziąć jeden z nich, obejrzeć z bliska, a potem odłożyć. Nikt nie za...

Właśnie w tym momencie Sullivan skręcił ostro, a jeden z pojemników spadł z walizeczki i uderzył z brzękiem o podłogę. Zjedną ręką na kierownicy i wzrokiem utkwionymi w szosę wyciągnął do tyłu ramię. Michael ostrożnie opuścił siedzenie, nie mógł więc widzieć, jak ojciec szuka ręką walizki, obmacuje ją i próbuje stabilniej ustawić.

Po chwili znowu lekko podniósł siedzenie, ostrożnie wyjrzał na zewnątrz i zobaczył, że jeden z magazynków stoi pionowo obok walizki. Drugi leżał już na wieku futerału.

Michael sięgnął po pudełko, aby podsunąć je ojcu, ale metalowy krążek podskakiwał na każdym wyboju. W końcu, kiedy tata wziął kolejny zakręt, magazynek poturlał się prosto w rękę chłopca.

Był znacznie cięższy, niż Michael przypuszczał, ale udało mu się położyć go z powrotem na wieku walizeczki. Gdy już miał zabrać rękę i pogrążyć się znowu w mroku swojej kryjówki, zauważył dziurkę w pojemniku, a w niej - pocisk!

Więc miał rację: w środku rzeczywiście były naboje; naboje do tommy'ego... Jak dziecko, które pcha ręce w ogień, dotknął koniuszkiem palca zimnej metalowej kuli...

.. .a kula wyskoczyła!

Złapał ją, patrząc, jak następny pocisk zajmuje jej miejsce. Podparł barkiem siedzenie,

zostawiając odemknięte wejście do kryjówki, żeby móc się rozkoszować widokiem świeżej zdobyczy. Łuska, którą trzymał na dłoni, była dwukolorowa. Samotny Jeździec używał srebrnych kul. ta była zrobiona z czegoś innego.

Zielony ford wjechał w wąską uliczkę między charakterystycznymi dla przemysłowej dzielnicy ceglanymi budynkami, ale chłopak nie mógł tego wiedzieć. Słyszał tylko walenie deszczu o blaszany dach samochodu i widział cienką linię szarego światła, które przeciskało się przez wąską szparę do schowka.

Nagle samochód zatrzymał się. Michael usłyszał najpierw odgłosy otwieranych i zatraskiwanych drzwiczek, a potem plusk kroków po pokrytym kałużami bruku. W końcu otworzyły się tylne drzwi i ojciec zajrzał do środka.

Michael ostrożnie zamknął się w schowku i drżąc ze strachu pogrążył się w ciemności.

Rozległ się trzask otwieranej walizeczki, a potem odgłosy wsuwanych w siebie metalowych części. Ostatni metaliczny trzask oznajmiał - Michael był tego pewien - zamocowanie magazynka.

Chwilę potem zatrzasnęły się drzwiczki. Michael aż zeszywniał ze strachu. Wiedział, że nie powinien tu być, do pewnego stopnia zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa swojej wyprawy. Ale czuł również dreszcz wielkiej przygody, której nie potrafił się oprzeć. Co czeka na jego dzielnego ojca tej ciemnej, deszczowej nocy? Jakie zło będzie dzisiaj naprawiał?

Po minucie, która wydawała mu się całą wiecznością, otworzył schowek i wygramolił się na podłogę, trzymając głowę najniżej, jak mógł. Bębnienie deszczu o dach było tu głośniejsze, jakby Bóg miał własnego tommy'ego. Wyjrzał przez zalane strugami wody okno.

Pomimo deszczu i mroku rozpoznał ceglane mury po obu stronach ulicy. Ale gdzie są tata i wujek Connor?

O, tam! Stoją pod żółtawą lampą oświetlającą wejście do jakiegoś budynku. Czy to magazyn? Wujek Connor pukał do drzwi. Tata stał za jego plecami, trzymając coś przy boku. Karabin? Żeby lepiej widzieć, Michael ostrożnie prześlizgnął się na przednie siedzenie. Starał się to zrobić jak najciszej, chociaż dudnienie deszczu zagłuszyłoby prawie każdy hałas. Przystawił jednak twarz zbyt blisko szyby i zamglił ją oddechem, a kiedy wycierał rękawem zaparowane szkło, tata i wujek Connor zniknęli. Żółta lampka żarzyła się samotnie niczym robaczek świętojański, który schował się przed deszczem.

Przyjechał tu, żeby zobaczyć, jak „pracuje” ojciec, jakie niebezpieczne, niewyobrażalne rzeczy robi dla pana Rooneya. W tym ceglanym budynku wykonywał przecież jedną z misji, o których wielokrotnie rozmawiali z Peterem do późnej nocy.

Mocno zacisnąwszy szczęki, podjął wreszcie męską decyzję: wysiadł z samochodu na

ulewny deszcz i chłód, by robić to, co robił tak często - szpiegować ojca.

Przebiegł na palcach między kałużami na drugą stronę ulicy i przywarł do muru. starając się pozostać w cieniu, na wypadek gdyby tata i wujek Connor wyszli niespodziewanie na dwór. Nie bał się, że zostanie tutaj, a ford odjedzie do domu. Rozwożąc gazety, dobrze poznał Rock Island. był więc pewien, że nie zabłądzi. Ryzykował tylko, że złapie grypę, ale co to za ryzyko... Gra wydawała się warta świeczki.

Podkraść się do drzwi i nadstawił ucha: z wewnątrz dobiegały jakieś głosy, ale niewyraźne, niezrozumiałe. Niedobrze. Trzeba zobaczyć, co się dzieje w środku. Rozejrzał się w poszukiwaniu okna albo... tak! Nieco dalej zobaczył drugie drzwi, mniejsze, wypaczone i poobijane. Przez szparę na dole sączyło się światło, wylewając się na mokry chodnik jak złocisty, rozżarzony płyn.

Uklęknął przy szparze i przystawił do niej oko. Zobaczył wielki, przestronny magazyn. Nie było w nim prawie nic oprócz kilku skrzynek i pudeł, i dwóch mężczyzn.

Na krześle siedział Fin McGovern, w brązowym płaszczu, bez kapelusza z rękami złożonymi na brzuchu. Drugim mężczyzną był wujek Connor, który przechadzał się w tę i z powrotem przed McGovernem i coś mówił. McGovern słuchał, ale nie patrzył na Connora, tylko w betonową podłogę.

Michael nie widział ojca. stał on bowiem przy drzwiach, przez które podglądał całą scenę. Sullivan też nie wiedział o obecności syna, zauważył natomiast dwie ciemne postaci czające się w mroku w głębi magazynu - bez wątplenia kumple McGoverna, pewnie niezłe uzbrojeni.

Ojciec i syn przysłuchiwali się i przypatrywali rozmowie Connora Rooneya z Finem McGovernem.

- Nie zrozum mnie źle, Fin - mówił Connor. - Współczuję ci. Naprawdę. Ale nie możesz z tego powodu paplać...

McGovern nie odpowiadał, siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Connor podszedł i pochylił się nad jego uchem.

- Znaie się z moim ojcem od lat. To sprawiedliwy człowiek. Co ty na to?

McGovern poprawił się na krześle, ale wciąż milczał.

- Daj spokój, Fin, nie utrudniaj sprawy - powiedział Sullivan, stając naprzeciwko drzwi.

Michael, słysząc głos ojca za samymi drzwiami i widząc jego stopy, które częściowo zasłaniały całą scenę, wiedział, że powinien uciekać. Ale zafascynowany widokiem nie potrafił się przemóc.

McGovern pokiwał głową i chyba coś powiedział, lecz chłopiec go nie usłyszał. To, co mogło być szeptem, utonęło w strugach lejącego deszczu.

Wyglądało na to, że Connor miał ten sam problem, bo krzyknął:

- Nie słyszę!

- W porządku - wykrztusił McGovern przez ściśnięte gardło.

Connor westchnął i uśmiechnął się.

- Dobrze. Dziękuję za spotkanie, Fin. Naprawdę żał mi twojego brata. Przepraszam za nieporozumienie... Przykro mi, że był takim pierdolonym kłamcą.

Z uśmiechem zadowolenia na ustach odwrócił się od McGoverna i poszedł do drzwi, przy których czekał Sullivan.

Sullivan, zaniepokojony zbyt dużym okrucieństwem Connora, zacisnął mocniej ręce na karabinie. Spodziewał się najgorszego.

I rzeczywiście (podglądający chłopiec nie mógł tego widzieć) dwaj ludzie McGoverna, w robotniczych wełnianych kurtkach i czapkach, wyszli z cienia ze strzelbami w rękach.

McGovern siedział w milczeniu, ale widać było, że długo nie wytrzyma. Dotychczas spokojnie znosił wszystkie upokorzenia, jednak Connor przeholował.

- Mój brat nie był kłamcą - rzekł w końcu donośnym głosem.

Connor zatrzymał się i z lekkim uśmiechem spojrzał na Sullivana.

Dobrze się bawi, pomyślał z obrzydzeniem Sullivan.

Odwróciwszy się w stronę Fina z miną mówiącą, że nie boi się uzbrojonych osiłków, młody Rooney zapytał lodowatym tonem:

- Że co proszę?

McGovern podniósł dumnie głowę i odparł:

- Ze względu na moją rodzinę i pracę będę milczał. Ale nie myśl, że nie wiem, że coś w tym wszystkim śmierdzi. I nie myśl, że się nie dowiem, co.

Teraz Connor wyglądał na zdenerwowanego.

- Co mówisz, Fin? - zapytał z groźbą w głosie.

Ludzie McGoverna odbezpieczyli strzelby, ale Fin uniósł rękę w uspokajającym geście.

- Tylko rozmawiamy - rzekł.

Connor pokiwał głową, jakby się zgadzał.

- Powiedz ojcu, że mój brat nigdy mu nic nie ukradł - ciągnął McGovern. - Sprawdzalem rachunki; nigdy nie sprzedawal nikomu zadnej gorzaly. Kazda beczka jest

zaksięgowana... A nawet gdyby sprzedał, to gdzie są pieniądze?

- Skąd mam wiedzieć, do kurwy nędzy? - warknął Connor. - Sprawdziłeś pod jego materacem?

- Może powinieneś sprawdzić pod swoim - powiedział McGovern, uśmiechając się drapieżnie.

Rooney włożył ręce do kieszeni płaszcza i znowu zaczął się przechadzać; w jego głosie można było teraz wyczuć nutę obłędu, która przypomniała Sullivanowi, dlaczego od dziecka przezywano go Stuknięty Connor.

- Coś mi tu nie gra, nie sądzisz, Mike? - powiedział do Sullivana, a potem odwrócił się z powrotem do McGoverna. - Mój poczciwy, sentymentalny ojciec wyprawia twojemu bratu, twojemu niezastępowalnemu na to braciszki, stypę w swoim własnym domu, a ty tak się odwdzięczasz? Tak mu dziękujesz? Boże, na jakim świecie my żyjemy!

Sullivan uniósł broń. Gdyby to on prowadził „rozmowę”, obie strony uściśniłyby sobie ręce i wszyscy wróciliby do swoich zajęć. Teraz nieszczęście wisiało w powietrzu...

- Myślisz, że taki z ciebie spryciarz, co? - powiedział McGovern.

- Myślisz, że o niczym nie wiem? Myślisz, że nikt nie zauważył, ile czasu spędzasz ostatnio w Chicago? To...

Connor wyszarpnął rękę z kieszeni, w jego dłoni błysnął pistolet. Rozległ się strzał. Z dziurą w czole i ze zdziwieniem malującym się na twarzy McGovern osunął się ciężko na podłogę.

Jego kumple unieśli strzelby, lecz nim zdążyli wystrzelić, Michael Sullivan otworzył ogień. Seria z thompsona z niemiłosierną siłą zaczęła dziurawić podskakujące i podrygujące jak marionetki ciała, które zwały się z łoskotem na podłogę, zalewając ją kałużami krwi.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że mały Michael nie wiedział do końca, co się stało. Nagły ruch i ogłuszający huk strzelaniny sprawił, że chłopak zdrętwiał. Oniemiały, szeroko otwartymi z przerażenia oczami wpatrywał się w krwawą scenę rozgrywającą się między stopami ojca do wtóru upiornej muzyki padających na podłogę łusek.

Jeden z mężczyzn upadł twarzą do Michaela, niewidzącymi, zamglonymi oczami patrząc na niego znad kałuży świeżej czerwonej krwi. Chłopak próbował się ruszyć, uciekać, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Klęczał więc bez ruchu jak zaczarowany.

A potem zaczął płakać. Zobaczył śmierć i nie miała ona nic wspólnego z tym, co widział na filmie z Tomem Miksem; jego ojciec nie był Samotnym Jeźdźcem. Samotny Jeździec wytrącał pistolety z rąk opryszków - ojciec robił zupełnie coś innego. Michael skulił się na chodniku i szlochał w strugach deszczu.

Sullivan był wściekły.

- Co to, do cholery, było? Connor ciężko dyszał.

- Spadamy stąd - rzucił.

- Chryste, Connor! To dla ciebie znaczy „rozmowa”? Co sobie, do cholery, wyobrażałeś?

Ale syn Johna Rooneya biegł już do drzwi, zostawiając za plecami zakrwawione ciała trzech mężczyzn, jakby to były zwykłe śmieci.

- Czekaj! - krzyknął Sullivan. - Nie możesz...

Wtem Connor stanął. Spojrzał ostro na Sullivana i pokazał ręką drzwi. Przez szparę na dole widać było dziecięcą rączkę.

Michael Sullivan wiedział. Nie zastanawiał się. skąd. po prostu wiedział, że dłoń należała do jego syna Michaela juniora.

Podbiegł do wyjścia. Ręka zniknęła. Pchnął drzwi i wypadł na ulicę. Mały Michael stał w strugach deszczu ze spuszczoną głową, łkając. Ujrawszy ojca z dymiącym jeszcze karabinem, cofnął się, ale nie uciekał.

Ojciec już go zobaczył, więc ucieczka nie miała sensu. Chłopiec po prostu stał i czekał. Tata bywał surowy, ale nigdy nie podniósł ręki na żadnego z chłopców. Michael nie bał się go - mimo tego co przed chwilą zobaczył. Czuł raczej wstyd. Wstydził się tego, co sam zrobił - że okazał nieposłuszeństwo.

Ojciec podeszedł do niego.

- Jesteś ranny?

Michael nie odpowiedział, tylko pokręcił przecząco głową.

W drzwiach stanął wujek Connor. Miał taki sam okropny wyraz twarzy jak tamtej nocy przed domem.

Wciąż trzymając thompsona w dłoni, Sullivan ukląkł przed synem. Deszcz spływał po twarzy chłopca jak tysiące łez.

- Wszystko widziałeś...

Michael pokiwał głową.

- Chryste - jęknął cicho Sullivan. spoglądając na Connora, który zbliżał się do nich wolnym krokiem. Myślał gorączkowo, pośpiesznie układając w głowie listę nowych zagrożeń. Potem spojrzał na trzęsącego się chłopca. - Nie wolno ci o tym nikomu mówić. Nikomu. Rozumiesz?

Connor zatrzymał się przy Sullivanie, który wstał z klęczek, i spytał:

- To jeden z twoich chłopców?

- Musiał się schować w samochodzie - odparł Sullivan.
- Connor uśmiechnął się krzywo.
- Potrafi dotrzymać tajemnicy?
- To mój syn.

Przez chwilę mężczyźni patrzyli na siebie, nawet roztrzęsiony chłopak wyczuł napięcie.

Wreszcie Connor wzruszył niebale ramionami.

- W porządku. Mnie to wystarcza - oznajmił, po czym skinął głową w kierunku forda.
- Zabierz go do domu. Ja się przejdę - dodał, stawiając kołnierz. - Doskonała noc na przechadzkę.

Ruszył wzdłuż ulicy, rozpryskując kałuże. Wkrótce zniknął w ciemności, pozostawiając za plecami trzy trupy, jednego ojca i jednego syna.

Przed tamtą pamiętną nocą nie miałem pojęcia, kim był i co robił mój ojciec. Prawda mieszała się w mojej dziecięcej głowie z fikcją. Karmiona komiksami, radiem i filmami wyobraźnia kazała widzieć w ojcu bohatera. Obaj z bratem podziwialiśmy go. niemal czciliśmy.

Nigdy nie słyszałem, żeby o ojcu mówiono Anioł Śmierci, więc mogę tylko zgadywać, czy rzeczywiście lak go nazywano, czy też był to tylko wymysł jakiegoś dziennikarza. Podejrzewam, że było w tym przynajmniej ziarno prawdy, bo od czasu do czasu zdarzało mi się słyszeć, jak ludzie mówili na niego Anioł. Ale nigdy nie zapomnę, kiedy usłyszałem to przezwisko pierwszy raz.

Deszcz nie przestawał padać, wycieraczki wybijały jednostajny rytm. Ojciec jechał wolno, ostrożnie, pogrążony w myślach, zatroskany, mimo że starał się tego nie okazywać. Mały Michael dygotał, patrząc oskarżającym wzrokiem na bohatera, który okazał się potworem. Kiedy wjechali do garażu, Sullivan wyłączył silnik i przez chwilę w milczeniu patrzył na dom. Michael wyczuł, że ojciec przeżywa to samo co on: obaj się zmienili i od tej pory nic już nie będzie takie jak kiedyś. Teraz wspólny powrót do domu będzie znaczył co innego.

- Mama wie? - zapytał chłopiec.

- Chodź.

Chłopak denerwował się, co powiedzą mamie, ale ani jej, ani Petera nie było jeszcze w domu. Zupełnie zapomniał o koncercie brata... Zapomniał, jak wspaniałe było życie, które wiódł do tej pory. Zwyczajne, normalne życie. Czy życie mogło być jeszcze normalne? I czy on nadal mógł być normalnym chłopcem?

Teraz mógł myśleć tylko o tym, żeby położyć się do łóżka, nakryć ciepłą, miękką kołdrą i wreszcie poczuć bezpiecznie. Ojciec zajrzał do jego pokoju, ale nie przytulił go ani nie pogładził po głowie. Stojąc w drzwiach, powiedział tylko ..dobranoc”.

Michael wymamrotał w odpowiedzi niewyraźne „branoc” i zamknął oczy, próbując zasnąć. Zanim się położył, myślał, że od razu zaśnie - po tym wszystkim.

Ale sen nie chciał przyjść. Życie nie było już takie proste. Leżał z dłońmi zaciśniętymi w pięści i wpatrywał się w sufit, na którym rysowały się odbite od mokrej szyby dziwne, nierozpoznawalne kształty. Nie był pewien, czy chce na nie patrzeć, ale nie potrafił oderwać

od nich wzroku.

W garażu Michael Sullivan senior czyścił i oliwił rozłożone części swojego pistoletu maszynowego - broni skonstruowanej do walki w okopach wielkiej wojny, w której brał udział, ale zaprojektowanej za późno, by trafiła na front.

Wytarł tłuste ręce szmatką i metodycznie, z namaszczeniem włożył części karabinu do wyłożonego pluszem futerału. Schowawszy walizeczkę do szafki, starannie zamknął drzwiczki na klucz.

Ale nie wrócił od razu do domu. Stał przed zamkniętą szafką i patrzył przed siebie zatopiony w myślach, próbując ogarnąć możliwe konsekwencje tego, co się stało. Martwił się o syna, o jego zdrowie, przede wszystkim jednak bał się o bezpieczeństwo ich wszystkich.

Connor Rooney to niezrównoważony, niebezpieczny człowiek. Gdyby jego ojcem nie był John Rooney, Michael Sullivan jeszcze tej samej nocy wytropiłby go i zabił.

Ale Connor należał do rodziny, był trochę jak brat. A John Rooney był dobrym, wspaniałomyślnym i łagodnym człowiekiem i kochał Michaela Sullivana i Annie, a zwłaszcza ich dzieci. Sullivan nie wątpił w to - tak samo jak nie wątpił w istnienie Boga, nieba i piekła.

Jednak nawet najpobożniejszy człowiek miewa chwile zwątpienia.

Kiedy następnego ranka ojciec wszedł do kuchni. Michael, Peter i Annie siedzieli już przy stole i jedli śniadanie. Annie uśmiechnęła się do męża, ale on wydawał się rozkojarzony. Cała jego uwaga skupiała się na starszym synu, który zdawał się unikać jego wzroku.

Mimo to Annie nie wyczuła złości ani u męża, ani u syna.

- Umyjesz swój talerz? - spytała Michaela.
- Później.
- Zaraz wychodzisz do szkoły, więc...
- Chłopak wzruszył apatycznie ramionami.
- Przecież to tylko talerz.

Zdumiona, popatrzyła na męża, oczekując wsparcia, ale Sullivan spuścił tylko wzrok. Co się tu dzieje? To niepodobne do Michaela - jego słowa nie miały w sobie nic ze zwykłego łobuzerskiego tonu; nie było w nich sprzeciwu, raczej rezygnacja, jakby mu w ogóle nie zależało...

Klakson samochodu za oknem przyciągnął uwagę całej rodziny.

Rozpoznawszy samochód pana Rooneya, Michael wstał od stołu i skierował się do drzwi. Peter ruszył za bratem.

Annie przyglądała się z uwagą, jak mąż podchodzi do okna. Po chwili dołączyła do

niego. W scenie za oknem nie było nic niezwykłego. Przed dom zajechał błyszczący pierce - arrow, kierowca zatrzymał wóz, a tylne drzwiczki otworzyły się w samą porę, żeby John Rooney zdołał złapać Petera, który rzucił mu się radośnie w ramiona.

- Co on tu robi? - zapytała Annie męża.

Sullivan zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Michael ukrył się wczoraj wieczorem w samochodzie, zanim wyjechałem - rzekł wreszcie.

- O Boże, Michael...

- Rozmawiałem z nim. To się więcej nie powtórzy.

Zaczęła coś mówić, ale spojrzał na nią wymownie. Jego spojrzenie mówiło: żadnych pytań, nie będziemy o tym rozmawiać. Odszedł od okna, wziął płaszcz i kapelusz i wyszedł na dwór.

Tymczasem na podwórzu pan Rooney podszedł do wsiadającego na rower Michaela.

- A, tu cię mam, kolego! - zawołał, wytykając chłopca zakrzywionym palcem. Zbliżył się do niego i dodał z konspiracyjnym uśmieszkiem: - To będzie nasza tajemnica, okej?

Michael cofnął się przestraszony.

Pan Rooney zmarszczył brwi.

- Mówię o grze w kości - wyjaśnił, wyjmując lśniąca monetę. - Człowiek honoru zawsze płaci swoje długi.

Chłopiec niepewnie przyjął dolara.

Pan Rooney stał tak blisko, że Michael czuł bijący od niego zapach cygar, alkoholu i kawy.

- I dotrzymuje słowa - dodał starszek z dziwnym złowrogim błyskiem w błękitnych oczach.

Nigdy przedtem Michael nie dostrzegł w nich nic podobnego.

- Spóźnię się do szkoły - wymamrotał, wsiadając na rower. Gdy odjeżdżał, czuł na plecach palące spojrzenie pana Rooneya.

John Rooney odwrócił się w stronę domu i zobaczył idącego w jego kierunku Sullivana. Annie stała w oknie, wyglądała na zaniepokojoną. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie i pomachał, gdy jej mąż wsiadał do pierce - arrowa. Też mu pomachała, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

Dziesięć minut później Rooney i Sullivan pili kawę w przytulnym pubie w centrum Rock Island. Było tłoczno, wielu ludzi przyszło zjeść tu śniadanie. Kilku z gości należało do obstawy Rooneya; kilku następnych osiłków przechadzało się z groźnymi minami po

chodniku przed knajpą.

Stary wiedział, że w dzień po takiej rozróbie jak wczoraj trzeba się mieć na baczności.

- Jak się czuje Michael? - zapytał.

- Sullivan uspokoił się nieco, słysząc te słowa.

- Rozmawiałem z nim - odparł. - Rozumie sytuację.

- Zobaczył to pierwszy raz... - Rooney pokiwał głową ze zrozumieniem. - Ciężkie przeżycie dla chłopaka.

Sullivan milczał pogrążony w myślach. Rooney odgadł, że wspomina swój pierwszy raz.

- Cóż - powiedział, uśmiechając się ciepło do lojalnego podwładnego - ty jakoś się z tego otrząsnąłeś.

Sullivan nie odwzajemnił uśmiechu. W jego oczach było coś, co zaniepokoiło Rooneya.

Chłopcy to chłopcy, pomyślał stary. Wszyscy bawią się w wojnę.

- Nie możesz chronić dzieciaka całe życie - rzekł. - Gdyby nie stało się to, na pewno przytrafiłoby się coś innego.

Sullivan nadal milczał.

Rooney skinął na kelnerkę i poprosił o rachunek.

- Synowie są po to, żeby dostarczać zmartwień swoim ojcom - powiedział sentencjonalnie.

Sullivan uśmiechnął się i Rooney poczuł ulgę: chłopak nadal go kochał.

W czasach, kiedy mój ojciec pracował dla Rooneya, nie miałem pojęcia, że jego chlebodawca był adwokatem. Ale John Rooney rzeczywiście skończył prawo i został przyjęty do palestry. Wkrótce zaczął zawierać liczne znajomości i wyrabiać sobie kontakty w świecie biznesu i polityki. Nic nie zapowiadało wtedy późniejszej przestępczej działalności młodego ambitnego prawnika. Startował nawet w wyborach do stanowej legislatury z ramienia demokratów.

Ale kiedy przegrał, zaczął budować własny system rządów.

W ciągu następnych kilkudziesięciu lat zdołał stworzyć potężną organizację przestępczą, która czerpała zawrotne zyski z każdej działalności będącej w owym czasie niezgodną z prawem.

Z pomocą polityków czy bez nich, zgodnie z prawem lub nie - John Rooney rządził miastem ze swojej siedziby na wzgórzu.

John Rooney siedział u szczytu długiego stołu, odwrócony plecami do Sullivana, który ze swojego miejsca widział prawie wszystkich zaproszonych na zebranie Rooneyowskiej „rady nadzorczej”. Spotkanie odbywało się w salonie, w którym nie tak dawno bawili się żalobnicy. Tylko kilku zjawilo się dzisiaj; wśród nich naczelnik policji. Nie zabrakło również elegancko ubranego Connora Rooneya, który siedział obok ojca.

W zebraniu brało udział ośmiu delegatów wszystkich agend Rooneyowskiego imperium - gorzelni, kasyn i burdeli. Kończąca się właśnie kolacja była pracowita. Obok filiżanek, szklanek i talerzy na stole leżały teczki dokumentów.

Jimmy i Sean, dwaj najlepsi goryle Rooneya, stali przy drzwiach; ale za plecami szefa mógł się znaleźć tylko najbardziej zaufany człowiek - Mike Sullhan, który siedział przy ścianie i popijał whisky. Sullivan nie lubił myśleć o sobie jako o ochroniarzu Rooneyów, lecz w niektórych sytuacjach właśnie nim był. Większość gości odbyła tego dnia indywidualne spotkania z Johnem Rooneyem; po wczorajszej jatce w magazynie Sullivan był przygotowany na próbę zemsty.

Na razie z obozu McGoverna nie podniosły się żadne głosy sprzeciwu, ale dzisiejsze zebranie poświęcono głównie załagodzeniu sytuacji i przygotowaniom do bezkrwawego wyłonienia następcy Fina. Nikt nie śmiał zająć pustego krzesła, należącego jeszcze niedawno do McGoverna, którego nieobecność wymownie świadczyła o wczorajszym nieszczęściu.

Głos zabrał Joe Kelly, pięćdziesięcioletni elegancko ubrany wspólnik w kancelarii

prawniczej Rooneya.

- John jasno dał do zrozumienia - powiedział - że siatka Fina McGoverna zostanie podzielona na dwie części. - Z ledwie zauważalnym skinięciem głowy w stronę pustego krzesła dodał: - Chciałbym skorzystać z okazji i podziękować teraz naszemu przyjacielowi panu Rance'owi, że zgodził się zmienić swoje plany i przyjechać tu do nas.

Wskazał siedzącego po drugiej stronie stołu nienagannie ostrzyżonego drobnego człowieczka pod czterdziestkę, który nie tracił czasu i czynił już wyraźne próby zagarnięcia całego terytorium McGoverna. Rance i Kelly spotkali się z Rooneyem po południu. Rozmowa trwała bardzo krótko, jeśli zważyć, że tak ważny człowiek jak Rance musiał odłożyć inne zawodowe podróże tylko z jej powodu.

- Dziękuję ci, Joe - powiedział Rance.

Rance'owi należały się specjalne względy. Był wszak jednym z najważniejszych doradców finansowych i drugim po Jake'u Guziku księgowym mafii Capone'a. Ale Guzik reprezentował stare pokolenie, przyszłość należała do Rance'a. Mimo że uczestniczył w zebraniu od początku, wymieniał z innymi gośćmi tylko grzecznościowe uwagi i uprzejme gesty, całą inicjatywę oddając prawnikowi.

Kelly poprawił okulary, spojrzął na Rooneya i mówił dalej:

- Pan Rance spotkał się dzisiaj z Johnem, by omówić sprawę naszego ewentualnego zaangażowania w związki zawodowe...

Sullivan zastanawiał się, dlaczego Rance nie mówi we własnym imieniu. Może z powodu Johna Rooneya, który odezwał się właśnie tubalnym głosem:

- Powiedziałem panu Rance'owi to co poprzednio. Wzbogaciliśmy się na tym, co ludzie robią po pracy. - Podkreślił, że dotyczy to także Rance'a i jego przyjaciół z Chicago. Ludzie lubili pić, robić zakłady, uprawiać seks... i słono płacili organizacji Rooneya za te przyjemności. - Więc dlaczego mamy ich jeszcze dymać w pracy?

Rooney przez chwilę wpatrywał się w puste krzesło. W końcu, nie podnosząc wzroku na syna, spytał:

- Connor, chciałbyś coś powiedzieć na temat wczorajszej nocy?

Dopiero teraz spojrzął na syna. Sullivan nie widział tego spojrzenia, ale w wyobraźni zobaczył je wyraźnie: zimne błękitne oczy, kamienna twarz, gotowa za chwilę wykrzywić się z wściekłości.

Connor, niczym uczeń zaskoczony niespodziewaną klasówką, zachichotał nerwowo i rzekł:

- Cóż... chciałbym przeprosić za to, co się stało. Zwłaszcza ciebie, tato... Dwie stypy w

miesiącu... cóż mogę dodać?

John Rooney zbladł.

- Straciliśmy wczoraj dobrego człowieka. - Zmierzył syna spojrzeniem, które zamieniłoby żonę Lota w słup soli równie skutecznie jak wyrok Boży. - Myślisz, że to zabawne?! Spróbuj jeszcze raz.

Connor robił, co mógł, by ratować resztki godności. Tym razem bez uśmiechu i tak cicho, że trudno go było usłyszeć, rzekł:

- Chciałbym wszystkich przeprosić za...

Rooney przerwał mu w pół zdania, waląc pięścią w stół.

- Chciałbyś przeprosić? Spróbuj jeszcze raz.

W salonie zapadła martwa cisza. Wszyscy oprócz Johna Rooneya poczuli zakłopotanie. Nawet Sullivan, mimo że potępiał wczorajsze zachowanie Connora, zaczął mu współczuć. Tymczasem Connor odsunął krzesło, wstał i jak niegrzeczny chłopiec skarcony w obecności kolegów spuścił głowę.

- Panowie - powiedział. - Przepraszam.

Oblał się rumieńcem i trzął jak osika pod karcącym spojrzeniem ojca. Złość miała przyjść później - teraz mógł tylko powstrzymać się od płaczu.

- Czy wszyscy wiedzą, co robić z migającymi się od zwrotu długów? - zapytał Kelly, łagodząc napięcie. - Trzeba poprawić ściągalność.

Connor, szczęśliwy, że przestał być w centrum uwagi, usiadł i patrzył szklistymi oczami w stół.

Rooney obejrzał się za siebie i powiedział:

- Mike?

- Po prostu dajcie mi ich nazwiska - odparł Sullivan. - Powiedźcie, kogo odwiedzić.

Po chwili Rooney wstał od stołu.

- Dziękuję, panowie - powiedział, żegnając gości. Potem odwrócił się do Sullivana i zapytał: - Pójdiesz ze mną na górę?

- Jasne.

Gdy goście zbierali swoje papiery, Rooney podszedł do Sullivana, objął go ramieniem i poprowadził w kierunku schodów. Gawędził z nim, po przyjacielsku nazywając swoim aniołem, który łopotem skrzydeł sprowadza zbłąkane dusze na właściwą drogę.

Connor, który jako jedyny nadal siedział przy stole, obserwował tę scenę z rozżaleniem. Ludzie zebrani w tym pokoju - ludzie, którzy kiedyś znajdują się pod jego dowództwem - widzieli, jak ojciec go znieważył i upokorzył, a chwilę później spoufalał się z

tym durniem Sullivanem.

Salon opustoszał, a Connor wciąż siedział przy stole pogrążony w myślach, zagubiony w krętych korytarzach własnych fobii i ambicji.

Sullivan wyszedł z gabinetu Rooneya po niespełna godzinie. Właśnie miał wsiąść do samochodu, kiedy usłyszał zaskakująco radosny głos Connora:

- Mike!

Odwrócił się, a Connor podbiegł do niego z uśmiechem.

- Tata zapomniał ci to dać. Ponaglenie dla Tony'ego Calvino. Znowu się spóźnia.

Wręczył Sullivanowi zaklejoną kopertę z napisanym odręcznie nazwiskiem adresata.

- Jedziesz ze mną?

- Nie... mam na jakiś czas areszt domowy - odparł Connor dziwnie potulnym głosem. - Słuchaj, przepraszam za wczoraj. Byłem... no, wiesz.

Wydawało się, że szczerze żałuje kłopotów, jakich narobił. Obaj wiedzieli, że młody Rooney powinien był uważać na słowa w obecności dumnego, oplakującego śmierć brata McGoverna.

- W porządku - powiedział Sullhan.

Connor pomachał mu na pożegnanie i zawrócił do domu. Wydawał się cholernie łagodnie usposobiony jak na kogoś, kto przed godziną został ponizony przez własnego ojca w obecności tylu ludzi.

Jasne, pomyślał Sullivan, wiele zachowań Connora da się wytłumaczyć jednym prostym faktem: skurczybyk jest zdrowo stuknięty.

Na leżących w stanie Iowa brzegach Missisipi znajdowało się Dolarowe Miasteczko - siedlisko grzechu, gdzie, jak mówiono, wszystko kręciło się wokół forsy i wszystko można było kupić za dolara. Przyklejone do przedmieść Davenport, należało prawie w całości do Tony'ego Calvino.

Sullivan nie lubił tego miejsca. Zaparkował forda na ulicy przed ognistoczerwonym neonem U Calvino, wysiadł z samochodu i wszedł w boczną uliczkę, gdzie było tylne wejście do lokalu.

Jego właściciel. Tony Calvino, był niegdyś jednym z najbardziej wpływowych ludzi w przestępczym półświatku, ale że miał słabość do towarów, którymi handlował - alkoholu, kobiet i narkotyków - stoczył się do poziomu jednego z wielu wasali Johna Rooneya.

Sullivan zszedł po schodkach do wejścia oznaczonego drewnianą tabliczką z napisem Bilard. Przed drzwiami stał ponury dryblas w przyciasnym garniturze. Miał znudzoną, pewną siebie minę faceta, który obił ryje niezliczonej liczbie bliźnich.

- Mogę w czymś panu pomóc? - zapytał z nutką sarkazmu w głosie. W ciemnym garniturze i płaszczu Sullivan musiał wyglądać jak jeden z wielu splajtowanych biznesmenów. - Czy przyszedł się pan tylko rozejrzeć?

- Ja do pana Calvino - odparł Sullivan.

- Jasne, kogo mam zapowiedzieć?

- Mikę Sullivan.

Dryblas wytrzeszczył oczy i zbladł.

- Aaa... tak jest, proszę pana.

Już chwycił za klamkę, gdy Sullivan zapytał spokojnie:

- Nie zamierzasz mnie przeszukać? Dryblas zamrugął.

- A powinienem?

- Myślę, że to dobry pomysł.

Wykidajło posłusznie skinął głową. Znalazłszy kolta w kaburze na piersi Sullivana, wetknął go sobie za pasek i wzruszył przepaszająco potężnymi barami.

- To wszystko, co mam - zapewnił Sullivan.

Dryblas wprowadził go do sali wypełnionej stołami bilardowymi. Była pusta, nikt nie grał w bilard o tej porze.

Otworzył przed Sullivanem następne drzwi, za którymi znajdowało się jasno oświetlone, wypełnione ludźmi kasyno. Większość gości stanowili zwykli robotnicy ze swoimi dziewczynami lub żonami, ryzykujący stratę pieniędzy, o które tak trudno było w tych ciężkich czasach. Przy automatach na żetony pałętały się hordy oszołomionych dzieci.

Dryblas musiał niemal krzyzczeć, żeby jego głos dotarł do uszu Sullivana.

- Jestem, cholera, dorosłym facetem, ale ci ludzie zaczynają mnie wkurzać. Niby nie mają forsę na żarcie, a ciągle ją tu trącana ruletkę i oczko... Czasami żal mi ich, rozumie pan?

Sullivan powstrzymał się od komentarza.

Przedarli się do następnego kręgu piekła. Trzecie drzwi otworzyły się na burdel Calvina. W pełniącej funkcję recepcji skąpo oświetlonej sali udekorowanej czerwonymi aksamitnymi kotarami i czarno - czerwona tapeta stały pod ścianami złane tanimi perfumami, oblepione kilogramami pudru i wypacykowane kobiety w różnym wieku, prezentując swe wdzięki przebierającym wśród nich robotnikom, kupcom i urzędnikom.

Siedząca przy drzwiach burdelmama - około pięćdziesięcioletnia kokota - zawołała:

- Numer dwanaście do pokoju różanego. Numer dwanaście, pokaż no się, szczęściaro!

Blondwłosa lafirynda, która została wywołana, podbiegła do wyglądającego na kupca klienta i z uśmiechem wartym każdego grosza poprowadziła go w głąb mrocznego korytarza.

Sullivan i wykidajło podążyli ich śladem.

- Nie jestem stąd - ciągnął gadatliwy osiłek. - Ale w tych cholernych czasach robota nie leży na ulicy.

Dziwka i jej klient zniknęli za kotarą zasłaniającą pozbawione drzwi wejście do pokoiku; po obu ścianach korytarza było kilkanaście takich zakrytych kotarami wejść. Gdy mijali kolejne z nich, przytłumiona, nieskładna melodia jęków i postękiwań dostarczała muzycznego tła dla wynurzeń dryblas. Zabawne, jak bardzo okrzyki rozkoszy przypominają jęki bólu, pomyślał Sullivan.

- Jestem z zawodu bokserem. Zdobyłem dziewięć tytułów pod rząd.

To rekord South Orange. Mógłbym być naprawdę dobrym ochroniarzem. Tak mi się wydaje.

Sullivan nadal milczał. Szli teraz następnym korytarzem, na końcu którego znajdowały się drzwi.

- Chodzi mi o to - powiedział dziewięciokrotny mistrz South Orange - że może pan Rooney szuka kogoś takiego? Kogoś takiego jak ja na ten przykład? Czy mógłby pan go o to zapytać?

- Jasne.

Gębę boksera rozświetlił szeroki uśmiech.

- Dziękuję! Naprawdę bardzo panu dziękuję, panie Sullivan.

Rozradowany dryblas zapukał do drzwi i, nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Sullivan przyłożył ucho do drzwi i usłyszał następującą wymianę zdań:

- Panie Calvino, przyszedł pan Sullivan.

- Kurwa mać... Ma gnata?

- Już nie.

Sullivan uśmiechnął się dobrodusznie.

- Dobra, wprowadź go - usłyszał głos Calvina. - Ale nie odchodź, okej?

Rozległ się zgrzyt otwieranej szuflady, a potem ciche stuknięcie czegoś twardego o drewno i szelest papieru.

W drzwiach pojawił się uśmiechnięty przyjacielsko dryblas, zapraszając Sullivana do środka.

Gabinet okazał się zaskakująco brudny i obskurny. Pod obłazący - mi z tapety ścianami stały stosy kartonowych pudeł, na biurku wały się gazety i księgi rachunkowe. Na jednej ze ścian wisiały zdjęcia Louisa Armstronga i innych jazzowych sław, które grały u

Calvina - każde pod innym kątem.

Za biurkiem siedział człowiek, który kiedyś był w Tri - Cities jedyną liczącą się konkurencją Johna Rooneya. Anthony Calvino, wielki tusty mężczyzna z łzawiącymi oczami, miał na sobie wymięty ciemny garnitur i niedbale zawiązany kolorowy krawat.

Na zawalonym papierzyskami blacie leżał okładką do góry otwarty magazyn, jakby Calvino właśnie oderwał się od lektury. Wszystkie papiery na biurku i zdjęcia na ścianie podskakiwały lekko w rytm dochodzącej z baru głośniejszej jazzowej muzyki. Każdemu innemu szefowi przeszkadzałby ustawiczny hałas, ale oszołomiony opium Calvino zapewne w ogóle go nie zauważał.

Nie wstając z fotela, uśmiechnął się szeroko i rozłożył ramiona w powitalnym geście, jak gdyby Sullivan był jego dobrym przyjacielem.

- Hej, jak ci leci?... U starego wszystko gra? Nie podali sobie rąk.
- Tak - mruknął Sullivan.
- Co cię tutaj sprowadza? Chyba nie dupy.
- Sullivan pokręcił głową.

Calvino zaczął przedstawiać litanię swoich problemów: cholerne rachunki, szmalec dla glin i polityków. W Iowa nie ma lekko, ale przecież zawsze jest lojalny wobec cezara...

- Mam list od pana Rooneya. - Sullivan podniósł rękę, sięgając do kieszeni marynarki.

Calvino i wykidajło drgnęli instynktownie. Obaj patrzyli w skupieniu, jak Sullivan wkłada dłoń do kieszeni. Kiedy wyjął z niej kopertę, obaj odetchnęli z ulgą. Rozbawiło to Sullivana. Zła reputacja ma swoje dobre strony.

Calvino wziął kopertę i zapytał:

- Znowu z czymś wiszę? - Sięgnął po nóż do papieru, który podskakiwał w rytm muzyki na blacie. - Będę miał kłopoty?

- Nie wiem... - odparł Sullivan i spojrzał na rozłożony magazyn; czyżby coś pod nim było?

Calvino rozłożył list i zaczął czytać. Zmarszczył brwi i podrapał się w podbródek, ale potem jego twarz zrobiła się zupełnie obojętna.

Zza ściany wciąż huczała muzyka, przedmioty na biurku podskakiwały rytmicznie... Nagle spod rozłożonego magazynu wyrzało coś czarnego i metalicznego.

Calvino spojrzał na wykidajkę i lekko kiwnął głową w stronę Sullivana.

Może gdyby nie był narkomanem, zareagowałby wystarczająco szybko... A może nie. Tak czy owak, zdołał przesunąć rękę tylko o kilka centymetrów. Sullivan odsunął czasopismo i złapał rewolwer. Błyskawicznie pociągnął za spust i głowa Calvino opadła na biurko,

rozsypując dookoła papiery.

Sullivan już stał twarzą do przyjaznego osiłka, który właśnie szukał na oślep pistoletu zatknętego za pasem.

Zamiast referencji dryblas dostał od Mike'a Sullivana jedną kulkę. Uderzył plecami o ścianę i - do wtóru kończącego się właśnie *Muskrat Ramble* - osunął się na podłogę.

Sullivan odczekał, żeby się upewnić, czy nikt nie zamierza wparować do pokoju - ale muzyka skutecznie zagłuszyła strzały.

Spojrzał na biurko, gdzie leżał list, którego adresat już nie żył. Podniósł go i przeczytał jedno proste zdanie:

ZABIJ SULLIYANA I BĘDZIEMY KWITA.

Nagle uświadomił sobie, że został tu posłany nie tylko na spotkanie z własną śmiercią.

Connor Rooney miał jeszcze drugi cel.

- Michael - szepnął Sullivan, sięgając po stojący na biurku telefon.

Nowel po tych wszystkich latach jedno pytanie pozostaje bez odpowiedzi: Czy spiszek przeciwko Mikę 'owi Sullivanowi był dziełem samego Connora Rooneya? Jaką rolę odegrał w tym wszystkim John Rooney?

O dziwo, ojciec nigdy o tym nie rozmawiał, w każdym razie nie ze mną. Nie ma jednak wątpliwości, że tamta noc na zawsze go odmieniła - odmieniła nas obu.

Mimo trosk i zmartwień, jakich nie szczędziło jej kilka ostatnich dni, mimo obaw o to, co jej syn Michael widział zeszłej nocy - Annie Sullivan wciąż potrafiła się śmiać. A w każdym razie Peter umiał ją skłonić do śmiechu.

Matka i syn byli w łazience na górze. Była to jedna z tych zwyczajnych, ale drogocennych chwil, których Annie nie uważała za dane raz na zawsze: za rok, jeśli nie wcześniej, jej młodszy syn będzie się czuł niezręcznie, kąpiąc się w jej towarzystwie. Już był na to za duży - wiedziała o tym - ale dla niej Peter wciąż był jeszcze małym dzieckiem, mimo że skończył dziesięć lat.

Chłopiec lubił gorącą wodę, więc całą łazienkę wypełniała mleczna mgła, lustra były zaparowane. Właśnie mu powiedziała, żeby wychodził z wanny i przestał na nią chlapać. Pochyliła się i chlusnęła na niego wodą, ale chłopak wcale się tym nie przejął.

Uznał, że to zabawne, że mama jest na tyle nierozsądna, by ochlapać kogoś, kto i tak był już cały mokry. Jego dziecięcy śmiech rozbrzmiał w zamkniętym pomieszczeniu. Matka także się śmiała, podając chłopcu ręcznik i pomagając mu wyjść z wanny. Zaczęła go wycierać, a on nadal chichotał.

Wtem uchyliły się drzwi i oboje ujrzeli tonącą w mroku postać mężczyzny w ciemnym płaszczu.

O, wrócił pan domu, pomyślała z uśmiechem, wycierając synka. Lecz gdy drzwi otworzyły się szerzej, zdała sobie sprawę, że mężczyzna z pończochą na twarzy wcale nie jest jej mężem.

Przerażona przytuliła Petera mocno do piersi. Oczy pod maską zamrugały - intruz wydawał się prawie tak przestraszony jak ona.

Mimo to zamaskowany mężczyzna uniósł dłoń, w której trzymał pistolet.

Annie odwróciła się do niego plecami, zasłaniając syna. Pistolet wystrzelił. Potworny huk dźwięczał jej w uszach, kiedy z kulą w sercu padała na podłogę.

Peter nie patrzył, kiedy rozległ się drugi strzał. Jego martwe ciało osunęło się w

ramiona nieżywej matki, ich krew łączyła się, spływając na białe kafelki podłogi. Wkrótce cała posadzka zrobiła się czerwona, tylko biały ręcznik nie nasiąkł jeszcze krwią - śnieżna wysepka w oceanie czerwieni.

No to spokój z cholernym smarkaczem, pomyślał Connor Rooney beznamiętnie, co zupełnie nie pasowało do jego trzęsących się rąk. Nie zdawał sobie sprawy, że zabił nie tego Sullivana.

Po popołudniu spędzonym u św. Piotra na przyjęciu urodzinowym, na którym pochłonął kilka kawałków tortu i grał w ciuciubabkę, Michael Sullivan junior jechał na rowerze do domu. Wieczór był chłodny i mróz szczypał go w policzki.

Miał w szkole kiepski dzień i nawet tort nie poprawił mu zbytnio nastroju. Podczas dużej przerwy starszy chłopak nabijał się, że jego tata pracuje „dla tego gangstera Rooneya”. Michael stracił nad sobą panowanie, zaczął bić i kopać chłopaka. Walka była nierozstrzygnięta, ale obaj musieli zostać po lekcjach w szkole.

Michaela wciąż bolała ręka, bo musiał napisać sto razy na tablicy: „Nigdy więcej nie będę się bił z kolegami”.

Wjeżdżał właśnie na podjazd, kiedy usłyszał huk. W pierwszej chwili nie wiedział co to - może strzał z rury wydechowej? Ale hałas zdawał się dochodzić z wnętrza domu i kiedy spojrzał w jego kierunku, zobaczył błysk w oknie na piętrze, a razem z nim drugi huk.

Już słyszał podobny dźwięk, wczoraj w nocy... Strzały z pistoletu?

Zeskoczył z roweru i popędził w kierunku domu. Nie myślał o niebezpieczeństwie, tylko o tym, że mama i Peter są w środku. Czy tata też? Nie zauważył, czy samochód stoi w garażu...

Te i tuzin innych gorączkowych myśli przebiegały mu przez głowę, kiedy wbiegał na ganek. Już miał wbiec do środka, gdy za szybą w drzwiach pojawiła się postać mężczyzny.

Michael zdrewniał: mężczyzna nosił maskę z pończochy, ale chłopakowi zdawało się, że go poznaje... Wtedy mężczyzna zdjął maskę i podejrzenia Michaela potwierdziły się: Connor Rooney. Wydawało się, że patrzy prosto na niego.

Chciał uciekać, ale nie mógł się ruszyć; wtedy nagle zdał sobie sprawę, że wujek Connor go nie widzi - przeczesywał sobie włosy, jakby chciał doprowadzić się do porządku, nim wyjdzie z domu. Wujek po prostu przyglądał się swojemu odbiciu w szybie!

Connor sięgnął do klamki. Michael przywarł do ściany, żeby po otwarciu drzwi znaleźć się za nimi.

I tak się właśnie stało. Wujek Connor otworzył drzwi na oścież i nie zauważył chłopca. Przystanął na ganku na chwiejnych nogach, wyciągnął z kieszeni flaszkę i wziął

porządny łyk. Potem, zostawiwszy otwarte drzwi, zszedł po schodkach i zniknął w mroku.

Kiedy Connor już sobie poszedł, Michael wyszedł z ukrycia. Coś jednak powstrzymywało go od wejścia do domu. Stał nieruchomo na ganku, patrząc przez otwarte drzwi.

Wiedział, że musiało się stać coś złego, wiedział, że powinien wbiec do środka, spróbować pomóc; ale był tylko dzieckiem, bał się i być może instynktownie przeczuwał, że jeśli rzeczywiście wydarzyło się coś złego - za sprawą tego szaleńca, który właśnie wyszedł - nie mógł już na to nic poradzić.

W końcu jednak odważył się wejść. Dom był dziwnie cichy, Michael słyszał tylko tykanie dziadkowego zegara i wodę kapiącą z kranu. I jeszcze monotony dźwięk - sygnał telefoniczny. Zobaczył nie - odłożoną słuchawkę; myślał, żeby ją położyć z powrotem na widelki.

ale w końcu tego nie zrobił. Na górze u szczytu schodów kłębiła się para z łazienki, ale zmieszana z innym dymem. Widział taki dym wczoraj w nocy.

Dygocąc, ruszył w stronę schodów. Wydawało mu się, że biegnie, ale naprawdę nigdy nie wchodził na górę tak wolno. Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami łazienki.

A potem wszedł do środka.

Instynkt go nie zawiódł: nie mógł już nic zrobić. Mama i brat leżeli bez życia na podłodze. Oboje mieli otwarte oczy, ale bez wyrazu - jak szklane kulki. Oboje zostali zabici strzałem w pierś. Leżeli w wielkiej kałuży krwi. Z kranu ciekła woda. Lustro było zaparowane. Mama i Peter nie żyli.

Michael wyszedł z łazienki - jak lunatyk w koszmarnym śnie - wrócił do schodów i zszedł na dół. Na stole w kuchni wciąż stał jego brudny talerz, resztki zeschniętego jedzenia przywarły do gładkiej, lśniącej powierzchni. Rano powiedział mamie, że umyje go, kiedy wróci, więc zostawiła talerz, żeby mu pokazać. Żeby dać mu nauczkę na przyszłość.

Wysypał resztki jedzenia do kosza na śmieci, podszedł do zlewu, puścił wodę. Tak jak prosiła mama. Będzie na przyszłość pamiętał.

Potem wrócił do stołu, usiadł na krześle i złożył ręce jak do modlitwy. Wiedział, że nie powinien dzwonić na policję; tata by sobie nie życzył. Siedział więc wciąż w tym samym miejscu, kiedy do domu wbiegł ojciec ze swoim pistoletem z wielkiej wojny.

Sullivan - nie mogąc się dodzwonić do domu i wiedząc, że nie może zadzwonić do nikogo związanego z Johnem Rooneyem ani na policję - złamał wszystkie ograniczenia prędkości, żeby wrócić na czas.

Nie powiedział nic do syna, który siedział przy stole bez ruchu.

Wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i biegł dalej, dopóki nie zatrzymał go okropny widok w łazience. „Nie!” - usłyszał z dołu Michael. Sullivan przyklęknął obok żony i przyłożył palce do jej szyi, na próżno szukając pulsu; potem przyłożył palce do szyi syna. W końcu wstał, zgasił ostre górne światło, żeby im się lepiej spało, i wyszedł na korytarz.

Oparł się o ścianę i wolno osunął na podłogę. Schował głowę w dłoniach i płakał. Wszystko stracone. Wszystko.

Michael przystanął nad płaczącym ojcem i przyglądał mu się w milczeniu.

W mieszkaniu Connora John Rooney stał nad synem, który siedział przy biurku ze spuszczoną głową. W pokoju panował bałagan, bo kilka minut wcześniej ojciec w złości powalił syna na podłogę.

- Przepraszam - mówił Connor. - Przepraszam...
- Ojciec domagał się wyjaśnień.
- Dlaczego to zrobiłeś, ty głupcze?!
- Dzieciak by się wygadał... Przepraszam.

Rooney wpadł w szał, przeklinał Connora, oskarżał o głupotę, o tchórzostwo, a potem - nie umiejąc inaczej wyrazić wściekłości, zaczął okładać syna, aż ten upadł na kolana.

- Ty głupi gnojku! - ryczał ojciec. - Niech cię diabli wezmą! Przeklinam dzień, w którym się narodziłeś... Przeklinam... Przeklinam...

Connor przyniósł mu tylko rozczarowanie i wstyd, powinien był go utopić w rzece jak cholernego kociaka.

Wreszcie Rooney, opadły z sił, zdruzgotany, ukląkł przy synu, jakby się z nim modlił. Connor dyszał ciężko i płakał jak dziecko. W końcu ojciec objął go, zaczął uspokajać, klepać po plecach.

- No już, już, mój chłopcze...

Sullivan kazał synowi spakować rzeczy. Musieli uciekać.

Michael przełknął ślinę i posłusznie pokiwał głową.

Poszedł do sypialni, którą dzielił z bratem. Spakował ubrania, kilka zabawek i Duże Małe Książki, których jeszcze nie zdążył przeczytać.

Tata zatrzaskała za nimi frontowe drzwi. Było w tym coś ostatecznego, nieodwołalnego, pomyślał chłopak.

Potem tata poszedł do garażu. Wrócił kilka minut później z czarną lśniąca walizką. Tommy pojedzie razem z nimi, pomyślał Michael z ulgą.

Nim wsiedli do samochodu, zatrzymał się i spojrzał na dom, w którym się wychował. Nigdy nie mieszkał gdzie indziej, nawet urodził się w tym domu, w sypialni rodziców, w której teraz leżała mama.

- To już nie jest nasz dom - powiedział ojciec, obejmując go. - Teraz to tylko zwykły pusty budynek.

Ułożyli bagaże na tylnym siedzeniu - dużą walizkę ojca, małą walizeczkę syna i futerał z thompsonem w środku - i pojechali. Tata prowadził samochód tak jak zwykle, spokojnie, bez pośpiechu, jakby nic się nie stało. Po dziesięciu minutach zostawili za sobą przedmieścia i wjechali do centrum Rock Island. Ojciec zaparkował samochód z dala od latarni i świateł.

Po drugiej stronie ulicy żarzył się neon z napisem: Hotel FloRENCE.

- Zostań w samochodzie. I nikomu się nie pokazuj - powiedział Sullivan.

Ale kiedy zaczął wysiadać, Michael uchwycił się jego ramienia i nie chciał puścić.

Ojciec spojrzał mu w oczy - Michael jeszcze nie widział takiego spojrzenia u taty. Było przepraszające i smutne. Tata miał czerwone, spuchnięte oczy.

- Jutro zorientują się, że nas nie ma, i zaczną nas szukać - tłumaczył synowi. - Muszę cię teraz chronić.

- Proszę, tato! - Michael nie mógł zrozumieć, co zostawienie go samego w samochodzie miało wspólnego z ochroną.

Ojciec usiadł obok niego zamyślony, jakby bił się z myślami. W końcu sięgnął do lewej kieszeni marynarki, wyjął mały rewolwer z bardzo krótką lufą i wręczył go Michaelowi.

- Weź to.

Chłopak nie potrafił rozewrzeć palców.

- „No, weź go, synku.

- Nie! Nie! Nie chcę!

Ojciec łagodnie, ale stanowczo wyprostował palce chłopca i położył mu broń na dłoni.

Przestrzegł Michaela, że gdyby usłyszał krzyki i strzały, ma siedzieć w samochodzie i czekać.

- W magazynku jest sześć nabojęw. Jeżeli nie wrócę w ciągu pół godziny, idź do pastora Lyncha od metodystów i opowiedz mu, co się stało... Tylko nie idź do ojca Callawaya.

Michael nie rozumiał - miał iść do protestanckiego kościoła! Dlaczego nie do św. Piotra i ojca Callawaya?

Ojciec półszepem wytłumaczył mu, że kościół został wybudowany za pieniądze

Rooneya... który w zeszłym roku wysłał księdza Callaway'a do Rzymu na spotkanie z papieżem. Nie mieli czego szukać u św. Piotra.

Michael nic nie mówił, tylko patrzył na pistolet, który w jego małej dłoni wydawał się tak duży.

Ojciec miał już otworzyć drzwiczki, ale spojrzał jeszcze na syna. Jakby chciał go jak najlepiej zapamiętać. Potem wyszedł z samochodu i zniknął w mroku.

Ukrywszy się w bramie budynku naprzeciw hotelu Florence, Sullivan obserwował samochody zaparkowane przy krawężniku i mężczyzn zbierających się przed wejściem, okazały tłum chłopców Rooney'a, którzy gotowali się do pościgu za nim. Jakby na potwierdzenie tego, co i tak wydawało się oczywiste, w padających przechwałkach powtarzały się słowa „Sullivan” i „Anioł”.

Wkrótce niedawny podwładny Rooney'a - widząc, jak tłum przed hotelem rzednie, a samochody odjeżdżają, aby go tropić - wszedł w uliczkę za hotelem. O dziwo, nikt nie stał tu na straży. Sullivan zaczął się wspinać po schodach przeciwpożarowych.

Kiedy znalazł się na wysokości pierwszego piętra, zajrzał przez okno na pusty korytarz. Otworzył okno i wszedł cicho do środka, cały czas szukając wzrokiem uzbrojonych strażników. Nikogo. Poszedł korytarzem do drzwi mieszkania Connora Rooney'a. Przez szparę we framudze zobaczył palące się w środku światło. Pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, to wyważyć drzwi kopniakiem. Ale to by był za duży hałas.

Nacisnął więc najpierw klamkę - drzwi otworzyły się!

Uniósł pistolet i wszedł do pokoju. Naprzeciw niego, odwrócony plecami, siedział w fotelu Joe Kelly. Pewny siebie i elegancki prawnik zdawał się czekać właśnie na Sullivana. Na stoliku obok leżała walizka.

Sullivan zamknął za sobą drzwi i, rozejrzawszy się po apartamencie, powiedział do długoletniego wspólnika Johna Ronneya:

- Nie mam z panem o czym rozmawiać, panie Kelly.

Adwokat uniósł ręce, pokazując otwarte dłonie.

- Aleja mam. Jestem tu w charakterze przedstawiciela pana Rooney'a - rzekł, poprawiając się w fotelu.

Starał się mówić przyjaźnie, ale poważnie za razem. Powiedział, że jest tutaj, by zapewnić Sullivana, iż John Rooney nie miał nic wspólnego z tym nieszczęśliwym - można nawet powiedzieć: tragicznym - zamachem na jego rodzinę. Zrobił to samowolnie Connor Rooney...

W takim razie, odparł Sullivan, pan Rooney zrozumie, dlaczego Connor musi zginąć.

Kelly westchnął z odpowiednim do okazji poważnym wyrazem twarzy. Znowu poprawił się w fotelu.

Sullivan milczał.

- Co to? - zapytał w końcu, wskazując walizkę.
- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, Mikę. Pan Rooney chce cię zapewnić, że jest ich więcej, jeśli chcesz...

Sullivan skrzywił się tylko, dając jasno do zrozumienia, co sądzi o ofercie. Pieniądze... zawsze tylko pieniądze...

Prawnik pokręcił z ubolewaniem głową i przyznał, że okoliczności rzeczywiście są smutne.

- Mikę. masz przyjaciół w Irlandii. Dlaczego nie zabierzesz Petera i nie wyjedziesz?
- Nie mogę go zabrać. Peter nie żyje.

Kelly nie krył zaskoczenia, nie wiedział, co powiedzieć... Potem zdał sobie sprawę, że ten idiota Connor Rooney nawet nie wie, kogo zabił.

- Gdzie Connor? - spytał Sullivan.
- Kelly pokręcił głową.
- Ukrywa się.
- Gdzie?
- Wiesz, że nie mogę powiedzieć. Mikę.

Sullivan uniósł pistolet i wymierzył prosto w głowę prawnika. Ale Kelly był starym sądowym wygą. Spojrzał zimno na Sullivana i odpowiedział:

- Myślisz, że to coś zmieni, jak wycelujesz mi prosto w twarz? Gdybym ci powiedział i tak byłbym martwy. Ty zresztą też.

Sullivan odbezpieczył broń.

- Pomyśl, Mikę - powiedział z naciskiem Kelly, próbując nie dać po sobie poznać strachu. - Nie bądź głupi... Jestem tylko posłańcem...

Sullivan zastanawiał się przez chwilę. Opuścił pistolet i spojrzał na walizkę. W końcu jednak znowu wymierzył broń w Kelly'ego.

- W takim razie muszę przekazać panu Rooneyowi wiadomość.
- Jaką? - zapytał Kelly gotowy mu pomóc.
- Do Chicago. Jest tam pewien ważny człowiek. Pracowałem parę razy dla niego... Muszę się dowiedzieć, po której jest stronie.

Michael zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Jakiś ważny człowiek w Chicago... Tajemnicza sprawa...

- Spróbuj się przespać - poradził mu ojciec.

Michael oparł głowę o drzwi auta. Po wszystkim, co się tego dnia stało, czuł się bardzo zmęczony. Wiedział, że od razu zaśnie. Nim jednak zapadł w sen, zastanawiał się, jak nazywa się ten ważny człowiek z Chicago.

Sullivan powtarzał sobie to nazwisko w myślach.

Capone. Capone.

Zgrzytającemu z zimna zębami Michaelowi wydawało się, że usłyszał wystrzał, ale nie był pewien. To musiało być gdzieś daleko. Wkrótce przyszedł tata i usiadł za kierownicą. Ale wyglądał jakoś inaczej.

- Oddaj pistolet - powiedział. Michael zauważył drobne plamki krwi na dłoniach ojca, kiedy podawał mu broń.

Tata powiedział, że robi się zimno. Że Michael powinien wziąć koc z tylnego siedzenia i się okryć.

Chłopiec wykonał polecenie i odjechali.

- Dokąd jedziemy? - zapytał w końcu Michael.

Wielu uważało, że prawdziwym mózgiem organizacji Capone 'a był jego zastępca Frank Nitti. Nitti, podobnie jak mój ojciec w organizacji Johna Rooneya, był prawą ręką Capone 'a i naturalnym kandydatem na jego następcę.

Reprezentował nowy typ gangstera. Rozumiał, że mafia nie różni się zbytnio od innych dużych przedsiębiorstw w Ameryce i że głęboko zakorzeniona w psychice gangsterów skłonność do przemocy musi być trzymana na wodzy. Pod rządami Nittiego tak zwana mafia chicagowska rozszerzyła działalność: powiększyła wpływy w świecie legalnych interesów i związków zawodowych. Nie wahano się zabijać, kiedy było to konieczne, ale robiono to... dyskretniej.

Sullivan jechał całą noc, klucząc i wybierając mniej uczęszczane drogi, choć wątpił, by Rooney i jego ludzie zdołali przewidzieć jego podróż do Chicago. Mały Michael spał na tylnym siedzeniu, a on doświadczał dziwnego stanu, w którym jasność umysłu mieszała się z poczuciem nierzeczywistości świata. Reflektory forda przecinały ciemność, a okryte śniegiem rozległe farmy wydawały się w ich świetle jakimś bajecznym pustkowiem.

Gdy noc zaczęła zmieniać się w dzień i szare światło zalewało bezkresne pola, wiejski krajobraz nabrał cech konkretnej rzeczywistości i piękna. Annie miała oko do takich rzeczy. Latem pokazywała mu rosnące przy drodze kolorowe kwiaty, a w zimie potrafiła zwrócić mu uwagę na fantazyjny kształt ogołoczonego z liści drzewa, które wyglądało na tle nieba niczym widmo jakiegoś dziwnego szkieletu.

Chłopiec spał, a kiedy w końcu się obudził, byli już w centrum Chicago - bezpieczni i anonimowi wśród samochodów i wielkich drapaczy chmur. Małemu Michaelowi wszystko wydawało się ogromne, przypatrywał się wybudowanym ręką człowieka kolosom z niemym zachwytem.

Publiczna Biblioteka Chicago znajdowała się przy Michigan Avenue między Randolph i Washington Street. Pochodzący z przelomu wieków masywny budynek z wapienia nie był drapaczem chmur, ale raczej fortecą wiedzy. Chłopak będzie tam bezpieczny.

Wkrótce wmieszali się w tłum przechodniów, zwyczajny mężczyzna w płaszczu i kapeluszu z chłopcem w kurtce i czapce. Sullivan znowu poczuł się bezpiecznie, anonimowy. Odeskortował syna - któremu kazał zabrać swoją walizkę - do biblioteki od strony Washington Street. Wkroczyli w oszałamiający świat szklanych mozaik i marmuru. Zachwyt

małego Michaela wzbudził w Sullivanie ojcowskie uczucia i oderwał na chwilę od problemów, jakie miał na głowie.

Wprowadził syna do wielkiej czytelni, gdzie w długich rzędach ławek tłoczyli się studenci i naukowcy wymieszani z bezdomnymi, kobietami z dziećmi i staruszkami, którzy schronili się tu przed mrozem.

Posadził Michaela pośrodku ławy i powiedział:

- Zaczekasz tu na mnie.

Strach zajął chłopcu w oczy, ale wolał się nie sprzeciwiać woli ojca.

- Dobrze - odparł.

- Niedługo wrócę. Poradzisz sobie? Michael pokiwał głową.

- Zuch chłopak.

Sullivan nie zauważył, jak bardzo uszczęśliwiły syna te słowa.

W drodze do wyjścia zobaczył swoje odbicie w jednym z wielkich ściennych luster - nieogolony, oczy podkrążone po nieprzespanej nocy. Skręcił do łazienki, obmył wodą twarz i przygładził włosy.

Po odejściu ojca Michael otworzył swoją walizkę, gdzie wśród ubrań była także fajeczka, para kostek do gry i dwie Duże Małe Książki - jedna o Tomie Miksie i jedna o Samotnym Jeźdźcu. Wybrał drugą z nich, otworzył ją i usiadł. Jego wzrok padł na obrazek po prawej stronie, na którym Samotny Jeździec z rewolwerem w dłoni osłaniał szeryfa. Podpis pod rysunkiem mówił: Samotny Jeździec osłaniał szeryfa.

Po pięciu minutach chłopiec wciąż wpatrywał się w ten sam obrazek. W końcu z kamienną twarzą zatrzasnął książkę i odsunął na bok. Poczuł, jak zaczyna mu drgać dolna warga, łzy napływają do oczu, a twarz się krzywi, jakby nie miał nad nią żadnej kontroli.

Starał się płakać jak najciszej i nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, bo tego życzyłby sobie tata.

Stojący na skrzyżowaniu Dwudziestej Drugiej ulicy i Michigan Avenue hotel Lexington był kiedyś najbardziej ekskluzywnym hotelem w Chicago. Czternastopiętrowy budynek z zaokrąglonymi rogami i wykuszowymi oknami wciąż sprawiał imponujące wrażenie. Sullivan już tu bywał - tak jak w poprzedniej siedzibie mafii, hotelu Metropol, znajdującym się zaledwie przecnicę dalej. Organizacja Capone'a kontrolowała budynek, zajmując całe trzecie, czwarte i czternaste piętro oraz liczne pokoje rozrzucone po całym hotelu. Wiele z nich zajmowały prostytutki i tancerzki, które Capone trzymał w pobliżu dla siebie albo swoich ludzi.

Stojąc po drugiej stronie ulicy ze wzrokiem utkwionym w marmurowe pilastry

okalające wejście, Sullivan miał pełną świadomość, że wchodzi do jaskini lwa. Capone zainstalował w Lexingtonie alarmy, wybudował ruchome ściany, ukryte pokoje i Bóg jeden wie, co jeszcze. Chociaż hotel wyglądał zupełnie normalnie - portierzy i bagażowi krzętałi się przy przeszklonych drzwiach - w lobby będzie się aż roić od uzbrojonych gangsterów. Mimo to Sullivan nie miał przy sobie broni; pistolet i thompson zostały w fordzie. Jego atutami były śmiałość tego, co zamierzał zrobić, i jego reputacja.

Chwilę później przemierzał pewnym krokiem czarno - białą szachownicę posadzki wspaniałego lobby, kierując się w stronę wind. Jedna z tych wind - której zapewne nikt nie używał - stała pusta pod strażą dwóch gangsterów w garniturach z Maxwell Street.

Jeden z nich, zwałyści chłop o imieniu Harry, stał oparty plecami o ścianę i czytał „The Racing News”. Drugi, rosły i szczupły Marco kołysał się na piętach w tył i w przód, ćmiąc papierosa i gapiąc się na dziwki, których obecność pośród zaskakująco dużej liczby zwykłych gości - kupców i biznesmenów - składała się na niepowtarzalną atmosferę hotelu Lexington.

Sullivan podszedł do nich z wystudiowanym lekceważeniem.

- Siemanko, panowie. Jak leci?

Harry podniósł wzrok znad gazety, wyraźnie zdziwiony pojawieniem się nieogolonego gościa.

- Słyszeliśmy, co się stało. Jak się trzymasz? - zapytał.
- Muszę się rozmówić z panem Nittim - odparł, nie tracąc czasu, Sullivan.
- Szef jest cholernie zajęty.
- Mogę poczekać.

Strażnicy wymienili spojrzenia; obaj aż za dobrze wiedzieli, kim był i z czego słynął Mikę Sullivan.

- Dobra - wzruszył ramionami Harry. - Zawieź go na górę.

Marco wsiadł do windy, Sullivan za nim.

Marco obszukał Sullivana, który nie był tym zaskoczony - wiedział, że to rutynowe działanie.

Wreszcie Marco zatrzasnął metalową kratę. Jazda na czternaste piętro trochę trwała. Jechali w ciszy, nie zatrzymując się na innych piętrach, prosto na szczyt.

W końcu znaleźli się na miejscu - w dużej sali na najwyższym piętrze, gdzie politycy, mniej lub bardziej szanowani biznesmeni i ponuro wyglądający gangsterzy czekali na audiencję. Salę spowijała błękitna mgielka tytoniowego dymu, ludzie rozmawiali o interesach, sporcie, a nawet o rodzinie i popijali kawę. którą przewidująco zapewniła

organizacja Capone'a.

Sullivan powiedział synowi, że wróci za półtorej godziny, nie oczekiwał bowiem tak wielkiej liczby interesantów. Podeszedł do recepcjonistki, siedzącej przy biurku trzydziestoparoletniej uprzejmej kobiety w zakiecie, i podał jej swoje nazwisko. Przyznał, że nie jest umówiony, ale zasugerował, by powiedziała panu Nittiemu, że przyszedł Mikę Sullivan. Potem zajął wolne krzesło.

Po jakimś czasie, gdy wciąż jeszcze nie zrobiła tego, o co ją prosił, wbił w nią wzrok, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, zerknął na zegarek i uniósł brew.

Sekretarka zrozumiała, z kim ma do czynienia. Chociaż nazwisko Sullivan nic jej nie mówiło, wygląd zniecierpliwionego petenta wymownie świadczył, że nie miał on nic wspólnego ze światem biznesu i polityki. Mimo zaś wysiłków organizacji Capone'a, by sprawiać wrażenie normalnego przedsiębiorstwa, nawet ona wiedziała, jak naprawdę jest: śmiertelnie poważny nieogolony pan Sullivan nie mógł czekać.

Połączyła się z szefem przez interkom, przekazała wiadomość, a potem spojrzała na Sullivana i skinęła głową.

Podziękował jej, gdy otwierała przed nim drzwi.

Gabinet był przestronny i luksusowo urządzone: ściany wyłożone ciemnym drewnem, biurko, stół konferencyjny i oczywiście kominek, nad którym wisiał duży portret Ala Capone.

Frank Nitti - inaczej niż Capone - nie pozował na kinowego amanta ani w życiu, ani do portretów. Był drobnym czterdziestokilkuletnim mężczyzną ze starannie przyszczyżonym wąsem, dobrze ubranym, ale unikającym ekstrawagancji. Kiedy w białej koszuli bez marynarki, ale i bez poluzowanego krawata, podchodził do gościa, by podać mu dłoń, którą Sullivan uściskał, wydawał się serdeczny, a jednocześnie powściągliwy.

- Przepraszam, że musiałeś czekać. Mikę - powiedział, gestykułując ręką, w której trzymał zapalone cygaro. Całkiem nieźle udało mu się ukryć zaskoczenie widokiem nieogolonego, ubranego w pomięty garnitur Sullivana. - Właśnie dowiedzieliśmy się, co się stało... Boże, naprawdę ci współczuję.

Sullivan nic nie odpowiedział.

- Proszę, siadaj. Napijesz się kawy? Sullivan pokręcił głową.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął, panie Nitti - rzekł, wciąż stojąc.

- Nitty powiedział, żeby się nie wygłupiał. Al - poinformował Sullivana - zadekował się ze swoimi prawnikami na Florydzie, by przygotowywać się do jakiegoś procesu. Nitti jeszcze mu nie mówił, co się stało, ale był przekonany, że Al, który sam jest ojcem rodziny, byłby zdruzgotany tą wiadomością.

Wyraziwszy współczucie, Nitti przybrał bardziej oficjalny ton. Stali naprzeciwko siebie w bezpiecznej odległości, niedaleko okna, z którego rozciągał się wspaniały widok na południowe dzielnice Chicago - imperium Capone'a i Nittiiego.

- Więc co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał Nitti.
- Sullivan milczał przez chwilę, a potem odparł:
- Chciałbym dla was pracować.

Nitti wydawał się rozbawiony; zaśmiał się, wypuścił dym z cygara, a potem powiedział:

- No cóż, to bardzo interesująca propozycja, Mike.

Obaj zdawali sobie sprawę, że Sullivan jest mistrzem w swoim fachu. Gdyby Capone zyskał takiego lojalnego żołnierza, cała organizacja tylko by na tym zyskała.

- A w zamian - ciągnął Sullivan - chciałbym, żebyście przymknęli oko na to, co muszę zrobić.
- A co to takiego?

Sullivan spojrzał Nittiemu głęboko w oczy.

- Zabicie człowieka, który wymordował moją rodzinę.

Nitti wypuścił dym z cygara. Przez chwilę, która wydawała się Sullivanowi wiecznością, stał i milczał.

Wreszcie - nie bez stosownych uprzejmości - przypomniał Sullivanowi, że jego żona i synek już odeszli.

- Czy jeszcze jeden trup może tu cokolwiek zmienić? Dla Sullivana - tak.

- To dobra propozycja, panie Nitti. Będę pracował tylko dla was.

Wie pan, że jestem dobry.

Nitti pokręcił głową.

- Posłuchaj, Mike... Szanuję cię. Naprawdę bylibyśmy wdzięczni, gdybyś mógł dla nas pracować, ale... nie na takich warunkach.

Sullivan zmrużył powieki, nie rozumiejąc do końca, o co Nittiemu chodzi.

- To, o co prosisz, jest niemożliwe - dodał Nitti, wzruszając bezradnie ramionami.
- Czyżby?

Sullivan sam to przyznał - Nitti był biznesmenem. Bez względu na to, co sam sądził o nieszczęściu Sullivana, musiał brać pod uwagę inne okoliczności: stosunki Capone'a z Rooneyem dobrze się układały, na dodatek przynosiły niezłe zyski.

- Pozwól, że ci wytłumaczę. Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy. Przez te wszystkie lata żyłeś pod ochroną ludzi, którym na tobie zależało. I ci sami ludzie próbują

nadal cię chronić... Włącznie ze mną.

Sullivana przeszedł zimny dreszcz: Rooney już się z nimi skontaktował.

Nitti wyduł wargi, ale jego czoło było nadal gładkie.

- Jeżeli się na to zdecydujesz... jeżeli otworzysz te drzwi, będziesz musiał przejść przez nie sam. A całe zaufanie, cała lojalność... wszystko to przestanie istnieć... I. Mikę, nie uda ci się. Nie z małym chłopcem.

Spotkanie dobiegło końca.

- Już go ochraniać, prawda? - spytał Sullivan.

Nitti potrząsnął głową: Connor Rooney nie był tym, kogo ochraniali.

- Po prostu bronimy swoich interesów, Mikę.

- Sullivan nie potrafił ukryć rozżalenia.

- Jechałem całą noc. żeby się z tobą spotkać.

- Doceniam to, Mikę. A teraz radzę ci pojechać z powrotem. Jedź do domu. pochowaj żonę i dziecko. Z naszym błogosławieństwem.

Sullivan wolno pokręcił głową.

- Tak łatwo wam nie pójdzie - oznajmił, po czym odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Szybkim krokiem przemierzył salę recepcyjną, rozglądając się bacznie dookoła. Wszedł do windy, gdzie stało już kilku biznesmenów. Marco znowu robił za windziarza. Kiedy jednak drzwi miały się już zatrzaskać, Sullivan rozmyślił się i wysiadł.

Na korytarzu znalazł schody dla służby, zszedł do lobby, gdzie wmieszał się w hotelowy tłum. Chyba nie był ścigany, ale wiedział, że nie może już ufać Nittiemu. Honor, lojalność, zaufanie - wszystko to już go nie dotyczyło.

W jego rozgorączkowanej głowie kształtował się jednak nowy plan. Więc w tym wszystkim chodzi tylko o interesy. O nic więcej. Gang Capone'a uważał przymierze z Rooneyem za wartościowy kapitał. Sullivan zamierzał zadać temu pogładowi kłam. Uderzy Franka Nittiego tam, gdzie go najbardziej zaboli... w portfel.

Kiedy Sullivan wyszedł, Frank Nitti wśliznął się do małego, przylegającego do gabinetu pokoiku, gdzie czekało na niego dwóch mężczyzn, którzy przez fałszywą kratkę wentylacyjną słyszeli każde słowo jego ostatniej rozmowy.

Jednym z tych mężczyzn był John Rooney. ubrany w wymięty, przybrudzony garnitur; na krześle po jego lewej stronie siedział - lepiej ubrany - Connor, podenerwowany, ale trzeźwy.

Nitti podszedł do Rooneya.

- Słyszałeś?

Star}' Rooney pokiwał głową.

- Idź na górę - rozkazał synowi, jakby nie mógł znieść jego widoku.

Connor wychylił się do przodu.

- Tato. posłuchaj mnie. Sullivan jest w budynku, możesz z tym od razu skończyć! - W końcu Nitti miał tutaj więcej broni niż arsenał w Rock Island. - Musisz go teraz sprzątać.

John Rooney pokręcił głową.

- Idź na górę - powtórzył.

Nitti miał ochotę się roześmiać; idiotyczna sytuacja, dorosły facet odsyłany przez ojca do swojego pokoju! Z wielu źródeł słyszał, że Connor to niebezpieczny typ; opisywano go na różne sposoby, ale zawsze niepocholebnie: okrutny, niezrównoważony, zmienny w nastrojach.

A jednak ten niebezpieczny człowiek podporządkował się woli ojca i wyszedł.

Po odejściu syna John Rooney pochylił się i schował twarz w dłoniach.

- Boże. pomóż mi... Co mam robić?

- Myśleć obiektywnie. A potem podjąć decyzję.

Nitti zajął krzesło opuszczone przez Connora. Mówił już Rooneyowi, że musi odrzucić emocje. Że musi się skupić. Że powinien traktować Sullivana jak kogoś obcego.

Rooney spojrział na niego podkrążonymi, mokrymi od łez oczami.

- Niech umrze jak najszybciej... bez zbędnego bólu...

Nitti skinął głową.

- Załatwione... A dzieciak?

Twarz Rooneya wykrzywiła się z bólu.

- Nie, nie! Chryste... to tylko dziecko...

Nitti zaczynał mieć już powoli dość tych sentymentalnych bzdur, których się nasłuchał od Sullivana i Rooneya.

- Ale kiedyś to dziecko stanie się mężczyzną. Myślisz, że o wszystkim zapomni?

Rooney zamyślił się: Michael Sullivan junior na pewno nigdy nie zapomni i nie wybaczy tego, co Rooneyowie zrobili jego rodzinie; mimo to potrząsnął głową.

- Nie. Zostawcie dzieciaka.

- Rozumiem. - Nitti już się zastanawiał, komu powierzyć takie trudne i niebezpieczne zadanie. Komuś spoza organizacji, ale zaufanemu, komuś godnemu Anioła Śmierci... - Wiem, do kogo zadzwonić - powiedział bardziej do siebie niż do Rooneya. - Pracował już dla nas. Ma talent.

Maguire był fotoreporterem - tak zwaną dziennikarską hieną. Pracował dla kilku gazet z dużych miast, między innymi z Chicago i Milwaukee, a kiedy zdjęcia były zbyt makabryczne nawet dla żądnych sensacji szmatławców, zwracał się z nimi do jeszcze mniej wybrednych czasopism kryminalnych.

Jego specjalnością były porachunki gangów, choć nie gardził również głośnymi skandalami erotycznymi czy sekcją zwłok jakiejś znanej osoby. Swoją pozycję wśród innych dziennikarzy zawdzięczał umiejętności natychmiastowego znalezienia się na miejscu zbrodni. Całymi dniami przemierzał miasto z miniaturowym studiem fotograficznym w kufierku.

Nie wiadomo, w jaki sposób Maguire stał się najbardziej zaufanym i skutecznym zabójcą na usługach Franka Nittiego. Ale jego talent tropiciela i umiejętność dostawania się do trudno dostępnych miejsc - pod pretekstem wykonywania dziennikarskiej profesji - były bezcenne. Kim zresztą jest dziennikarz, jeśli nie łowcą?

A Harlen Maguire był łowcą doskonałym.

Przenośny aparat ze składanym trójnogiem ważył około piętnastu kilogramów, ale szczupły mężczyzna, który go niósł - blady, chłopięco przystojny, choć już trzydziestoletni - przemierzał chodnik sprężystym krokiem, jakby ciężar, który dźwigał, był lekki jak piórko.

Harlen Maguire mógłby uchodzić za zwykłego fotoreportera poszukującego dobrego materiału, lecz jego dobrze skrojony garnitur, drogi płaszcz i elegancki melonik mówiły co innego... chociaż w tej części miasta wyróżniałby się nawet zwykły garniturze sklepu. W końcu był w Little Village, obskurnej dzielnicy zachodniego Chicago, gdzie często lała się gorąca włoska krew.

Maguire uznał, że wyjście przeciwpożarowe będzie mniej zatłoczone, ale niewielka grupka niezrażonych porannym mrozem ciekawskich zebrała się i tam. Większość gapiów nie miała pracy, a nic tak nie rozgrzewa emocji jak krwawe morderstwo w sąsiedztwie.

Przeciskając się przez tłum, Maguire przedstawiał się zebrany - "Prasa! Z drogi! Prasa! Przepraszam panią, dziękuję!" - i w niespełna minutę był już na górze w zatęchłym jednopokojowym mieszkaniu, gdzie policjant i koroner zajmowali się facetem w białej roboczej koszuli i drelichowych spodniach, tu i tam pociętym nożem. Mężczyzna zdawał się w ogóle nie zauważać krwawych i dość paskudnych ran; cały czas chaotycznie opowiadał, jak wyrwał nóż skurwielowi, który zgwałcił mu żonę.

Żadnej kobiety nie było, więc gliniarze musieli ją już zabrać, a gdy zajmowali się

zabójcą, Maguire mógł obejrzeć trupa.

Obiekt jego zainteresowania leżał w kącie pokoju robiącym za sypialnię. Tuż obok było okno, z którego rozciągał się upojny widok na tory kolejki elektrycznej. Trup, kawał chłopca z rozdziawioną gębą i wybałuszonymi oczami, leżał plackiem na podłodze z klatką piersiową usianą krwawymi ranami i wyglądał, jakby trzymał bukiet czerwonych kwiatów. Ofiara miała zawstydzająco opuszczone spodnie, ale jej klejnoty zasłaniały dyskretnie bokserki w prążki. Broń leżała obok: nieduży nóż myśliwski niemal po rękojeść umazany krwią.

Leżąca na podłodze z rozłożonymi szeroko ramionami postać miała w sobie coś z Pagliacciego. co przemówiło do artystycznej wyobraźni fotografa. Zdjęcie będzie raczej za ostre dla „Herald - American”, ale redaktor „Starling Detective” zapłaci mu krocie - zbrodnie w afekcie sprzedawały się jak świeże bułeczki.

Bez zbędnych ceregieli Maguire zabrał się do rozkładania sprzętu: wyjął z kuferka aparat, rozłożył trójnog, ustawił obiektyw i wkrótce był gotowy do pracy. Przygotowany do stworzenia czegoś trwałego z tego, co ulotne, do wykrzesania czegoś w rodzaju życia z tego, co martwe.

- Hej, możecie mi dać dwie minuty?

Już wcześniej wręczył gliniarzowi - O'Ryanowi, na którego wpadł przy kilku wcześniejszych okazjach - dziesięć dolców.

- Nie ma problemu, panie Maguire - odparł O'Ryan, wychodząc razem z koronerem z mieszkania.

Zostali sami: fotograf i fotografowany, który - będąc nieboszczykiem - nie powinien raczej sprawiać problemów. Maguire stanął za trójnogiem, spojrzął w obiektyw i zaczął bez pośpiechu ustawiać ostrość.

Już miał zrobić pierwsze zdjęcie, gdy usłyszał ciche rżenie... Wyszedł zza aparatu, podszedł do trupa i przyjrzał mu się z uwagą.

Tyle że to nie był trup - facet kasłał, pluł krwią, podrygiwał.

Maguire potrząsnął z niedowierzaniem głową: skurczybyk wszystko psuł. Czym jest. do jasnej cholery, zabójstwo w afekcie bez zabójstwa? Niczym! Fotograf zerknął na zamknięte drzwi. Hałas przejeżdżającej kolejki zagłuszał żalosne rżenie nieskłonnego do współpracy niedoszłego nieboszczyka.

Maguire wyjął z kieszonki chusteczkę i przyklął przy rannym. Jego oczy przestały wyglądać na puste, teraz tliła się w nich iskierka świadomości. Maguire przytknął więc owiniętą w chusteczkę dłoń do zakrwawionych ust ofiary, a drugą ręką zatkał mocno nos.

Stukot kolejki powoli przycichał, facet trochę się bronił - słabo, pewnie i tak wykitowałby w drodze do szpitala - a Maguire patrzył mu w oczy, obserwując, jak ucieka z nich świadomość. Jakby ktoś zdmuchnął w środku świeczkę.

Następnie fotograf wytarł z trupiej twarzy krew, zmiął chusteczkę, włożył ją do kieszeni, a potem stanął z powrotem za aparatem. Nareszcie spokój.

Tego samego wieczoru Maguire był w swoim chicagowskim mieszkaniu i pracował w ciemni. Oświetlony czerwonym światłem i otoczony leżącymi na półkach ukochanymi aparatami wywoływał zdjęcia. Wyjmował właśnie pincetą z kuwety odbitkę szóstego, ostatniego nadającego się do publikacji, gdy usłyszał dzwonek telefonu.

Nie śpiesząc się, powiesił zdjęcie do wyschnięcia i przeszedł z ciemni do małego, lecz elegancko urządzonego salonu udekorowanego wiszącymi na ścianach i oprawionymi w ramki własnymi dziełami: tu trup w sali bilardowej, tam zakrwawiony gangster malowniczo rozplaszczony na ścianie w korytarzu, dalej znowu nagie ciało samobójczyni w wannie. To był dla niego dom - tyle że nie umawiał się w nim na randki.

Usiadł na kanapie przy stojącym na stoliku telefonie i podniósł słuchawkę.

- Harlen Maguire, słucham.
- Frank Nitti - powiedział głos po drugiej stronie.

Gdy Nitti wprowadzał go w nowe zadanie, Maguire zapisywał coś w notatniku, powtarzając od czasu do czasu: ..aha... uhm...taa". W końcu Nitti przeszedł do konkluzji:

- Jak widzisz, to może potrwać. Trudno go będzie wytropić, trzeba poświęcić trochę czasu na zbieranie informacji. Co ty na to?
- Jak na lato. Tysiąc sześćset.
- Tysiąc sześćset dolarów? To więcej niż ostatnio.
- Moja stawka to tysiąc sześćset dolarów, panie Nitti. Plus wszystko, co zarobię na zdjęciach.

- Nie interesuje mnie fotografia, panie Maguire. Ale uważam, że to nierozważne, żeby samemu produkować dowody przeciwko sobie.

Mafioso przeszedł do szczegółów zlecenia. Chciał, żeby Maguire rzucił wszystko i od razu zabrał się do polowania na Sullivana. Maguire powiedział, że nie ma problemu. Nitti poinformował go, że pogrzeb ma się odbyć jutro po południu, trzy, cztery godziny jazdy z Chicago. Maguire zapewnił, że dobrze znosi podróże.

- Wpadłeś już kiedyś na tego Sullivana? - spytał Nitti.
- Nie, nigdy go nie spotkałem. Ale znam jego robotę.
- Anioł Śmierci - powiedział Nitti. - Niezła ksywka, całkowicie zasłużona.

Maguire już to wiedział.

- Podróżuje sam?
- Z synem - odparł po chwili Nitti.
- - Aha... ile ma lat? - Jeśli dzieciak, to bomba.
- Michael Sullivan junior ma dwanaście lat. Ale wygląda na młodszego.

Maguire zanotował imię ojca, pod nim syna i jego wiek. Potem przerobił jedenastkę na kwadracik, z którego zrobił buzię: dorysował włoski, uszy i oczy.

- Co mam zrobić z dzieciakiem? - spytał.
- A co zwykle robisz ze świadkami?
- No tak. - Dorysował buzię wygięte w dół usta. - Zrobi się.

Gdy odkładał słuchawkę, pomyślał, że powinien sobie policzyć wyższą stawkę za sprzątnięcie dzieciaka, ale nie chciał wkurzać Nittiego. Nie chodziło o to, że bał się gangstera, chociaż z Nittim trzeba było uważać. Wcale nie o to...

Maguire wstał i poprawił jedno ze zdjęć na ścianie - kiedy rozmawiał z Nittim, zauważył, że krzywo wisi. Przedstawiało ofiary morderstw niebędących jego dziełem. Ale cóż za urocza kompozycja: sześć ciał z roztrzaskanymi czaszkami, z których wylewały się mózgi, na podłodze garażu S.M.C. Cartage; siódmy trup wyczołgał się poza ramę - w kierunku drzwi - nie rujnując co prawda kompozycji, ale obniżając „historyczną” wartość fotografii, ukazującej pamiętną masakrę w dzień św. Walentego 1929 roku.

Nie. Chodziło o to, że Maguire nie chciał ryzykować utraty zlecenia.

Zawsze pragnął poznać Anioła Śmierci. A zdjęcie przedstawiające jego zwłoki stanowiłoby prawdziwą ozdobę kolekcji.

Ojciec prowadził forda, wybierając rzadko uczęszczane wiejskie drogi. Michael siedział na tylnym siedzeniu, żeby móc się wyciągnąć i przespać albo po prostu odpocząć, gdyby miał ochotę. Ale w tej chwili wcale nie był zmęczony i ucieszył się, gdy tata - po długiej ciszy - zaczął rozmowę.

- Pamiętasz ciocię Sarę? Michael wychylił się do przodu.
 - Chyba tak.
 - To siostra twojej mamy. Mieszka w Perdicion. Weźmie cię do siebie.
- Nazwa miasta nic Michaelowi nie mówiła, więc aby się upewnić, zapytał:
- Gdzie to jest?
 - Nad jeziorem. Byliśmy tam raz. Miałeś wtedy cztery, może pięć lat. - Popatrzył na syna. - Piękne miejsce... Pamiętasz?

Wspomnienie powoli przedzierało się na powierzchnię.

- To tam, gdzie był ten pies?

Sullivan spojrzał na syna z zakłopotaniem - nie był pewien. Michael zaczął mu opisywać miejsce, które zapamiętał: taka farma koło jeziora, gdzie był pies, który skakał koło stołu.

- Nadgryzł mamie kanapkę. A ona powiedziała, że skoro już ugryzł, to cała mu się należy.

Sullivan znowu spojrzał na syna, a na jego ustach zaczął się formować lekki uśmiech.

Michael wciąż pamiętał, jak się wtedy śmiali przy stole, ale teraz wcale nie było mu do śmiechu. Tacie chyba też. Bo cały czas patrzył na drogę.

Po chwili chłopak zapytał, dlaczego tata wspomniał o farmie koło jeziora i o cioci Sarze?

- Bo tam jedziemy.

Jednak tej nocy zatrzymali się w McGregor w stanie Iowa. Było to typowe przydrożne miasteczko, z ryneczkiem i kilkoma ulicami na krzyż. Na jego skraju stał motel Starr, gdzie wynajęli czysty, choć skromnie urządzone pokój. Żarówki paliły się pomarańczowym światłem, pościel była stara i powycierana, wszędzie unosił się smród nafty z grzejnika, a kiedy chłopiec usiadł na łóżku, sprężyny w materacu zaskrzypiały piskliwie.

Gdy podróżowali z mamą i Peterem, zatrzymywali się w lepszych miejscach. Niewiele go to jednak obchodziło. Martwił się czym innym. Wiedział, po prostu wiedział, że ojciec chce go zostawić na tej farmie koło jeziora - z psem i ciocią, którą ledwo pamiętał.

Gdy następnego ranka Michael otworzył oczy, przez zasłonięte okno przedzierały się promyki słońca. W powietrzu unosił się oleisty metaliczny zapach - jak w warsztacie samochodowym. Spojrzał w stronę łóżka taty i zobaczył, jak ojciec siedzi na materacu ze skrzyżowanymi jak Hindus nogami, a przed nim na rozłożonych gazetach leżą części tommy'ego. Jakby urządzał sobie piknik.

Tata miał różne małe szmatki, rozmaite podobne do wyciorów przyrządy i małe buteleczki z jakimiś substancjami, którymi metodycznie czyścił części karabinu. Pistolet leżał obok - czekał na swoją kolej albo już został wyczyszczony.

Michael zdziwił się, gdy się dowiedział, że jest już prawie druga po południu. Tata wyjaśnił, że nie chciał go budzić; on też bardzo długo spał.

Kiedy Michael się umył i ubrał, poszli razem na rynek i usiedli w niewielkiej kafejce. Chłopiec zapytał, czy mógłby zjeść śniadanie zamiast obiadu, a obsługa była na tyle miła, że przygotowała mu jajka na bekonie i naleśniki. Tata zamówił „specjalne danie na niebieskim talerzu”, czyli puree ziemniaczane i kotlet, ale niewiele zjadł.

Potem tata powiedział, że pójdą na spacer. Było na to trochę za zimno, ale Michael wolał się nie sprzeciwiać. Przeszli przez niewielki park i dotarli do małego wiejskiego kościółka - katolickiego kościółka. Po jakimś czasie Michael zdał sobie sprawę, że właśnie tu tata chciał przyjść. Pewnie wypatrzył kościół, kiedy wjeżdżali do miasteczka.

Ojciec zatrzymał się na wysypanym żwirem parkingu, żeby wytłumaczyć Michaelowi, co zrobią. Tego dnia miał się odbyć pogrzeb, powiedział. W tym kościele? - zdziwił się chłopiec. Nie, u nas w domu. wyjaśnił tata, pogrzeb mamy i Petera. A ponieważ nie mogli tam być, powinni wejść do tego kościoła, pomodlić się i zapalić świece.

Michael usiadł w tylnej ławie, a tata ukląkł przed ołtarzem i zaczął się modlić. Jak na taki mały kościół, mieli tam bardzo duży obraz Chrystusa - ukrzyżowany pan Jezus wyglądał jak żywy, jego cierpienie było widoczne nawet z miejsca, gdzie usiadł Michael. Chłopiec patrzył, jak tata zapala dwie świece - jedną za mamę, jedną za Petera.

Pięć z dziewięćdziesięciu pięciu akrów cmentarza Chippiannock zarezerwowano dla rodzin katolickich. Indianie nazywali to miejsce Wzgórzem Manitu, a kobiety Sauków uprawiały na żyznych i łagodnych zboczach tego pagórka kukurydzę, żeby nakarmić mężczyzn wybierających się na wojnę. Biali, którzy zrobili z niego cmentarz, nazwali je Chippiannock, co po indiańsku znaczy wioska zmarłych.

Przed grobem pięcioletniego chłopca i trzyletniej dziewczynki, którzy w czasach pierwszych osadników umarli na tyfus, warował wierny kamienny pies. Orzeł na piramidzie z armatnich kul, po którego obu stronach stali na straży kamienni żołnierze, upamiętniał okolicznych mężczyzn, którzy stracili życie na wojnach. Pułkownik George Davenport, którego nazwiskiem nazwano miasto po drugiej stronie rzeki, leżał właśnie tutaj w Illinois, a nie w Iowa. Kamienne aniołki i cherubiny upiększały, nie skarżąc się, szare grobowce, mimo że było późne zimowe popołudnie, a one skąpo ubrane.

Maguire od razu docenił ten lokalny koloryt; zjawił się na miejscu godzinę przed pogrzebem Sullivanów i za dziesięć dolarów nakłonił grabarza do oprowadzenia go po cmentarzu. W pisemkach detektywistycznych opowiadki cmentarne sprzedawały się prawie tak dobrze jak seks i morderstwa - publika je uwielbiała.

Gdy z dala zabrzmiały kościelne dzwony, Maguire obserwował z bezpiecznej odległości żałobników, którzy zjawili się na pogrzebie Annę Louise Sullivan i Petera Davida Sullivana. Nie było żadnej mszy ani kazania nad trumnami. Okoliczności były na to zbyt dziwne i kontrowersyjne.

Nie sądził, że Sullivan się pojawi - ale nigdy nic nie wiadomo. Niektórzy z tych twardzieli są sentymentalni jak pensjonarki. Obserwował więc dalej; zauważył goryli

stojących wokół Johna Rooneya, który płakał, zakłamanym skurwiel. Jego zwariowany synalek chyba się nie zjawił.

Po opuszczeniu trumien niektórzy żałobnicy podeszli do sympatycznie wyglądającej siwej kobiety pod pięćdziesiątkę; przedstawiali się jej i składali kondolencje. Musiała to więc być krewna, która najwidoczniej przyjechała spoza miasta, by wziąć na siebie wszystkie przykre obowiązki związane z pogrzebem.

Zapadał już zmrok, gdy Maguire pojechał za samochodami żałobników do domu w Rock Island, którego adres zgadzał się z tym podanym przez Nittiego. Rodzina Sullivanów mieszkała w dużym piętrowym domu - stary Rooney dobrze traktował swojego najlepszego żołnierza, w każdym razie do momentu, kiedy sprzątnął mu bachora i żonę.

Samochody skręcały na podjazd i zatrzymywały się na górze przed samym domem. Zbici w grupki żałobnicy wchodzili do środka; Maguire dołączył do jednej z nich i dostał się do domu człowieka, którego miał zglądzić.

Kiedy pogrążona w żalu krewna zajmowała się gośćmi, Maguire przyglądał się domowi, wchłaniając wszystkie szczegóły. Obejrzał rodzinne fotografie, portrety Annie i dzieci; Sullivan zawsze stał trochę z boku, jakby był nieobecny.

Maguire doskonale go rozumiał. Umiejętność oddalania się od samego siebie jest nieodzowna w zawodzie związanym ze śmiercią. Ten sam wyraz twarzy widział dzisiaj po południu u grabarza, który go oprowadzał. Ten sam wyraz twarzy widział, kiedy patrzył w lustro.

Na wielu zdjęciach był także John Rooney. Dziadunio obejmujący wnuków w wieku czterech, pięciu lat. Ależ, kurwa, wzruszające, pomyślał Maguire. Na kilku fotografiach obok Rooneya stała kobieta w średnim wieku - żona. Nie było jej dzisiaj na pogrzebie. Pewnie nie żyje.

Zapytał, gdzie jest łazienka, i ktoś powiedział, że na piętrze. Ze szklanką ponczu w ręce zaczął się przechadzać jak gdyby nigdy nic korytarzem na górze; ale gdy tylko wszedł do dziecinnego pokoju, zaczął go przeszukiwać z chirurgiczną precyzją. W szufladzie przy jednym z łóżek znalazł stosik książek o Samotnym Jeźdźcu - to starszego? Pod materacem odkrył torebkę tytoniu bugler... stanowczo starszego, pomyślał z uśmiechem.

W sypialni rodziców nie znalazł wielu rzeczy godnych uwagi, być może z wyjątkiem katolickich dewocjonaliów: krucyfiksu, obrazka z Matką Bożą i takich tam. Tradycyjne bzdury. Maguire zastanawiał się, czy wierzyła w nie tylko zmarła żona - gdyby Sullivan też miał hopla na punkcie religii, mogłoby się to okazać jego piętą achillesową.

Ach, ta czułościowość, nawet cholerni zabójcy bywają sentymentalni. Czyżby

Sullivan był jednym z tych błaznów, którzy uważają, że rodzinę i zabijanie można idealnie rozdzielić? Może legendarny Anioł Śmierci był jednak człowiekiem, ułomnym człowiekiem....

Lecz nawet w momencie, gdy te myśli zaprzętały jego głowę, Maguire wiedział, że stara się tylko zracjonalizować swoją niepewność. Jeszcze nigdy nie miał przed sobą tak wielkiego wyzwania. Bał się go, a jednocześnie cieszył się z niego.

Co mógł odpowiedzieć na to pytanie?

- W porządku... Jak było?
- Och, Mikę - westchnęła Sara i głos uwiązał jej w gardle. Widocznie bała się, że mógł odłożyć słuchawkę albo połączenie zostało przerwane, bo powiedziała: - Halo...?
- Wkrótce się zobaczymy - odparł z mokrymi od łez policzkami Sullivan i odłożył słuchawkę.

Wiele mil dalej, w holu domu, który należał kiedyś do Sullivanów, udający żałobnika Harlen Maguire podniósł słuchawkę, którą nie tak dawno temu zdjął Connor Rooney.

Kiedy połączył się z centralą, powiedział:

- Halo, centrala? Przerwało połączenie... czy mogłaby mnie pani znowu połączyć?

Sullivan wręczył recepcjoniście pięć dolarów i połączył się z centralą. Gdy dyktował telefonistce numer - ten jakże znajomy numer - poczuł dziwny dreszcz. Jakaś część jego osoby oczekiwała, że usłyszy głos Annie. Głos, który faktycznie się odezwał - „Halo, dom Sułtanów” - miał w sobie coś z Annie.

Annie i jej siostra Sara były bardzo do siebie podobne.

- Sara?
- Mikę. Bogu dzięki...
- Dzwonię, żebyś wiedziała, że z nami wszystko w porządku.
- Gdzie jesteście?
- W drodze do twojego domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Ależ skąd! - odparła z ulgą w głosie - Wróć tam za dwa dni.
Jak Michael?

Podróż z ojcem pamiętam jak przez mgłę - patrząc wstecz, widzę go za kierownicą czasem ogolonego, czasem nie. Kiedy stosunki między nami były napięte - jak wtedy, gdy dąsałem się, że ciągnie mnie do ciotki Sary - jechałem z tyłu, miałem całe siedzenie dla siebie (nie licząc czarnego futerału na thompsona) i trzymałem się od niego tak daleko, jak tylko się dało, w naszym małym świecie mieszczącym się wewnątrz forda.

Moim drugim wspomnieniem jest serce kraju - bezkresne centrum Ameryki, tu i ówdzie pofalowany pejzaż jak z obrazu Granta Wooda, gdzie indziej równina rozciągająca się po horyzont, zimowa pustka, biel, brąz, szarość. Na jedno pole przypadał jeden las; na dziesięć stodoł - jeden kościół. Wstęgi betonu, żwiru i ubitej ziemi zdawały się prowadzić do wieczności, jak niekończące się zdania akcentowane wykrzyknikami słupów telefonicznych - przypominających, iż ten kraj pionierów został zasiedlony, że teraz już był cywilizowany... nawet jeśli dzieliłem tylne siedzenie forda z pistoletem maszynowym Thompson w twardym futerale.

Mogę tylko przypuszczać, co chodziło Harlenowi Maguire 'owi po głowie, kiedy nas tropił. Na pewno okiem fotografa zauważył abstrakcyjne piękno najżyźniejszej ziemi w Ameryce, w zimowym śnie udającej jałową. A może był zbyt pochłonięty swoją misją, może wzrok miał utkwiony w pustej drodze, gdy jego pistolet i aparat leżały na siedzeniu obok?



Michael Sullivan i jego piękna żona Annie.



John Rooney w roli „dziadka” Michaela juniora i Petera.



„Módl się, żeby Bóg nigdy nie postawił cię na mojej drodze”

Ojciec z synem przemierzali łagodnie pofałdowane pola stanu Indiana. Kierowali się na wschód, przecinając autostradę numer 24; w mieście o nazwie Logansport mieli pojechać autostradą numer 35 na północ, drogą do Perdition nad jeziorem Michigan.

Sullivan zatrzymał się przy przydrożnym barze pod miastem Wolcott, w wagonie, którego neon głoszący *Zawsze otwarte* rzucał o zmierzchu widmową poświatę.

Jechali od rana, Michael przez cały czas na tylnym siedzeniu, i prawie się do siebie nie odzywali. Sullivan był zatopiony w myślach, przygotowywał plan mający zmusić Nittiego i Capone'a do wycofania poparcia dla Rooneyów i oddania Connora w jego ręce. Ciągle jednak czegoś mu w nim brakowało; był sam i jakkolwiek w myślach rozkładał karty, wyglądało na to, że z tymi, które dostał, nie miał szans na wygraną.

Wiedział, że jego syn się dąsa, ale dzięki temu mniej było z nim kłopotów, więc na to nie zważał. Na lunch poszli do kawiarni w małym miasteczku i chłopak znowu naciągnął obsługę na śniadanie. Sullivan nadal miał marny apetyt i długo dłużał w zrazie.

Ale po wielu godzinach jazdy powinieneś coś zjeść; jego syn też.

Na parkingu przed barem - wagonem Sullivan wjechał na miejsce sąsiadujące z oknem przy pustym boksie. Odwrócił się do chłopaka i spytał:

- Głodny jesteś?

- Nie - odburknął Michael. nie patrząc na ojca.

- Możliwe, że nieprędko znajdziemy następny bar - powiedział Sullivan. Chłopak wzruszył ramionami. - Powinieneś coś zjeść.

- Nie jestem głodny. Chcę poczytać.

Sullivan nie zamierzał się bardziej wysilać, więc wysiadł z wozu, zostawiając chłopaka samego z książką i ponurymi myślami. Zbliżała się pora kolacji i w jasno oświetlonym zielono - brązowym barze nie było tłoku: tu para rolników jedzących coś w boksie, tam farmer pijący kawę przy kontuarze.

Nie zdejmując płaszcza ani filcowego kapelusza, Sullivan usiadł w boksie obok swojego samochodu, tak by widzieć głowę Michaela w tylnym oknie; stąd mógł też mieć oko na wejście do baru. Podeszła do niego kelnerka, rozmemłana brunetka, której nie brakowało szminki ani temperamentu. Na bluzce od uniformu miała wyszyte Ruby. Przyniosła wodę i kawę.

Głód wreszcie zaczynał dawać o sobie znać i Sullivan pomyślał, że może jeśli będzie ostentacyjnie delectował się kolacją, syn skusi się, żeby coś zjeść. Dlatego zamówił duży krwisty stek.

Jakieś pięć minut później zabręczał dzwonek nad wejściem i para rolników minęła się w drzwiach z policjantem, mężczyzną po czterdziestce, który nie opuścił w życiu ani jednego posiłku. Niebieski mundur wskazywał, że jest gliną z miasta, nie człowiekiem szeryfa czy policjantem stanowym.

Usiadł na stołku niedaleko, ale nie obok farmera, który jadł szarlotkę.

Sullivan zastanowił się, czy nie wyjść. Ale że właśnie nadchodziła Ruby z jego stekiem, który bardzo ładnie pachniał (w odróżnieniu od jej perfum), a instynkt podpowiadał mu, iż obecność policjanta to przypadek, nie ruszył się z boksu. Wziął się do jedzenia, krojąc dorodny kawał wykarmionej kukurydzą wołowiny ze Środkowego Zachodu. Wyrzwał przez okno, żeby sprawdzić, czy to skusiło Michaela, ale już nie było go widać.

Choć przekonany, że syn położył się i zasnął, Sullivan pomyślał, że może powinien

pójść tam i zobaczyć, czy wszystko w porządku. Noc zgasiła szarzące światło zmierzchu, a to wystarczyło, by obudzić w nim lekki niepokój. Sączył kawę, patrząc przez szybę na okno, w którym nie było Michaela, kiedy oślepiły go reflektory samochodu wjeżdżającego na parking przed barem.

Kierowca zatrzymał się, wysiadł - uwagę Sullivana zwrócił jego modny płaszcz i melonik, nietypowe w tej rolniczej okolicy - i zerknął na wóz policyjny stojący na parkingu. Zrobił to jakby mniej obojętnie, niż zamierzał. Sullivan wyciągnął szyję, by zobaczyć przednią tablicę rejestracyjną, ale nie udało mu się i kiedy zadźwignął dzwonek nad drzwiami, zajął się swoim stakiem.

Zauważył kątem oka, że nowo przybyły zmierzył wzrokiem farmera przy kontuarze... a przede wszystkim gliniarza. W tej chwili Sullivan był oprócz nich jedynym klientem. Ciemnowłosy facet miał bladą, pociągłą kościstą twarz; wyglądał bardzo młodo, choć pewnie dobiegał trzydziestki.

Usiadł w sąsiednim boksie, ale naprzeciw Sullivana, tak że byli twarzą w twarz - i teraz robili wszystko, byle na siebie nie patrzeć.

Ruby podeszła z wodą i kawą do nowego klienta, który powiedział:

- Mały ruch, co?

- Żarty pan sobie robisz? Tłok jak nigdy! Co podać? - A co mi pani poleci?
- Słonko, wszystko ci mogę polecić.
- Serio?
- Wszystko oprócz jedzenia.

Facet roześmiał się głośno; trochę przeholował, ten żart nie zasługiwał na aż taką reakcję.

- „Wszystko oprócz jedzenia”! Ruby, powinnaś występować na scenie.
- Jakbym nie wiedziała.

Wciąż chichocząc, mężczyzna zajrzał do karty i powiedział:

- Poproszę kurczaka na słodko i czarną kawę.
- Bułka z masłem - odrzekła wesółka kelnerka i odeszła bez pośpiechu.

Klient sięgnął do kieszeni, wyjął aparat i rolkę filmu i zaczął go ładować. Sullivan widział to wszystko, choć udawał, że patrzy zupełnie gdzie indziej.

Wyciągnął z kieszeni płaszcz małą srebrną piersiówkę i chwiejnym ruchem wlał whisky do kawy.

- Proszę się mną nie przejmować - powiedział mężczyzna.

Sullivan ociężale podniósł głowę i - lekko bełkotliwie, ale bez przesady - wykrztusił:

- He?

Mężczyzna nachylił się do przodu i szepnął, jakby nie chciał, by usłyszał go glina siedzący przy kontuarze:

- To wolny kraj, a przynajmniej taki był.

Sullivan uśmiechnął się i dołał do kawy więcej whisky z nadzieją, że odgrywa swoją rolę bardziej przekonująco niż facet z sąsiedniego boksu. Był zbyt przyjazny, zdecydowanie zbyt przyjazny.

Gdy zachęcająco uniósł piersiówkę, mężczyzna podniósł dłoń.

- Nie, dziękuję panu. - Wrócił do ładowania kliszy i po chwili zatrzasnął aparat, teraz już gotowy.

- To pański zawód czy hobby? - spytał Sullivan niepewnym głosem.

- Właściwie jedno i drugie - odpowiedział facet ze wzruszeniem ramion. Miał zimne oczy i rzadko nimi mrugał.

Pewnie tak samo się uśmiechał, kiedy w dzieciństwie obrywał muchom skrzydła, pomyślał Sullivan.

- Dostawać pieniądze za to, że robi się to, co się kocha... - mówił mężczyzna - amerykańskie marzenie, no nie?

Sullivan wolno uniósł i opuścił ramiona, jakby ta czynność wymagała sporego wysiłku.

- No chyba.

- A czym pan się zajmuje?

Sullivan zamrugał, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Interesami.

- Wiedziałem! - ucieszył się facet. - Kiedy zobaczyłem ten ładny samochód, od razu sobie pomyślałem: O, biznesmen.

Usta Sullivana drgnęły w uśmiechu. - A z jakiej pan jest branży?

- Handluję częściami zamiennymi.

- Części zamienne. No, wspaniale! - Zaczął bredzić o kołach, które kręcą światem... takie odpowiedzialne zajęcie.

- Zapewniam pana - powiedział Sullivan - że tak nie jest. A pan...

- dla kogo pan pracuje?

- Potrafi pan dochować tajemnicy? - Mężczyzna znów wychylił się do przodu i szepnął:

- Jestem z prasy.

Sullivan udał, że zrobiło to na nim wrażenie.

- Z której gazety?
- Ze wszystkich. Jestem swego rodzaju unikatem.
- Jak to?
- Robię trupy.

Sullivan przechylił głowę na bok. - Że co?

- No, ciała. - Facet uniósł dłonie w geście kapitulacji i zrobił komiczną minę. -
Przecież ich nie zabijam! Sullivan zaśmiał się i powiedział:

- Mam nadzieję.

Chodziło o zdjęcia miejsc zbrodni, sprecyzował facet - im bardziej makabryczne, tym lepiej, bo to właśnie zadowalało jego żądnych krwi redaktorów.

Ruby podeszła, by spytać, czy Sullivan chce jeszcze kawy. Gdy powiedział, że nie, zaproponowała mu kawałek ciasta. Znowu podziękował. Napełniła filiżankę fotografa i wróciła za kontuar.

Fotograf podjął urwany wątek.

- Zawsze mnie fascynowały... ten ich wygląd! Chodziło mu o trupy.

Sullivan zadrżał - próbował utrzymać posiłek w żołądku.

Nowy znajomy przypomniał mu jednak, że świat potrzebuje ludzi, którzy nie boją się nieprzyjemnych widoków. Gdzie byłoby społeczeństwo bez lekarzy? Bez pracowników zakładów pogrzebowych?

Wzruszył ramionami.

Wygląd człowieka, z którego dopiero co uszło życie, był tak intrygujący.

- Widział pan jakiegoś? - spytał fotograf, mając na myśli trupa. - Nie takiego, który leży w trumnie... ale kilka minut po wydaniu ostatniego tchnienia.

Sullivan skinął głową.

- No to współczuję - powiedział facet nieprzekonująco. - To coś strasznego... - A teraz niestosowny uśmiech. - Ale w takich chwilach człowiek czuje, że żyje, no nie?

Sullivan podniósł filiżankę.

- Wypiję za to.

Przez chwilę mężczyzna przyglądał się siedzącemu przy kontuarze gliniarzowi, który właśnie kończył jeść i płacił Ruby. Potem jego niemrugające oczy zwięzły się w szparki i znowu wpiły w Sullivana.

- Poci się pan od tego, co? - spytał.

Sullivan skinął głową.

- I lać mi się chce - powiedział, niepostrzeżenie zsuwając ze stołu nóż do smarowania chleba. Wygramolił się z boksu. - Przepraszam panią, gdzie jest ubikacja?

Kiedy uzyskał odpowiedź, chwiejnym krokiem ruszył do kibla.

Harlen Maguire obejrzał się, ciekaw, czy Mikę Sullivan jest tak pijany, jak się wydawało. Minęło pół minuty i zabrzączał dzwonek nad drzwiami - policjant wyszedł.

Maguire sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął trzydziestkę ósemkę i schował ją pod stolikiem. Usłyszał warkot odjeżdżającego samochodu. Dobrze jest, pomyślał Maguire. Gliniarz odjechał, zostali tylko farmer, kelnerka i kucharz. Połyskujące płytki w barze, chromowe sprzęty zbryzgane krwią (czerwień na kliszy wyjdzie czarna), porozrzucane zwłoki... co za widok. Nawet nie trzeba będzie lampy błyskowej .

Zadzwoił dzwonek nad drzwiami. No dobra, jeszcze jeden klient, kolejny element kompozycji... nie, to znów ten glina!

Policjant powoli podszedł do Ruby, uśmiechając się wstydliwie.

- Zapomniałem o napiwku!

Maguire wyskoczył z boksu i wybiegł z baru, ale ford zniknął - słychać było, jak z rykiem silnika rozpędza się na autostradzie.

Cholera!

Rzucił się do swojego samochodu i zobaczył poprzecinane opony... cztery cholerne kapcie!

Nie zważając na gliniarza z baru, Maguire wybiegł na drogę i widząc ginące w oddali tylne światła wozu Sullivana, powoli, pewną ręką, wymierzył długolufowy rewolwer.

Sullivan nie był pijany, ale opuścił szybę, by wywietrzała mu wypita na pokaz whisky.

- Schył się! - wrzasnął na syna.

Michael obudził się, poderwał głowę i powiedział:

- Po co? Co się dzieje...

- Schył się!

Ojciec sięgnął do tyłu i ledwie przycisnął go do podłogi, tylna szyba eksplodowała.

Maguire poczuł zadowolenie na brząk tłuczonego szkła. Znów strzelił, tym razem bez efektu.

Szlag by to trafił, pomyślał stojąc na drodze.

Na dźwięk wystrzału policjant wybiegł z baru, odpinając jedną ręką kaburę u boku.

- Ej! Co ty sobie myślisz...

Maguire odwrócił się i strzelił do niego. Dwa razy.

W ciemnościach rozkwitła krwawa mgła i martwy policjant upadł na plecy. Maguire

westchnął, wziął pistolet i aparat i wrócił do baru, by dokończyć dzieła.

Sullivan jechał z maksymalną dozwoloną prędkością. Na szczęście nie widział za sobą żadnych zbliżających się świateł; dziękował losowi za ciemną noc i pustą szosę. Przecinał autostradę 24, kierując się z powrotem w stronę, z której przybyli, zjazd na drogę do Perdition nie wchodził już w grę.

W czapce i grubej zimowej kurtce, przyciśnięty do podłogi przez tatę, Michael nie został zraniony żadnym z kawałków szkła; odłamki wały się na tylnym siedzeniu jak kryształki lodu.

Podczas gdy oszołomiony chłopiec wciąż siedział w milczeniu, Sullivan skręcił w boczną drogę. Kilka kilometrów dalej wjechał przez bramę na pole. Wkrótce zatrzymał wóz i wyłączył światła. Mężczyzna z aparatem tu ich nie znajdzie.

Zdyszany, odwrócił się do syna, który miał szeroko otwarte oczy i ciężko oddychał. Wściekłość wezbrała w Sullivanie jak lawa.

- Kiedy mówię: schyl się. to masz się schylić! - eksplodował. - I żadnych pytań!

Nie było na nie czasu. Człowiek mógł zginąć w czasie, jaki zajmowało zadanie pytania.

- Kiedy mówię, że idziemy coś zjeść, trzymasz się mnie! Michael zaczął protestować, ale ojciec huknął na niego:

- Od tej pory masz mnie słuchać albo wysiądziesz z wozu i sam będziesz się o siebie troszczył!

Oczy chłopca zrobiły się okrągłe.

- Zdecyduj się, Michael! Nie mogę walczyć z nimi i z tobą jednocześnie.

Teraz chłopiec się wściekł, krzyczał, próbując się bronić:

- Sam umiem się o siebie troszczyć! Myślisz, że to, co się stało, to moja wina! Wcale nie chciałeś, żebym z tobą pojechał!

- Przestań, Michael! To nie była twoja wina, nic a nic.

Wydawało się, że te słowa dotarły do chłopca, mimo to w jego głosie wciąż brzmiał gniew.

- Zabierz mnie do ciotki Sary i już.

Sullivan potrząsnął głową.

- Nie mogę cię tam zabrać... nie teraz.

- Dlaczego?

- On wie, że tam jedziemy.

- No to... co zrobimy?

- Coś, czego nie mogę zrobić sam.

Miał pewien pomysł, ale nie potrafił znaleźć sposobu na to, by zrealizować go w pojedynkę. Przy pomocy Michaela mogło się udać. Ale byłoby to niebezpieczne.

Chłopak nie przejął się tym. Chciał tylko być z tatą; chciał tylko pomóc.

Sullivan spojrział na syna.

- No to od tej pory będziesz musiał mnie słuchać. Zgoda? Inaczej obaj zginieemy.

Michael skinął głową.

- Muszę zmusić Capone'a, żeby wydał Connora.

Chłopak znów skinął głową ze zrozumieniem.

- A dla Chicago - ciągnął Sullivan - liczy się tylko jedno: pieniądze.

Ludzie z Chicago wciąż gadają o lojalności, honorze i rodzinie, tłumaczył synowi, ale tak naprawdę zależy im tylko na pieniądzach.

Najwięksi ważniacy, Capone i Nitti, trzymają pieniądze w małych bankach na Środkowym Zachodzie. Tak jakby dzielili je ze względów bezpieczeństwa. Ojciec chrzestny chłopca też tak robił... ukrywał pieniądze przed rządem, żeby nie płacić podatków. A Sullivan wie, gdzie są banki, z których usług korzysta Chicago.

- Chowają to, gdzie się tylko da - powiedział chłopcu, mając na myśli pieniądze Capone'a. - Trzeba to tylko znaleźć... i zabrać.

Michael znów zrobił wielkie oczy.

- Pomożesz mi? - spytał Sullivan syna.

- Tak - odpowiedział chłopak.

- Bez wahania.

- No to - rzekł Sullivan - czegoś cię nauczę. Jak być kierowcą.

- A kiedy Michael powiedział, że nie umie prowadzić auta, ojciec obiecał, że następnego dnia z samego rana po śniadaniu pokaże mu, jak to się robi.

Dla ojca i dla mnie droga do Perdition była kręta i (a przynajmniej tak mi się wtedy zdawało) ciągnęła się w nieskończoność. W ciągu tych długich tygodni mogliśmy tysiąc razy dotrzeć na farmę nad jeziorem. Wielokrotnie przemierzaliśmy te same stany Środkowego Zachodu, w ciągłym ruchu, coraz bliżej, ale nigdy u celu.

W pewnym sensie nasza podróż tak naprawdę rozpoczęła się następnego dnia po tym, jak człowiek z aparatem fotograficznym próbował zabić nas w barze.

I tego ranka - kiedy odbyłem pierwszą lekcję jako niepełnoletni kierowca ojca - dokonałem czegoś, co nigdy nie udało się żadnemu z bandziorów Capone 'a (ani Rooneya): nastraszyłem ojca. Nie znaczy to, że nie wiedział, co to strach; nie chcę też przez to powiedzieć, że różne starcia i strzelaniny z gangsterami i zabójcami nie robiły na nim wrażenia.

Ale żaden gangster, choćby najbardziej twardy i bezwzględny, nie zdołał osiągnąć tego, co ja - sprawić, by ojciec zbladł.

Następnego ranka, gdy mechanik wstawiał tylną szybę forda, Sullivan zabrał parę rzeczy z motelu i zjedli smaczne śniadanie w innym barze. Tam, między kęsami grzanki i chrupiącego bekonu, ojciec udzielił Michaelowi pierwszej lekcji jazdy. Powiedział mu o biegach, sprzęgle i hamulcu, a chłopiec - tak podekscytowany, że ledwo mógł jeść - uśmiechał się szeroko, kiwał głową i chłonał to wszystko... a przynajmniej tak mu się wydawało.

Wkrótce znów byli w trasie. Tata siedział za kierownicą w ciemnym płaszczu i filcowym kapeluszu, spokojny, a nawet rozluźniony, zjechał z autostrady na polną drogę, w tej chwili zupełnie pustą. Kawalek dalej zatrzymał się. wysiadł i kazał chłopcu zrobić to samo.

Ze skrytki pod tylnym siedzeniem wyjął rzeczy zabrane z motelu - stos gazet, który położył na fotelu kierowcy, i drewniane klocki, które przywiązał sznurkiem do pedałów. Nie wyjaśnił, po co to robi, ale Michael zrozumiał, że dzięki temu będzie mógł siedzieć wyżej i łatwiej dosięgnie pedałów.

Zajęło to trochę czasu i kiedy tata skończył, serce Michaela waliło jak młot - nie bał się, nie... był raczej podniecony, a nawet zaskoczony. Ilu ojców powierzyłoby samochód chłopcu w jego wieku? Po co komu rower? To dobre dla dzieciuchów.

Michael przekręcił kluczyk w stacyjce, a gdy silnik zbudził się z terkotem do życia,

wydało mu się to cudowne. Ile razy siedział w tym samochodzie z mamą i tatą, i przyjmował tę magię jako coś zwyczajnego.

Spojrzał na ojca, wciąż spokojnego i opanowanego.

- Już wiesz, co to jest sprzęgło? - spytał Sullivan.
- Pewnie!
- No to... co to jest sprzęgło? Chłopak wzruszył ramionami.

- Sprzęgło to... - wykonał nieokreślony gest - ..sprzęgło... ten...
- sprzęga.
- No właśnie. A który z tych pedałów to robi?

Michael położył nogę na jednym z klocków i nacisnął. Silnik za - ryczał i chłopiec odchylił się od kierownicy.

- To gaz - rzekł ojciec. - Przyspieszenie - dodał.
- Chłopiec zamrugał oczami.
- No jasne, samochód przyspiesza - powiedział.
- Ojciec skinął głową.
- A teraz pokażę ci sprzęgło.

Wóz ruszył naprzód, jakieś półtora metra; Michael próbował wrzucić bieg, ale samochodem tylko szarpnęło i znieruchomiał.

- Jeszcze raz. - Ojciec znów włączył silnik, a Michael spojrzał na niego i spytał:

- Puścić gaz. sprzęgło, zmienić bieg, dodać gazu?
- Mhm.

Michael zrobił wszystko po kolei - i samochód potoczył się do przodu!

Zdumiony, ale i zadowolony, krzyknął:

- I zmiana biegu!

Samochód stanął i znów zgasł.

Przez chwilę siedzieli w napiętej ciszy; potem ojciec spytał łagodnym tonem:

- Mogę coś zasugerować? - Nie! Ja kieruję.

Brwi ojca uniosły się, ale chłopiec nie wyczuł jego rozbawienia. Niedługo potem Michael już prowadził, samochód ledwie pełzł po wiejskiej drodze... ale jechał.

- Dobrze - pochwalił Sullivan syna. - A teraz przyspiesz trochę.
- Już?

Sullivan wyjaśnił, że kiedy wyjdzie z banku z pieniędzmi, nie chciałby, by policja

dogoniła ich na piechotę. Na wspomnienie policji chłopiec otworzył szerzej oczy.

Ojciec uspokoił go spojrzeniem i powiedział:

- Dobrze byłoby poćwiczyć.

Michael skinął głową - jak szybciej, to szybciej.

I niebawem prowadził wóz już nie byle jak, ale tak naprawdę, pruł jak błyskawica! Tyle że ruszał kierownicą, jak to pokazują w filmach, niczym rysunkowy robał kierujący rysunkowym samochodem. Ojciec trochę mu pomógł i w końcu wóz zaczął jechać prosto, pewnie i szybko.

Pola przemykały po bokach.

- Spokojnie, Michael.

Ale chłopak świetnie się bawił, nieświadom tego, jak słabo panuje nad samochodem.

- Spokojnie, Michael! Siedemdziesiąt na godzinę to za szybko.
- Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nimi wlokący się traktor.
- Michael, uważaj!

Na polu traktor radziłby sobie świetnie, śmigałby, aż miło - ale na drodze mechaniczna bestia toczyła się w ślimaczym tempie, a chłopak był zaskoczony tym, jak szybko się do niej zbliża.

- Uważaj na... - Wydawało się, że ojciec próbuje wysiąść przez przednią szybę. - Sukinsyn!

Michael instynktownie szarpnął kierownicą, przemknął obok traktora, a kiedy zerknął w prawo, zobaczył, że jego ojciec zbladł i ma szeroko otwarte oczy... jest wystraszony, naprawdę mocno wystraszony.

- Udało się! - krzyknął z ulgą. podekscytowany i uradowany.
- Taa, udało się - powiedział ojciec cierpko, opadając na oparcie fotela; powoli wracały mu kolory.

Było jeszcze kilka emocjonujących momentów: kiedy drogę przeciął im wóz z sianem, chłopiec wcisnął pedał, który wydawał mu się właściwy, i ford zatrzymał się ze zgrzytem, wyrzucając ich obu do przodu.

Zachwycony Michael powiedział ojcu, że hamulce są w dechę; potem spytał go, czy dobrze się czuje. Wyglądał, jakby trochę go zemdliło.

Ale tata odpowiedział, że wszystko w porządku i że Michael dobrze sobie radzi. Zauważył, że kilka kilometrów dalej zaczynają się wzgórza, jest więc okazja poćwiczyć branie zakrętów.

Nie licząc incydentu z traktorem, tata ani razu nie podniósł głosu. Wytrwale pracował

z synem, instruował go, dawał mu pewność siebie; i po południu byli już w St Louis, w stanie Missouri, gdzie chłopiec - siedzący dość wysoko, by uchodzić za nastoletniego szofera - po raz pierwszy przekonał się, jak to jest dzielić drogę z innymi kierowcami, nie zawsze kulturalnymi. Poszło mu łatwiej, niż ojciec się spodziewał, ale Michael, były gazeciarz, nie przez taki tłok przedzierał się na rowerze.

A pod koniec dnia Michael Sullivan junior był gotów do swojej nowej pracy.

Następnego ranka Sullivan - w wyszczotkowanym filcowym kapeluszu, płaszczu i ciemnym garniturze - podszedł do wejścia do banku powierniczego. Śmiertelnie poważny, z czarną skórzaną torbą w prawej dłoni, wyglądał lepiej niż przyzwoicie: mógł uchodzić za lekarza, a może biznesmena taszczącego teczkę wypełnioną ważnymi papierami.

Michael czekał z włączonym silnikiem w głębi ulicy, tam, gdzie parkowanie było dozwolone. Ojciec skinął mu głową, a chłopak przełknął ślinę i odpowiedział tym samym gestem.

W wysokim marmurowym holu nie było tłoku, ale przed okienkami utworzyły się długie kolejki złożone z farmerów, gospodyń domowych i biznesmenów. Sullivan zatrzymał się za drzwiami i skinął głową strażnikowi, który odpowiedział na ukłon. Był starszym mężczyzną, pewnie emerytowanym gliniarzem, ale miał broń.

Idąc przez hol, Sullivan rozglądał się po wnętrzu, zapisując w pamięci jego rozkład, usytuowanie ludzi i rzeczy. Podszedł do rzędu okienek, kierując się ku temu, które było zamknięte; za szybą drobny wystraszony mężczyzna w okularach, muszce i bez marynarki był rugany przez starszego tęgiego człowieka, też w okularach, ale ubranego w garnitur od krawca i ze starannie zawiązanym krawatem w paski.

Sullivan zaczekał, a kiedy uznał, że nadgorliwiec już skończył, powiedział przez kratę:

- Przepraszam, szukam pana McDougala.

Ale nadgorliwiec jeszcze nie wyczerpał tematu; podniósł palec, dając Sullivanowi znak, by chwilę poczekał, i rzekł do kasjera:

^Na przyszłość prosz o dowód tożsamości, jeśli chcesz tu dalej pracować.

Kasjer skinął głową i wymamrotał coś ze skruchą.

Wtedy grubas odwrócił się do Sullivana i powiedział z nie większym szacunkiem niż wobec podwładnego:

- Tak, proszę pana... w czym mogę pomóc?

Nadgorliwiec okazał się kierownikiem banku, panem McDougalem we własnej osobie, i raczył poinformować Sullivana, że będzie musiał umówić się z nim przez sekretarkę.

Sullivan przeprosił grzecznie, że nie uprzedził o swoim przyjeździe, i wyjaśnił, że jego

wizyta ma związek z ważnym depozytariuszem spoza miasta. Bankier znów zaczął mówić, ale słowa uwięzły mu w gardle, kiedy lepiej przyjrzał się przybyszowi.

Zaprowadził Sullivana do swojego gabinetu. W drzwiach puścił go przodem, kłaniając się lekko, po czym zamknął je za sobą i z wielką atencją zaprowadził gościa do fotela ustawionego naprzeciw dużego biurka. Średniej wielkości pomieszczenie zdominowane było przez ogromny sejf. Kierownik banku usiadł za biurkiem, przyglądając się czarnej torbie, którą gość położył na szklanym blacie, przy oprawionych w ramki zdjęciach żony, dorosłych dzieci i wnuków.

- Przyszedłem w sprawie pieniędzy Chicago, które pan przechowuje - powiedział Sullivan.

- Cóż, to miła niespodzianka - rzekł McDougal, składając ręce niczym człowiek zasiadający do obfitego, smacowego posiłku. - Spodziewałem się depozytu dopiero pod koniec miesiąca.

- Prawdę mówiąc - Sullivan sięgnął po torbę i otworzył zatrask - chodzi o wypłatę.

Wsunął dłoń do torby i wyjął kolta kaliber 45. Lizusowski uśmiech zniknął z twarzy McDougala - strach nadał jej bladą odcień.

Sullivan kazał mu położyć ręce na biurku i słuchać uważnie.

- Interesują mnie tylko brudne pieniądze. Wszystko, co pan przechowuje dla Capone'a i nie jest zaksięgowane... Proszę otworzyć sejf.

Przerażony bankier odwrócił się do sejfu za biurkiem i wprowadził szyfr. Był tak roztrzęsiony, że udało mu się to dopiero po kilku próbach; w końcu jednak wyciągnął kasetkę depozytową, którą postawił na biurku i otworzył, ukazując stosy gotówki.

- Jeśli przeczytam o tym w gazetach - powiedział Sullivan - jeśli napiszą, że bezwzględny bandyta pozbawił niewinnych farmerów oszczędności... będę niezadowolony.

McDougal przełknął ślinę i skinął głową.

- Pakuj - rozkazał Sullivan i podsunął mu torbę.

Wkładając pliki banknotów do torby, bankier, który wciąż się bał, ale już trochę otrząsnął się z szoku, powiedział:

- Oszalałeś. Wiesz, że dowiedzą się, kim jesteś.

- Nazywam się Sullivan... mam prze literować?

Wziął torbę z pieniędzmi od bankiera, teraz już bardziej zdumionego niż wystraszonego.

- Zabiją cię - powiedział McDougal. - To zwierzęta.

- Co ty powiesz - mruknął Sullivan. Nie pozwolił bankierowi schować do torby dwóch

ostatnich grubych plików banknotów. - To dla ciebie. Uznajmy to za opłatę manipulacyjną. I zawiadam Chicago, że ja to zabrałem.

Bankier pokręcił głową.

- Naprawdę wierzysz, że nic nie powiem?

- A komu mam wierzyć, jak nie kierownikowi banku? - Sullivan dźwignął torbę z pieniędzmi i dotknął czubka kapelusza.

Nie minęła minuta, a stał na chodniku przed bankiem - z czarną torbą w jednej ręce i pistoletem w drugiej, schowanej w kieszeni płaszcza. Po kilku sekundach do krawężnika powoli podjechał ford.

Sullivan spojrział przez szybę na chłopca za kierownicą.

- Nie ma pośpiechu - powiedział do syna.

Wsiadł i odjechali.

W ciągu następnych dwóch tygodni obrobiliśmy cztery banki, a to był dopiero początek. Zastanawiałem się wtedy, dlaczego robimy tak długie przerwy między skokami; patrząc wstecz, widzę, że ojciec tworzył coś w rodzaju antyschematu: tak planował napady, by w jego działaniach nie można było doszukać się jakiegokolwiek klucza. Wymagało to długiej jazdy, ale po banku w Illinois następny okradaliśmy w Nebrasce; po Iowie mogła być Oklahoma, a potem tata napelniał torbę w Wisconsin.

Na benzynę było nas stać.

Skrytka w tylnym siedzeniu, gdzie schowałem się tamtej deszczowej nocy, była wypełniona plikami banknotów ozdobionymi banderolami różnych banków. Chyba dopiero przy czwartym skoku ojciec wreszcie wyjaśnił mi, jak to jest, że wszystko odbywa się bez jednego strzału i bez interwencji policji.

Plan zawsze był ten sam - grzecznie się przedstawiał jako przedstawiciel Chicago, wyjmował broń w gabinecie dyrektora banku, zabierał pieniądze, zyskami dzielił się z bankierem, po czym następowało zawierające groźbę, ale niemal kurtuazyjne pożegnanie. Po kilku pierwszych napadach wieści się rozeszły i większość bankierów zdawała się czekać na mojego ojca... z otwartymi ramionami, bo też chcieli zarobić.

Dobrze, że te napady przebiegały tak spokojnie, bo nie od razu załapałem, na czym polega moja rola. Podczas drugiej roboty nie znalazłem miejsca do parkowania, więc objechałem całą okolicę i jakimś cudem pomyliłem kierunki, przez co ojciec musiał czekać na mnie na krawężniku z torbą pełną pieniędzy w jednej dłoni i pistoletem w drugiej (schowanej w kieszeni płaszcza). Pewnie stał tam niespełna minutę, ale musiało mu się wydawać, że minęła cała wieczność, zanim się pojawiłem.

Za każdym kolejnym razem szło mi coraz lepiej i chyba stałem się tak dobrym i profesjonalnym kierowcą jak inni w tej branży - Bonnie i Clyde, Ma Barker i jej chłopcy nie dorastali Sullivanom do pięt.

Sily Chicago dość szybko połapały się w naszej taktyce. Nie w tym, że bankierzy z nami współpracują, tylko że Michael Sullivan obrabia ich ukryte skarbcze. Nic dziwnego, przecież tata nie krył się z tym - wręcz zachęcał bankierów, którzy byli z nim w zмовie, by mówili Chicago, że kradzieże ustaną dopiero wtedy, kiedy Connor znajdzie się w jego rękach.

Po czwartym napadzie znaleźliśmy dom, którego mieszkańcy wyjechali, i skorzystaliśmy z ich stodoły, by przemalować naszego forda na kasztanowo. I dobrze

zrobiliśmy, bo przed piątym skokiem natknęliśmy się na grupę bandziorów kręcących się pod bankiem wybranym przez tatę.

Ojciec skinął na mnie głową i odjechałem. Żaden problem. Pieniądze Capone 'a były rozlokowane w zbyt wielu bankach na Środkowym Zachodzie, by można było do nich wszystkich wysłać ekipy zbirów.

Tego ranka obrobili piąty bank - w Loose Creek w stanie Missouri; a wieczorem siedzieli w małym nieoficjalnym klubie w Farmington w Iowa. Było tu przytulnie: kilka boksów, stoliki, obrusy w sam raz na piknik, zasłony w oknach, łagodne żółte światło.

Sullivan z synem zajmowali stolik przy zaimprovizowanym parkiecie, na którym kilka par tańczyło przy muzyce z radia. W tej chwili ten nowy śpiewak jazzowy Bing Crosby śpiewał *Where the Blue of the Night Meets the Gold of the Day*. Ciepły głos i swobodny styl Crosby'ego przypadły Sullivanowi do gustu. On i Michael jedli to samo: kotlet mielony z ziemniakami puree i kukurydzą w śmietanie; obaj pałaszowali, aż im się uszy trzęsły.

Obsługująca ich kelnerka - której imię, Betty, wyszyte było na sięgającym szyi fartuszk - podeszła, by zobaczyć, jak sobie radzą. Miała pewnie ze czterdzieści lat, była szczupłą brunetką o ustach pomalowanych ciemnoczerwoną szminką, ale nie nosiła ostrego makijażu. Miła dziewczyna.

- Kawy? - zapytała.

- Dziękuję - powiedział Sullivan.

Zauważyła, jak obrzuca ją wzrokiem. Ich spojrzenia spotkały się i jej oczy powiedziały mu, że nie ma nic przeciwko temu.

- Co was sprowadza na to zadupie? - spytała.

Obracając kawałek chleba brązowy od wytartego nim sosu, Michael powiedział wesoło:

- Napadamy na banki!

Ojciec zgromił go wzrokiem, ale Betty tylko się roześmiała.

- Jesteśmy przejazdem - powiedział Sullivan.

Przyjęła tę niewiele mówiącą informację z uśmiechem, a on odprowadził ją spojrzeniem, kiedy poszła za kontuar i zdjęła fartuszek. Zbliżała się pora zamknięcia restauracji.

Michael odsunął pusty talerz i takim tonem, jakby chodziło o deser, spytał:

- No to kiedy dostanę moją działkę? Sullivan zastanowił się.

- Ile chcesz?

Michael wyraźnie nie spodziewał się zaproszenia do negocjacji. Sullivan patrzył z

rozbawieniem na twarz syna, na której rysował się wysiłek towarzyszący szukaniu odpowiednio wysokiej, ale niewygórowanej kwoty.

- Dwieście dolarów - powiedział chłopak zdecydowanym tonem.
- Dobra, umowa stoi - odparł Sullivan.
- Michael zmarszczył brwi.
- Mogłem dostać więcej? Sullivan napił się kawy.
- - Nigdy się nie dowiesz.

Jeden z tańczących podszedł do radia i podgłośnił dźwięk przed tym, jak Crosby doszedł do wielkiego, majestatycznego finału.

W luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze hotelu Lexington w Chicago Frank Nitti - w nienagannym szarym prążkowanym garniturze, wymuskany aż po pojedyncze włoski w wąsach - słuchał Harlena Maguire'a przekazującego mu przez telefon najświeższe złe wieści.

- Ile wziął? - wybuchnął do słuchawki. - Ile, pytam?
- Siedemdziesiąt pięć tysięcy, panie Nitti. wszystko, co pan u nich miał - odparł Maguire. - Groził prezesowi banku śmiercią.

Dodał, że Sullivan znów podał bankierowi swoje nazwisko, i powiedział, iż gotów jest zrezygnować ze swojej „zabawy”, jak to określił, jeśli grupa Capone'a wyda mu Connora Rooneya.

- No dobrze - Nitti był już spokojny - a teraz odpowiedz mi na jedno pytanie.
- Oczywiście.
- Za co ci płacimy?

Gdy Maguire gęsto się tłumaczył, drzwi apartamentu nagle się otworzyły i do środka wpadł Connor Rooney, a za nim ochroniarz, którego przydzielił mu Nitti, Mały Louis Campagna. Młody Rooney nie był pijany, ale wyglądał okropnie, miał wymięty garnitur i woskową twarz, jakby nie spał od wielu dni.

- Czego? - warknął Nitti na nieproszonego gościa. - Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz?

Wyjaśnił Connorowi, że to, iż mieszka w Lexingtonie, nie znaczy, że nie musi umawiać się na spotkanie jak inni.

- Gdzie jest mój ojciec? - spytał Connor.

Usta Nittiego drgnęły w zimnym uśmiechu.

Connor wyjaśnił, że dzwonił do posiadłości przy Dwudziestej na Rock Island, do gabinetu ojca też - próbował wszędzie. Albo akurat go nie było (tak mówili ci, którzy podnosili słuchawkę), albo nikt nie odbierał.

Nitti wzruszył ramionami.

Connor zaczął krążyć po pokoju. Campagna zrobił krok do tyłu, ale nie spuszczał podopiecznego z oczu. Rooney nie przestawał marudzić - czyżby jego własny ojciec odwrócił się do niego plecami?

- Dlaczego nikt ze mną nie rozmawia? - dopytywał się. - Czuję się jak zasrany więzień!

Nitti spojrzał na niego i odparł chłodno:

- Nie jesteś więźniem, Connor. Jesteś pod ochroną... na życzenie twojego ojca.

Connor podszedł z powrotem do biurka i oparł się o blat. Jego oczy rzucały gniewne błyski, a na twarzy pojawił się wyraz ledwie powściąganej wściekłości.

- Mogę sam się o siebie troszczyć - warknął.

- Nie - powiedział Nitti - nie możesz. W tym właśnie rzecz: jesteś dużym dzieciakiem, który nie odróżnia kciuka od kutasa.

Oczy Connora znów rozbłysły, a nozdrza zafalowały jak u konia stojącego dęba.

- Pierdol się!

- Słuchaj, synku - odparł Nitti z niezmaconym spokojem - żyjesz tylko dlatego, że jesteś synem Johna Rooneya. Twój ojciec nieraz pomógł Capone'owi... a Al nie zapomina takich rzeczy.

Connor stanął przed biurkiem.

- Jesteś krótkowzroczny, Frank. Mój ojciec jest stary. Powinieneś zadbać o przyszłość.

- Wskazał na siebie gestem autostopowicza. - Ja jestem przyszłością.

Nitti nie odpowiedział. Nie trzeba mu było przypominać, jak wielką kopalnią złotą jest obszar Tri - Cities... ani tego, że Rooney jest starym człowiekiem. I że Connor Rooney jest szaleńcem.

A Connor wydawał się zdecydowany to właśnie udowodnić.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów - wycodził przez zęby i wyszedł.

Nitti westchnął i sięgnął po słuchawkę.

- Maguire? Jesteś tam jeszcze? - Tak... prawie wszystko słyszałem.

- Słuchaj, zrób. co będzie konieczne. Znajdź ich.

- Poczyniłem pewne kroki - odparł Maguire.

Nitti powiedział swojemu człowiekowi, że kroki nie wystarczą - niech spróbuje skoków; ale Maguire zauważył, że Sullivan porusza się w obrębie trzech stanów.

- Zrób, co będzie konieczne - powtórzył zniecierpliwiony Nitti.

I podwoił zaliczkę fotografa.

Maguire podziękował za hojność, a szef gangu oznajmił, że fotograf doceni w pełni jego hojność w dniu, kiedy znajdzie Sullivana i jego syna.

- Zrobię, co w mojej mocy, panie Nitti - zapewnił Maguire. - Ale to może potrwać...

W ciągu kolejnych kilku tygodni mój ojciec nappełnił swoją czarną torbę w bankach w Iowa, Illinois, Nebrasce, Oklahomie, Missouri, Kansas a nawet w Indianie i Wisconsin. Nie padł ani jeden strzał, a nasze skoki stały się tak rutynowe, jak rutynowy mógł być napad na bank.

Czasem, kiedy w nocy ojciec był zbyt zmęczony, żeby dłużej prowadzić, spaliśmy w samochodzie. Nie lubiłem tego, więc na ogół próbował znaleźć motele, a przynajmniej kempingi, które zapewniały choćby elementarne wygody.

Tata skrupulatnie czytał gazety, szukając wzmianek o naszych napadach, ale nigdy żadnej nie znalazł i to go cieszyło. Mniej cieszył go brak innych wiadomości. Nigdy tego nie powiedział, ale po namyśle przypuszczam, że wertując gazety, szukał informacji o odnalezieniu ciała Connora Rooneya w jakimś rowie, co oznaczałoby kapitulację Chicago i kres naszej podróży.

Mikę Sullivan siedział naprzeciwko kierownika banku stanowego w Grand Prairie w Oklahomie. Kierownik, młodszy niż większość osób na tym stanowisku, miał strój i maniery profesjonalisty, ale był zdenerwowany i wyraźnie wystraszony.

- Przykro mi, panie Sullivan. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Nic nie ma.

Pistolet poderwał się mierzac prosto w jego głowę.

- Nie! Nie... pieniądze mogę panu dać - powiedział bankier. - Tyle że to nie będą pieniądze Chicago. Wszystko zabrali przedwczoraj.

Sullivan przyglądał się mężczyźnie; na jego gładkiej młodej twarzy wypisane było, że mówi prawdę.

- Kto dał upoważnienie?

- Księgowy.

Kierownik wyjaśnił, że księgowy gangu objeżdżał wszystkie banki w towarzystwie uzbrojonej ochrony. Robi to od wielu dni, dodał.

- Jak się nazywa? - spytał Sullivan, choć znał odpowiedź.

- Rance - odpowiedział bankier. - Alexander Rance.

Alexander Rance, księgowy, którego Joe Kelly przyprowadził na spotkanie kierownictwa gangu Rooneyów, by przedstawił argumenty przemawiające za zaangażowaniem się w związki zawodowe.

- Może wie pan, gdzie jest następny przystanek pana Rance'a? - spytał Sullivan.

- Prawdę mówiąc, wiem.

Alexander Rance reprezentował dążenie Franka Nittiego do wejścia w świat wielkiego biznesu, co wymagało inwestowania w legalne przedsięwzięcia.

Wraz z wieloma innymi księgowymi i prawnikami należał do małej armii białych kołnierzyków, która wykonywała polecenia dobrze prosperujących bandziorów, takich jak Nitti. Pedantyczny, wybredny, jeśli chodzi o jedzenie, strój i mieszkania, Rance prowadził finanse grupy w taki sposób, by nie mieć nic wspólnego z przemocą stanowiącą nieodłączną część takiej działalności przestępczej jak hazard, lichwa, prostytutka i przemyt alkoholu.

Pewnie nawet się nie domyślał, w jak dużym był niebezpieczeństwie, kiedy Nitti polecił mu osobiście nadzorować wycofywanie pieniędzy gangu z banków Środkowego Zachodu. Rance miał wybrać hotel, który byłby jego bazą na określonym terenie, podejmować gotówkę i wysyłać ją do Chicago pod uzbrojoną strażą; tam fundusze lądowałyby w sejfach dużych, szanowanych banków, do których mój ojciec raczej nie próbowałby się dostać.

Rance znajdował luksusowy hotel w małym mieście, wprowadzał się do apartamentu dla nowożeńców - prawdopodobnie dlatego, że takie były najwygodniejsze - i zamawiał jedzenie do pokoju, przy czym zawsze chciał osobiście przekazać kucharzowi szczegółowe instrukcje dotyczące przygotowywania jego posiłków.

Zwłaszcza śniadanie było dla Rance 'a rytuałem - jajka na miękko z kruchym bekonem... ale nie na tyle kruchym, by plastry łamały się, kiedy maczał je w żółtku.

Gdy ojciec z synem wjechali do Stillwater w stanie Oklahoma, widać było po nich trudy podróży. Zaniechani, wyglądali na ludzi, którym los dał w kość. Chłopak siedzący za kierownicą kasztanowego forda wiedział, że ojca dręczy cicha obawa, która jakby nasiliła się w ostatnich dniach.

Na łagodnym stoku nad Stillwater Creek ku północnemu zachodowi rozciągała się idylliczna miejscina; duże, komfortowo wyglądające rezydencje stały w wielkich ogrodach na wpół ukrytych za drzewami, a dzielnica biznesowa składała się z niskich, dobrze utrzymanych budynków. Względny przepych trafnie nazwanego Grand Hotelu kontrastował ze skromnym wyglądem miasta i zdradzał jego tajemnicę: był to ośrodek biznesu i rolnictwa, położony w miejscu łatwo osiągalnym dla większości zmotoryzowanych mieszkańców Oklahomy.

Wjeżdżając na wolne miejsce jak rutynowany kierowca, którym teraz już był, chłopiec spytał:

- Tato, możemy dziś zamieszkać w motelu? Nie znoszę spać w samochodzie.
- Zgoda - odpowiedział Sullivan, sprawdzając magazynek. Zapasowy miał w kieszeni płaszcza. Kiedy wkraczało się na nieznane terytorium, takie jak to, trzeba się było odpowiednio przygotować. Wcisnął naboje do czterdziestki piątki. - Pamiętaj, jeśli coś zobaczysz, masz dwa razy zatrąbić.

Michael skinął głową.

- I nie ruszaj się z wozu.

Sullivan przypomniał synowi, że może usłyszeć strzały, krzyki albo nic - ale cokolwiek by się działo, ma siedzieć w fordzie.

- Choćby nie wiem co - podkreślił.
- Chłopiec znów skinął głową.
- No dobra - powiedział Sullivan. - Gotów?
- Michael wziął głęboki wdech.
- Tak.

Ojciec kazał mu zachować czujność i wysiadł z samochodu. Michael obserwował w lusterku po stronie kierowcy, jak pewnym krokiem wchodzi do drogiego hotelu.

- Na razie - powiedziała i wyszła, a on wciąż na nią patrzył. I właśnie dlatego Harlen Maguire nie zobaczył, jak Michael Sullivan senior przechodzi przez ulicę i znika w hotelu.

W ponurym, lecz funkcjonalnie umeblowanym pokoju nad frontonem sklepu naprzeciwko Grand Hotelu Betty Lou Petersen, nastolatka o kręconych blond włosach, siedziała na skraju łóżka i wciągała jedwabne pończochy.

Po chwili była już całkowicie ubrana - po raz pierwszy od dwóch dni, czyli od chwili, kiedy w Stillwater Tap poznała mężczyznę, który teraz stał przy oknie wychodzącym na główną ulicę.

Betty Lou, jeszcze przed rokiem czirliderka z liceum w Stillwater, była samotną matką i jedną z najmłodszych i najbardziej atrakcyjnych prostytutek w mieście, choć jeszcze nie przyznała się do tego przed sobą; uważała się po prostu za imprezową dziewczynę, która przyjmuje prezenty od mężczyzn. Mieszkała ze swoją owdowiałą matką, która pilnowała małej Violet, kiedy ona szła się „zabawić”.

Mężczyzna stojący przy oknie był przystojny, ale dziwny. Nosił drogie ubrania, miał dobre maniery, pachniał pomadą i talkiem, był bardzo, bardzo czysty, no i dość młody i szczupły, nie to, co ci tłuści, cuchnący komiwojażerowie i biznesmeni, których od czasu do czasu zabawiała.

Mimo to nie żałowała, że ta impreza się skończyła. Przed kilkoma minutami

zignorował ją. kiedy spytała:

- Jak długo jeszcze będę ci potrzebna?

Spróbowała raz jeszcze.

- Nie można by choć na chwilę zasunąć zasłon? Nie zasnę przy tym świetle.

Wreszcie rzucił na łóżko trochę pieniędzy i powiedział:

- Żegnam. - To słowo i dwa wymięte dwudziestodolarowe banknoty to wszystko, co dla niej miał. Poza tym w ogóle jej nie zauważał;

właściwie bez przerwy wyglądał przez okno, no chyba że akurat na niej leżał. Dziwak. Prawdziwy hrabia Świrula, nawet jeśli był przystojniakiem w typie Roberta Taylora.

Zatrzymała się pod drzwiami i powiedziała mu. że tego wieczoru znów będzie w Tapie.

Odwrócił się do niej, jego niebieskie oczy były zimne i w ogóle nimi nie mrugał. Nie powiedział nic, nawet nie wzruszył ramionami. Aż ciarki człowieka brały.

Jak na miasto tej wielkości, hol hotelu Geneva był przestronny i pełen przepychu, w lekko dekadentym stylu a la schyłek dziewiętnastego wieku. Stały w nim paprocie w donicach, obite pluszem meble i bogato zdobione mahoniowe biurko recepcjonisty, za którym stał zasępiony mężczyzna w binoklach. Ubrany w ciemną marynarkę i krawat, ze złotą odznaką z imieniem wypisanym małymi literami i słowem Kierownik większymi, rozmawiał przez telefon z wyjątkowo uciążliwym gościem.

- Szef kuchni nie może podejść, proszę pana - tłumaczył. - W czym mogę pomóc?

Sullivan rzucił okiem na tablicę z kluczami; większość wisiała na swoich miejscach, goście - biznesmeni już się porozjeżdżali. Ale jeden z haczyków - oznakowany 311 Apartament dla nowożeńców - był wolny.

- Już zapisuję panie Rance - powiedział recepcjonista.

Sullivan przystanął.

- Jajka na miękko, tak, proszę pana - mówił mężczyzna za biurkiem. - Nie chce pan, żeby bekon się łamał, rozumiem. Już się robi.

W hotelu nie było wind. więc Sullivan potruchtał główną klatką schodową na antresolę, gdzie znalazł następne schody, którymi wszedł na ostatnie, drugie piętro.

Pod drzwiami pokoju 311, apartamentu dla nowożeńców, rozejrzał się po pustym korytarzu, wyjął czterdziestkę piątkę z prawej kieszeni płaszcza i zapukał lewą ręką.

- Otwarte! - zawołał zirytowany głos ze środka.

Sullivan wszedł z pistoletem gotowym do strzału. Wystrój salonu był elegancki i kosztowny - perkal i kryształy, obite sofy i fotele, drewno, kość słoniowa. Na stoliku na

kólkach leżała srebrna taca, którą zdobił talerz z prawie nietkniętym śniadaniem składającym się z dwóch jajek w identycznych srebrnych kieliszkach i skrzyżowanych plastrów kruchego bekonu. Obok, odwrócony plecami do Sullivana, stał mężczyzna w jedwabnym szlafroku, który nalewał sobie kawę.

- Najwyższa ocena za szybkość - powiedział. - Za to jakość poniżej krytyki.

Przepełniony oburzeniem Alexander Rance odwrócił się i podniósł jajko w srebrnym kieliszku.

- Jeśli wolno spytać, jak nazwie pan... to?

Miał wzrok utkwiony w jajku, ale kątem oka zauważył coś, co kazało mu zwrócić uwagę na mężczyznę stojącego przed nim... ..mierzącego z czterdziestki piątki w jego głowę.

- Niech pan odłoży jajko, panie Rance - powiedział Sullivan.

Rance wykonał polecenie, mamrocząc coś przeproszająco.

Dobrze chociaż, że nie udawał, że nie zna niespodziewanego gościa. W końcu opanował się i powitał go słowami:

- Pan Sullivan.

- Pan Rance.

Rozdzielała ich różowoczerwona pluszowa sofa obita brokatem. Księgowy podniósł rękę; jego brwi były niemal równie wysoko, kiedy spytał:

- Jak pan mnie znalazł?

- To najlepszy hotel w okolicy, a pan jest bardzo wymagający - odparł Sullivan. - Tak czy inaczej, moi znajomi w bankowości powiedzieli mi, gdzie pana szukać.

Nie odrywając oczu od księgowego, podszedł do drzwi i przekręcił tkwiący w zamku klucz. Potem zajrzał do sypialni; zobaczył duże podwójne łóżko i ściany obite brokatową tapetą w kwiaty. Choć pokojówka jeszcze nie przyszła, łóżko było posłane, a w jego nogach stał duży metalowy kufer, który najwyraźniej nie stanowił części kwiecistego wystroju apartamentu dla nowożeńców.

- Mógłbym prosić, by opuścił pan broń? - spytał Rance.

Sullivan zrobił to.

- Dziękuję - powiedział Rance przesadnie zbolalym głosem. - A zatem, czego pan chce?

- Informacji - odparł Sullivan.

Rance musiał wziąć ze sobą księgi i dokumenty, skoro zamierzali zwinąć wszystkie konta. Sullivan chciał je dostać.

Początkowo Rance wydawał się rozbawiony tym żądaniem. Co Sullivanowi dadzą te akta?

Sullivan przyznał, że jemu dadzą niewiele, za to mogliby je wykorzystać federalni przygotowujący akty oskarżenia przeciwko Alowi Capone.

Rance pokręcił głową. Sullivan należał do innego świata - on zajmował się tylko księgami i liczbami.

Sullivan powtórzył, że właśnie tego chce: ksiąg z liczbami.

- Nie mogę ich oddać! - zawołał Rance.

Sullivan podniósł czterdziestkę piątkę i odbezpieczył ją.

- Dobrze, dobrze... są w pokoju obok.

Księgowy wszedł do sypialni. Sullivan został w salonie, bacznie obserwując go przez otwarte drzwi. Rance wskazał na duży metalowy kufer i powiedział:

- Są tutaj.

- Przynieś je - polecił Sullivan.

Rance zerknął za jego plecy, w okno wychodzące na ulicę. Sullivan zauważył to i kiedy księgowy zaczął wlec kufer do salonu, podszedł do tego okna i zaciągnął zasłony.

Stojący w oknie pensjonatu po drugiej stronie ulicy Maguire, zauważył, że Rance z kimś rozmawia. Księgowy kontaktował się z pracownikami hotelu głównie przez telefon, toteż widok Rance'a, rozmawiającego z kimś w swoim apartamencie zadziałał na niego jak sygnał alarmowy.

Nagle w oknie pojawił się Mikę Sullivan zaciągający zasłony - doskonale widoczny, choć tylko przez chwilę.

Ford, którego Maguire zauważył wcześniej, był kasztanowy, ale może go przemalowali? Czyżby dał się zrobić w konia?

Te i inne myśli przemykały przez głowę Maguire'a, kiedy się ubierał. Z płóciennego worka leżącego pod łóżkiem wyjął długolufowy karabin. W meloniku na głowie i z bronią schowaną pod płaszczem zbiegł po schodach i przeszedł przez ulicę, nie zważając na przejeżdżające samochody. Było ich tak mało w tej pipidowie.

Kiedy skierował się w stronę wejścia do hotelu, nawet nie podniósł głowy na pisk hamulców samochodu, który zakręcił gwałtownie, by go ominąć.

Za to głowę podniósł ktoś inny: Michael, któremu nudziło się na czatach, więc zaczął czytać książkę o Samotnym Jeźdźcu i nie zauważył Maguire'a przechodzącego obok forda od strony kierowcy. W bocznym lusterku zobaczył mężczyznę w meloniku biegnącego truchtem przez ulicę.

Niezbyt dobrze przyjrzał się napastnikowi z baru, ale ojciec szczegółowo go opisał, a poza tym lufa karabinu wystawała mężczyźnie spod płaszcza.

Człowiek w meloniku był coraz bliżej hotelu, więc Michael z całej siły nacisnął klakson - dwa razy.

Mężczyzna odwrócił się na ten dźwięk, ale nie napotkawszy spojrzenia Michaela, zniknął wewnątrz budynku.

Chłopak znów wcisnął klakson, raz, potem drugi. Po chwili zrobił to znowu. Powtarzał tę czynność, coraz bardziej przerażony, tak długo, że przechodnie zatrzymywali się i patrzyli na niego.

Gdzie jego ojciec? Dlaczego hałas nie wypłoszył go z hotelu?

Kiedy Maguire sięgał pod łóżko po worek z karabinem, Sullivan mierzył z czterdziestki piątki do Alexandra Rance'a, który sapiąc i dysząc, wypychał z sypialni duży metalowy kufer.

Rzucił okiem na okno zasłonięte przez Sullivana i poprosił go, by rozsunął zasłony.

- Nic nie widzę! - poskarżył się.
 - Sullivan puścił jego prośbę mimo uszu.
 - Ruszaj się - mruknął.
 - Rance dalej pchał kufer.
-
- Co pan osiągnie, mieszając się do naszych interesów, panie Sullivan?
 - To nie ma nic wspólnego z waszymi interesami.

Rance przysunął kufer bliżej kanapy, gdzie było jaśniej, i powiedział:

- Tu chodzi o biznes, a w biznesie trzeba mieć do zaoferowania coś cennego, jeśli chce się dokonać wymiany.

Te dokumenty to już coś, pomyślał Sullivan.

- A zwłaszcza - księgowy stęknął, pchając kufer - za kogoś tak cennego, jak Connor Rooney.

Sullivan zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem - rzekł. Czemu niby Connor Rooney miał być cenny?

Rance spochmurniał, jakby uświadomił sobie, że powiedział za dużo.

Mechaniczny terkot oderwał uwagę Sullivana od księgowego, który podnosił się zza kanapy. Kufer stał na środku pokoju.

- Otwarcie sesji na Wall Street - wyjaśnił Rance, kiwając głową w stronę drugiego końca pokoju.

W zacienionej wnęce stała maszyna telegraficzna. Właśnie wypluwała taśmę, hałasując przy tym jak miniaturowy karabin maszynowy. Pod przykrywającym ją szklanym

słojem walał się stos wczorajszych wydruków.

Terkot maszyny był na **tyle** głośny, że zagłuszył dźwięki dochodzące z zewnątrz - w tym odgłos klaksonu rozpaczliwie wciskanego przez Michaela.

- No, dawaj - powiedział Sullivan. - Otwórz to.

Rance wyjął z kieszeni szlafroka duże kółko z kluczami i zaczął oglądać wszystkie po kolei, mamrocząc pod nosem:

- Który to może być?

Sullivan niecierpliwie machnął pistoletem. Księgowy ukląkł przy kufrze, wypróbował klucz. - Nie... to nie ten...

Sullivan pogroził mu, a Rance przekonywał, że robi, co może. O, to ten!

- Nie, tym już próbowałem...
- Niezdarnie upuścił klucze na dywan.
- Panie Rance, czyja wyglądam na cierpliwego człowieka?
- Rance łypnął okiem na Sullivana.
- Ojej... lepiej zacznę od nowa - szepnął.
- Szybciej - gorączkował się Sullivan - szybciej...
- - Nie... nie ten...

Sullivan podszedł do niego, przycisnął lufę do jego lewej skroni i powiedział:

- Została ci jeszcze jedna próba.

Rance wybrał inny klucz.

- Ach, to ten - włożył go do dziurki i z trzaskiem otworzył kufer. Gdy Sullivan zrobił krok w bok, by zajrzeć do środka, podniósł wieko, ukazując...

...pustkę.

W tej chwili skończyła się taśma, terkot ucichł i dźwięk klaksonu - powtarzający się raz po razie - wreszcie dobiegł uszu Sullivana.

Rance skorzystał z okazji, by uciec do sypialni; zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na klucz.

A Mikę Sullivan zajrzał jeszcze raz do pustego wnętrza „ciężkiego” kufra, z którym księgowy tak się męczył, i zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Rance był przynętą, on sam - myszą... No to gdzie ten cholerny kot?

Dźwięk klaksonu został zagłuszony przez strzał z karabinu, który wyrwał dziurę w drzwiach apartamentu dla nowożeńców. Miesiąc miodowy się skończył.

Ledwie Sullivan schował się za kufrem z podniesionym metalowym wiekiem, ktoś wyważył drzwi silnym kopnięciem. Rozległ się trzask łamanego drewna i w wejściu stanął

człowiek w meloniku. Nie widząc Sullivana, oddał pięć szybkich strzałów po całym pokoju, trafiając między innymi w drzwi sypialni i ścianę.

Dwie kule uderzyły w otwarte metalowe wieko, będące prowizoryczną tarczą Sullivana.

Kiedy mężczyzna z karabinem zrobił przerwę na przeładowanie broni i wszedł do pokoju, który wydawał mu się pusty, Sullivan wyskoczył zza kufra i zaczął strzelać z czterdziestki piątki. Robił to jednak właściwie na oślep, więc pociski wbiły się w sofę pod drzwiami, a facet z karabinem, rzucił się za stolik, na którym stała lampa z kryształowym abażurem, i przykucnął, by dokończyć ładowanie.

Sullivan, przyczajony za kufrem, widział w wieku dwa zagłębienia po kulach; oddychając ciężko, policzył w myśli, ile mu zostało nabojów. Zdawało się, że czas stoi w miejscu, w pokoju zapadła upiorna cisza, którą mącił tylko trzask przeładowywanego karabinu. Światło dnia wpadało przez otwory po kulach w ścianie i drzwiach sypialni niczym miecze w skrzyni magika. Drobiny kurzu unosiły się w powietrzu. Kryształowe lampy stały w milczeniu, a eleganckie otoczenie wydawało się niestosownym tłem dla trwającej walki na śmierć i życie.

Napastnik niepostrzeżenie podniósł się zza stolika; dwa pociski z karabinu trafiły kufer, który wpadł na Sullivana, odrzucając go do tyłu i na bok. Pozbawiony wszelkiej osłony, pospiesznie oddał trzy strzały; jedna z kul roztrzaskała kryształową lampę na stoliku, zasypując przeciwnika kawałkami szkła, które wbiły mu się w twarz niczym tuzin pszczelich żądleń.

Mężczyzna krzyknął z bólu i zaskoczenia i padł na kolana. Sullivan, wciąż leżący na boku na podłodze, nie przestawał strzelać z czterdziestki piątki, ale osiągnął tylko tyle, że zmusił jęczącego przeciwnika do schowania się za obitą sofą.

Po chwili usłyszał trzask pustej komory swojego pistoletu. Spojrzał na skulonego mężczyznę, który jedną dłonią zasłaniał zakrwawioną twarz, a w drugiej trzymał karabin, niegroźny, przynajmniej na razie.

Sullivan skorzystał z okazji, zerwał się na nogi, podbiegł do drzwi sypialni i zaczął raz po razie kopać już przestreloną deskę. Potem włożył rękę do środka i przekręcił klucz w zamku.

Wpadłszy do sypialni, pospiesznie odwrócił się i przykucnął, na wypadek gdyby mężczyzna z karabinem rzucił się do ataku. Wcisnął do czterdziestki piątki nowy magazynek i cofając się, zobaczył Rance'a - leżał na plecach na łóżku, z otwartymi oczami i ustami, a na jego jedwabnym szlafroku widniała czerwona plama; szkarłatna fontanna zbryzgała

wezgłowie i ścianę. Jedna z kul dosięgła księgowego i udzieliła mu ostatniej lekcji przestępczego biznesu.

Sullivan omal się o coś nie potknął. Spojrzał w dół i zobaczył obok łóżka mały czarny sejf, na którym była wiele mówiąca mała naklejka: Główne konta.

Chwycił lewą ręką uchwyt sejfu, jego prawa dłoń wciąż była gotowa na posłanie śmierci temu zakrwawionemu skurwielowi z sąsiedniego pokoju.

Sypialnia miała oddzielne wyjście. Sullivan skorzystał z niego i pobiegł w głąb korytarza. Znalazł okno wychodzące na schody pożarowe, którymi zszedł na zaułek; po kilku sekundach biegł już główną ulicą w stronę miejsca, gdzie czekał Michael.

Nie wiedział, że Harlen Maguire zdołał dojść do okna, rozsunąć zasłony, wyjąć rewolwer z kieszeni płaszcza i mrugając oczami, by oczyścić je z krwi, wycelować.

Michael zauważył ojca wybiegającego z zaułka. Wrzucił wsteczny i zaczął cofać wóz ku niemu; nie mieli ani chwili do stracenia. Dwa wystrzały zmusiły ich do zmiany planów. Chłopiec usłyszał krzyk ojca:

- Jedź! Jedź!

Michael wiedział, że musi go słuchać. Zmienił bieg, profesjonalnie jak każdy szofer gangu, i ruszył naprzód, a ojciec biegł obok samochodu. Chłopiec miał za krótkie ręce, żeby otworzyć mu drzwi, ale tata zrobił to sam. Był już prawie w środku, kiedy padł następny strzał i jego ramię odskoczyło do tyłu, a on drgnął pod wpływem siły uderzenia i bólu.

Mimo to jakoś wskoczył do samochodu i zamknął drzwi, znowu krzycząc:

- Jedź! Jedź!

Michael, choć przerażała go myśl, że ojciec jest ranny, zrobił, co do niego należało; wcisnął gaz do dechy, lawirując wśród samochodów, podczas gdy z tyłu dobiegało wycie syren.

Dopiero na obrzeżach miasta zaryzykował i spojrzał na ojca, który trzymał lewe ramię prawą dłonią. Krew ściekała czerwonymi strużkami po palcach.

Sullivan, widząc przerażenie na twarzy syna, warknął:

- Nic mi nie jest! Patrz na drogę.

Chłopiec jechał.

A w apartamencie dla nowożeńców Harlen Maguire padł na kolana, jakby chciał się pomodlić. Nie złożył dłoni; trzymał je wyciągnięte przed siebie, wzniesione do góry. Zza otwartych drzwi drugiego pokoju przyzywał go trup Alexandra Rance⁷a.

Ale Maguire nie miał aparatu. Zresztą zajęty był patrzyeniem na swoje dłonie - dłonie, w których trzymał swoją biedną poharataną twarz, uwalane krwią, ociekające czerwienią. Był

zaskoczony. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi całą krew, jaką miał na rękach.

W gazetach pisali o nas tylko raz, po strzelaninie w Grand Hotelu w Stillwater, kiedy świadkowie widzieli, jak uciekałem z miejsca zdarzenia za kierownicą forda, z ojcem siedzącym na miejscu pasażera.

Mojego tatę przedstawiano wówczas jako złodzieja o morderczych skłonnościach, który zabił szanowanego księgowego - niejakiego Alexandra Rance 'a - i ukradł setki tysięcy dolarów z jego apartamentu w Grand Hotelu. Tak naprawdę ojciec nie wziął żadnych pieniędzy, tylko dokumenty - książki i akta.

Oczywiście, mieliśmy wtedy większe zmartwienia niż nasz wizerunek w prasie - przede wszystkim przetrwanie. Na szczęście dla nas także inne rodziny - a może takich była większość - w tych ciężkich czasach żyły skromnie i wiedziały, jak to jest walczyć o przeżycie.

Teraz już ich nie ma, a ich czyny - jakkolwiek je interpretować - nie mogą zaszkodzić tym dobrym samarytanom. Prosiłbym, żebyście myśleli o nich jako o przedstawicielach wymarłej już rasy Amerykanów: krzepkich pionierów, którym udało się jakoś wyżyć z tego, co własnymi rękami wyrwali tej niegościnniej ziemi.

Rolnictwo na Wielkich Równinach tak naprawdę nigdy nie podniosło się po załamaniu cen w 1920 i 1921 roku. Choć przyszłość miała przynieść jeszcze cięższe chwile - wkrótce w wyniku susz i burz piaskowych Kansas, Nebraska i Oklahoma miały znaleźć się w samym sercu pustkowia - rodziny farmerskie z trudem wiązały koniec z końcem już po tym, jak podczas Wielkiego Kryzysu ceny poleciały na łeb, na szyję.

Kraj, do którego zawiozłem mojego rannego ojca, był więc bogaty w glebę i ubogi w pieniądze; ten odludny raj obiecywał nam jeśli nie zbawienie, to wytchnienie w podróży.

Michael, choć wystraszony, jakoś sobie radził, dopóki ojciec pozostawał przytomny i udzielał mu instrukcji: „skręć tu”, „nie przekraczaj prędkości”, „jedź w lewo”. Tata zdołał zatamować krwawienie kawałkiem materiału oderwanym z własnej koszuli i nie pozwolił, żeby chłopiec zatrzymał się i pomógł mu zawiązać prowizoryczny bandaż.

Może to właśnie w końcu wyczerpało zapasy jego niezwykłej żywotności i ten osłabiony silny człowiek zemdlął.

Wtedy panika wezbrała w chłopcu niczym woda zalewająca tonący statek. Instynktownie zjechał z głównej drogi, świadom, że musi znaleźć jakiś dom, może farmę, by poprosić o pomoc dla ojca. Ford dobrze się sprawował na wyboistej polnej drodze, ale Michael musiał zwolnić, bo nie chciał, żeby wstrząsy sprawiały ojcu ból, nawet jeśli był

nieprzytomny.

Zobaczył kilka niszczących budynków - dom, stodołę, jakieś szopy zbite z obłazących z farby desek - które w normalnych okolicznościach odstraszyłyby go. Teraz jednak cieszył go każdy ślad cywilizacji, nawet jeśli to gospodarstwo bardziej przypominało wiejskie chaty, które widział w kinie i komiksach, niż farmy okalające Rock Island.

Dwoje starszych ludzi - na oko pięćdziesięcioletnich - pracowało w polu, które wyglądało na kamieniste. Było ciepło, wiosna już wypierała zimę. Para powoli posuwała się naprzód, klęcząc na zaoranej roli, mężczyzna kopał, kobieta siała. Ich ubrania były stare i znoszone: mężczyzna miał na sobie kombinezon, postrzępioną koszulę i sfatygowany kapelusz, a kobieta wyblakłą perkalową suknię - i ona, i suknia pewnie kiedyś były ładne, jeszcze przed narodzinami chłopca.

Michael zatrzymał się na skraju pola, na którym pracowali, uradowany na widok istot ludzkich, tym bardziej że nie strzelały do niego i ojca. Biegł między zaoranymi rzędami, rozpaczliwie wymachując rękami, a oni popatrzyli po sobie, świadomi, że potrzebna jest pomoc, gotowi jej udzielić.

To, co działo się później, chłopak widział jak przez mgłę - rozgrzany nóż wbijający się w ramię mającego ojca. zakrwawiona kula spadająca do metalowego kubka jak moneta na tacę w kościele, ojciec dygoczący w gorączce na prowizorycznym łóżku w pokoju od frontu.

Nocne poty, wytłumaczył farmer. Bili. bo tak brzmiało jego imię. miał pocziwe niebieskie oczy, pooraną bruzdami twarz i siwe włosy. To dobrze, że ojciec wypaca truciznę, powiedział Michaelowi; zostań z tatą, synu.

Nie musiał tego mówić. Przez te długie tygodnie ojciec opiekował się nim; teraz to Michael zdjął mu koszulę, rozpiął wytarte i poplamione w podróży mankiety. Na koniec złożył krawat i umieścił go w nogach łóżka, z namaszczeniem, tak jak tata robił to na jego oczach.

Farmer i jego żona Virginia. która tak jak on miała niebieskie oczy osadzone w twarzy równie sympatycznej, co pomarszczonej i siwiejące włosy w kolorze ciemnoblonde, byli w pokoju razem z nimi, ale trzymali się na uboczu, głównie w części kuchennej. Okazywali szczerą troskę, co wydawało się Michaelowi niezwykle, bo przecież on i jego ojciec byli dla nich obcymi ludźmi. Gospodarze nie mieli w domu katolickich obrazków, więc nie byli tego samego wyznania co jego rodzina; ale Michael wiedział, że są chrześcijanami, bo postępowali po chrześcijańsku... w odróżnieniu od pewnych ludzi, którzy mówili, że wierzą w Jezusa.

Następnej nocy ojciec ocknął się, ale był osłabiony i nadal trudno się z nim było porozumieć. Michael siedział przy nim i podawał mu łyżką, trochę za małą do tego celu;

co chwila musiał ocierać mu usta postrzępioną chusteczką, którą dostał od pani Baum. Wydawało się, że to tata jest dzieckiem, a Michael ojcem, i to była miła odmiana, dzięki niej czuł się starszy; miał wrażenie, że w jakiś sposób odplaca tacie za wszystkie cudowne rzeczy, które ten dla niego zrobił.

Kiedy Baumowie poszli do swojej sypialni, Michael położył się na podniszczonej sofie naprzeciwko łóżka ojca - tata wciąż gorączkował, ale nie było już z nim tak źle, zdecydowanie nie - i właśnie kładł głowę na poduszce, którą dała mu pani Baum, kiedy zauważył pistolet w kaburze pod marynarką ojca, na krześle, na którym powiesił ją pan Baum.

Tata spał, podobnie jak małżeństwo farmerów. Chłopiec zsunął się z sofy, ostrożnie wyjął pistolet z kabury, wyprostował się i spojrzał na broń. wielką w jego małej dłoni - szorstką i zimną, nie gładką i ciepłą, jak to można było sobie wyobrazić, oglądając Toma Miksa i Samotnego Jeźdźca.

Sullivan nie był pewien, ile dni minęło. Co najmniej trzy, pewnie nie więcej niż pięć. Nieogolony, w płaszczu zarzuconym na białą koszulę bez krawata, siedział na starym plecionym krześle na werandzie starego domu. Czuł się już lepiej, w dłoniach trzymał metalowy kubek parującej kawy. W otaczającym go świecie zieleń wypierała brąz, a śnieg zniknął. Kiedy to wiosna zdążyła ich podejść? Jeszcze przed okamgnieniem trwała zima.

Mimo to nie był zaskoczony. Ich wędrówka, jego i Michaela, trwała całą wieczność - a mimo to nie sposób było oddalić się wystarczająco daleko w czasie i przestrzeni od tego, co spotkało Annę i Petera, znaleźć ukojenie, sprawić, by stało się to czymś innym niż bolesnym, żywym wspomnieniem.

Życie Baumów było tak ciężkie, jednak lepsze od tego, jakie wiedli oni. Bili pozwalał Michaelowi pomagać przy siewie, chłopiec z entuzjazmem i energią kopał dołki, a serdecznie uśmiechnięty farmer szedł za nim i wrzucał do nich nasiona.

Pani Baum, posiwała bogini w wytartej spódnicy w kratę, też obserwowała chłopca, obierając ziemniaki. Zerknęła na wałącą się stodołę, w której widać było kasztanowego forda. Drzwi stodoły wisiały na wpół zdjęte z zawiasów.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytała.

Sullivan wiedział, co miała na myśli.

- Zabawiliśmy tu wystarczająco długo - powiedział. - Nie chcemy sprawić wam kłopotów.

- Na razie nie sprawiliście.

Sullivan podziękował kobiecie za to, że o nic nie pytała: ona i jej mąż przyjęli ich,

obcych ludzi, pod swój dach - mimo dziur po kulach w samochodzie, mimo kuli w nim samym.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz i dołączyło do niego tysiąc zmarszczek. Pani Baum, niemal rozpromieniona, kiwnęła głową w stronę Michaela i powiedziała:

- Pracowity jest.

Sullivan przytaknął, czując, że i jemu zbiera się na uśmiech - podobały mu się wygłupy syna na polu. Spytał kobietę:

- Macie dzieci?

- Nie, za poznośmy się spotkali. - Ale była to farma rodzinna; należała do rodziny jej męża i kiedyś ..było na co popatrzeć". Nie. nie ma dzieci, wzruszyła ramionami. - Nie można mieć wszystkiego.

Ci ludzie nie mają prawie nic, pomyślał Sullivan; a mimo to są wdzięczni za to, co przyniósł im los.

- On świata poza panem nie widzi - powiedziała kobieta pozornie niedbałym tonem.

Sullivan spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie zauważył pan? - dodała z uśmiechem.

Szczerze mówiąc, nie. i w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami; jednak po chwili napotkał spojrzenie Michaela, który podniósł głowę i radośnie mu pomachał, zanim wrócił do kopania.

Sullivan nie rozumiał, skąd wzięła się ta fala uczuć. Wezbrała gdzieś głęboko w nim i przelała się strasznym ciepłem przez pierś do twarzy, wypełniając oczy wilgocią. Nie wytrzymał, przeprosił panią Baum i wrócił do domu.

Nie chciał, żeby ci mili ludzie widzieli go płaczącego, nie chciał też, by jego syn był świadkiem czegoś tak wstydliwego.

Michaela obudził zły sen.

W tym śnie - koszmarze - był w posiadłości Rooneya i klęczeli z ojcem przy trumnie, jak na czuwaniu. Ale kiedy zajrzał do trumny, zobaczył w niej ojca - z grosikami na oczach! A gdy spojrzał w bok, gdzie przed chwilą klęczał tata... ujrzał tylko pana Rooneya. który, jak zwykle uśmiechnięty, objął go ramieniem. Chłopiec rzucił się do ucieczki, a pan Rooney zaczął go gonić i w którymś momencie zmienił się w Connora Rooneya. Michael wpadł do jakiegoś pokoju, ale to była łazienka w ich własnym domu - białe kafelki, czerwona krew, martwy Peter i martwa mama... i wtedy zmusił się, by się obudzić.

Potyając się, podszedł w piżamie do ojca, który siedział przy stole, przeglądając książki i dokumenty w świetle lampy naftowej. Tata był w podkoszulce i spodniach na

szelkach, zabandażowane ramię pokrywała zaschnięta czerwonobrzazowa krew.

Wyglądał, jakby miał z czymś problemy - przypominał chłopcu jego samego ślęczącego nad pracą domową.

Kiedy Michael podszedł, tata podniósł głowę. Chłopiec spodziewał się bury za to, że nie śpi, ale ojciec patrzył na niego ciepło, najwyraźniej ucieszył się na jego widok.

To naprawdę pomogło po tym koszmarze.

- Cześć - powiedział tata.
- Miałem zły sen.
- Chcesz o tym pogadać? Chłopiec potrząsnął głową.
- Ojciec wysunął sąsiednie krzesło.
- Chodź, siadaj... jeśli chcesz.

Michael usiadł. Papiery, które przeglądał ojciec, były pokryte kolumnami liczb.

- Matematyka, co? - spytał chłopiec, krzywiąc się.

Tata uśmiechnął się do niego.

- Taa... nigdy jej nie znośłem.

- Ja też - powiedział Michael i uśmiechnął się szeroko.

Wtedy ojciec spoważniał i zrobił dziwną minę - trochę tak, jakby z jakiegoś powodu czuł się winny.

- Jakie lekcje lubisz... lubiłeś... w szkole?

A to go zastrześli! Michael zastanowił się kilka chwil i odparł:

- Może naukę o Biblii.

Wydawało się, że ta odpowiedź zaskoczyła ojca.

- Czemu? Wzruszył ramionami.
- Jest tam dużo fajnych historii.
- Ojciec pomyślał o tym; wreszcie skinął głową.
- Peter był dobry z matmy - powiedział Michael.
- Wyglądało na to, że także o tym tata dowiedział się dopiero teraz.
- Serio?

Michael skinął głową i spytał:

- Lubiłeś Petera bardziej ode mnie?

Twarz ojca była bez wyrazu, ale coś w jego oczach sprawiło, że Michael pożałował, że zadał to pytanie.

- Nie, Michael - powiedział z uśmiechem i dotknął ramienia chłopca. - Kochałem was obu tak samo.

- Ale dla mnie byłeś inny.

- Tak?

Chłopiec skinął głową.

Ojciec westchnął; wyglądał na zakłopotanego i brakowało mu słów. Wreszcie powiedział:

- No, może to dlatego, że Peter... po prostu był taki słodki. Wiesz? Po prostu słodki. A ty...

Michael patrzył w twarz ojca, gdy ten szukał słów. Wreszcie tata powiedział:

- Byłeś bardziej podobny do mnie. A ja tego nie chciałem.

Chłopiec zamyślił się.

- Nie chciałem być inny - rzekł ojciec po chwili. Ta rozmowa była coraz trudniejsza dla nich obu, więc Michael tylko wzruszył ramionami i powiedział:

- Dobrze, to nic. Dobranoc, tato.

I pod wpływem impulsu zarzucił ojcu ręce na szyję, starając się nie dotknąć jego rannego ramienia. Tata odwzajemnił uścisk, mniej ostrożnie.

Kiedy syn zaczął cicho pochrapywać na kanapie, Sullivan wrócił do przerwanej zajęcia. Coś, co powiedział Rance - a może coś w jego zachowaniu - wskazywało, że w tych liczbach może kryć się odpowiedź.

Dlatego wertował dokumenty, niektóre odkładał na bok, inne przeglądał, przytłoczony tym wszystkim, zupełnie nie w swoim żywiole. W końcu wpadła mu w ręce ciemnożółta teczka.

Coonor Rooney - głosiły wielkie litery na okładce.

Zaskoczony i zaintrygowany, zaczął ją uważnie przeglądać - listy, raporty, listy przewozowe, rachunki, kwity celne i inne dokumenty. Odsunął pozostałe książki i akta na bok i skoncentrował się na zawartości tej teczki.

A kiedy wzeszło słońce, ubrany, gotowy do odjazdu, z czterdziestką piątką pod pachą i nowymi informacjami w głowie, delikatnie potrząsnął Michaeliem. by go obudzić, i powiedział:

- Wstawaj. Bierz swoje rzeczy.

- Chłopiec podniósł się na łokciu i spytał:

- Po co ten pośpiech?

- Wyjeżdżamy.

Michael nie sprzeciwił mu się. choć był wyraźnie rozdarty między niechęcią do opuszczenia swojej nowej „rodziny” a pragnieniem wyruszenia z ojcem w dalszą drogę.

Kiedy wyjechali fordem ze stodoły, Sullivan pomachał do Baumów. a oni do niego. Wychylił się przez okno i powiedział:

- Zostawiliśmy drobny upominek. - Wskazał na stodołę. Potem samochód wytoczył się na polną drogę i ruszył naprzód.

Baumowie od razu poszli do stodoły, a Sullivan uśmiechnął się do syna, który odwzajemnił uśmiech. Małżeństwo farmerów wkrótce się dowie, że gościnność czasem popłaca: ..gang” Sullivanów zostawił im torbę pełną pieniędzy i notkę o treści: *Dziękujemy*.

Jechali autostradą, kiedy powiedział chłopcu, że wracają do Tri - Cities.

Coś się nie zgadzało, wyjaśnił synowi, kiwając głową w stronę tylnego siedzenia, pod którym schowane były książki i akta. Ludzie kłamali, ale liczby nie.

Chłopiec nadal nie rozumiał.

- Wszystko sprowadza się do matematyki - powiedział ojciec.

Choć nie mam na to żadnego bezpośredniego dowodu poza własnymi wspomnieniami, jestem przekonany, że ojciec usłyszał od znajomego pracującego dla Rooneya, że stary szykuje się do „wakacji” w Nowym Meksyku. Między innymi dlatego tak szybko wróciliśmy z Oklahomy do Illinois, choć tata był jeszcze osłabiony.

Drugim powodem było odkrycie, którego dokonał w sejfie zabranym z apartamentu Alexandra Rance 'a.

Słoneczny niedzielny poranek, rześki, ale niezbyt zimny, zastał bijące dzwony i irlandzkich katolików z Tri - Cities ściągających do kościoła Świętego Piotra. Parking na zewnątrz był pełny, ławy wewnątrz też. Bóg robi dziś cholernie dobry interes, pomyślał John Rooney, patrząc na tłum; lepszy niż on ostatnimi czasy. Na głowie ciągle miał tę cholerną sprawę Sullivana.

Rooney - wraz z zaufanymi ochroniarzami, Jimmym i Seanem (odpowiednio po jego prawej i lewej ręce) oraz innymi szacownymi parafianami - klęczał przy ołtarzu, by przyjąć komunię. Otrzymawszy sakrament jako jeden z ostatnich, wstał i wrócił na swoje miejsce; otaczali go wierni klęczący w ławach, pogrążeni w modlitwie. Chór śpiewał łacińskim bełkotem, który działał na niego kojąco - cały ten rytuał podnosił na duchu, jego rozmach i pompatyczność były cudownym teatrem, otoczka zgrabnie łączyła w sobie motywy strachu i przebaczenia, a sama msza stanowiła monotonne odtworzenie tradycji i porządku w okrutnym, chaotycznym świecie.

Johna Rooneya nie obchodził pusty krzyż protestantów, którzy upierali się, że ich Chrystus zmartwychwstał i że krzyż powinien być symbolem odkupienia. On sam przyjął za swój krzyż katolików, z Jezusem na oczach wszystkich, cierpiącym, zakrwawionym, żyjącym w piekle na ziemi, jakie Jego Ojciec zgotował ludziom.

Rooney wsunął się na swoją ławę i z pomocą Jimmy'ego i Seana opadł na wyściełany klęcznik. Chwilę później odezwał się jakiś mężczyzna w następnym rzędzie, nie szeptem, ale na tyle głośno, by nie usłyszał go nikt prócz Rooneya (i być może jego chłopców):

- Witaj, John.

Rooney nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że w ławie tuż za jego plecami klęczy Mikę Sullivan.

Sullivan skinął głową ochroniarzom Rooneya.

- Sean, Jimmy. Dzień dobry.

- Rooney prawie się uśmiechnął.
- Cwaniak z ciebie, Michael.
- Neutralny teren - świątynia.
- Czego chcesz? - spytał.
- Pogadać... na dole.

Rooney wyczuł, że człowiek za jego plecami wstaje, więc podniósł się - odtrącając wyciągnięte ku niemu ręce matołowatych ochroniarzy - po czym głową dał znak Seanowi, by go przepuścił, i wyszedł z ławy. Ubrany w brązowy, nieco sfatygowany garnitur Sullivan zaczął, aż Rooney zrówna się z nim, i razem ruszyli do wyjścia; dwaj ochroniarze poszli za nimi. Zewsząd otaczały ich pochylone głowy, łacińskie wezwania i odpowiedzi niosły się echem po przestronnym kościele, a słońce przesączało się kolorowym blaskiem przez witraże.

Przy frontowych drzwiach po lewej stronie były schody prowadzące do piwnicy. Cała grupka wśród stukotu obcasów o beton skierowała się korytarzem do dużego pomieszczenia, które mogło służyć za miejsce rozmaitych spotkań, a nawet bankietów; Michael Sullivan junior, był na przyjęciu urodzinowym w tym właśnie pokoju, tej samej nocy, kiedy brat zginął zamiast niego.

Rooney skinął głową Seanowi i Jimmy'emu na znak, by poczekał na zewnątrz, i wszedł ze swoim byłym głównym cynglem w małe drzwi. Sullivan włączył światła. W żółtawym blasku kilku nagich wiszących żarówek ukazało się niewykończone betonowe pomieszczenie bez okien przypominające kryptę, wypełnione religijnymi akcesoriami, z których część była tu przechowywana, a resztę po prostu wyrzucono.

Stary człowiek i jego młodszy ekswspólnik stali twarzą w twarz: nie było tu krzeseł, choć mogli skorzystać z którejś z ław stojących między kłęcznikami. gipsowymi figurami różnych świętych i zakrwawionym Jezusem na krzyżu, opartym o ścianę biernym widzem, który miał za dużo spraw na głowie, by przejmować się nimi dwoma.

Rooneyowi mignęła przed oczami piwnica jego domu i ostatnia zabawa z dwoma chrześniakami, kiedy rzucał kośćmi w betonową ścianę i przegrał z Peterem. Nadal z nim przegrywał, po tylu tygodniach.

Dochodzące z góry stłumione odgłosy mszy czyniły łacinę jeszcze bardziej niezrozumiałą, tworząc dziwny, jakby pochodzący nie z tego świata akompaniament do ich rozmowy.

Rooney wypiął pierś; widok Mike'a Sullivana - jego drugiego syna. tego lepszego - nappełnił mu serce sprzecznymi uczuciami: miłością i nienawiścią, dumą i wstydem.

- Nie sądziłem, że jeszcze cię kiedyś zobaczę - powiedział Rooney z irlandzkim

akcentem. Drgnął, kiedy Sullivan wyciągnął coś w jego stronę: była to teczka wypchana jakimiś papierami.

- Przeczytaj to - powiedział Sullivan.

Rooney nawet nie sięgnął po akta. Sullivan rzucił mu teczkę pod nogi.

- Tu jest wszystko... Connor pracował dla Chicago.

Wydawało się, że ile razy Rooney odrzucał coś jako uwłaczające jego godności - narkotyki, handel żywym towarem, związkowe kanty - Connor od razu brał się za to, z błogosławieństwem Capone'a. W górze nadal rozbrzmiewała monotonna łacina.

- Connor okradał cię od lat - powiedział Sullivan. - Otwierał konta na nazwiska nieżyjących ludzi takich, jak McGovernowie.

Rooney pokręcił głową - to do niego nie docierało.

- Byłem tam - powiedział Sullivan przez zaciśnięte zęby - i pomogłem mu zabić Fina, żeby mógł nabić sobie kabzę. Myślałem, że pracowałem dla ciebie. John... ale tak nie było.

Starzec milczał przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Myślisz więc, że wydałbym własnego syna?

- *Zdradza* cię...

Ich spojrzenia skrzyżowały się - oczy starego człowieka były jak niebieski lód.

- Wiem.

To jedno słowo było dla Sullivana jak cios obuchem.

John Rooney uśmiechał się gorzko, kręcąc głową, jakby sam się z sobą nie zgadzał. Oczywiście, że wiedział - wiedział, co zrobił i kim był Connor.

Michael Sullivan nie spodziewał się takiej reakcji. Czuł się, jakby dostał pięścią w żołądek. To była ostatnia próba, ostatnia szansa na to, żeby trafić do jedyne go człowieka, który mógł zakończyć ten koszmar.

Twarz starca była pomarszczoną maską, jego niebieskie oczy zimne, a mimo to płonące.

- A teraz słuchaj! Próbowałem uniknąć dalszego rozlewu krwi - nie chciałem na to pójść, więc zrobiłem, co było konieczne.

Sullivan kiedyś kochał tego starca jak ojca.

Jakby czytając mu w myślach, Rooney powiedział:

- Zawsze kochałem cię jak syna... mówię ci, odejdz! Zanim będzie za późno.

Nad ich głowami rozległo się chóralne:

- Aa - men!

Czyż stary nie wyraził się jasno? Sullivan mógł wyjechać z miasta, z kraju, wraz z

jedynym synem, który mu został, i żyć długo i szczęśliwie. Otworzyć sklep, kupić farmę albo siedzieć na tyłku i wydawać pieniądze Capone'a do czasu, aż stanie przed obliczem archanioła Gabriela.

Albo?

- Jeśli tu zostaniesz - powiedział stary człowiek, patrząc na niego z poważną miną - wiesz, jak to się skończy.

Sullivan czuł się, jakby mówił do ściany, której jedyną reakcją na wszelkie jego słowa było runięcie na niego; musiał jednak spróbować raz jeszcze - kiedyś ten człowiek był mu bliski, bardzo bliski, ich szczerze rozmowy nieraz ciągnęły się do późnej nocy.

- Pomyśl, John... teraz go chronią, ale kiedy ciebie zabraknie, nie będzie im potrzebny.
- Wymierzył palec w Rooneya. - Tak czy inaczej koniec będzie ten sam. Connor zginie!

Rooney uśmiechnął się.

- Może i tak, ale prosisz mnie o to, żebym dał ci klucze do jego pokoju, abyś mógł wejść, przystawić mu pistolet do głowy i nacisnąć spust. Nie mogę tego zrobić.

Cicho, tak jakby się modlił. Sullivan powiedział:

- Zabił Annie... i Petera.

Na wspomnienie martwego chrześniaka i jego matki Rooney jakby się zawahał.

Nie zamierzał jednak tak łatwo ustąpić. Ilu ludzi zabił Sullivan? Co, myślał, że nie mieli żon? Dzieci? Matek, ojców? Czy Danny McGovern nie miał brata? Kim byli zabici przez Sullivana i Rooneya - figurami woskowymi? Widmami? Czy też ludźmi, którzy żyli i oddychali do czasu, kiedy zostało im to na zawsze odebrane?

Nozdrza Rooneya rozszerzyły się; błysnęły jego sztuczne zęby.

- W tym pokoju są sami mordercy... otwórz oczy, Mikę! Takie jest nasze życie. Sami je wybraliśmy. Tylko jedno jest pewne: żaden z nas nie trafi do nieba.

Ciszę wypełniły przytłumione dźwięki łacińskiej modlitwy. Wreszcie Sullivan powiedział:

- Może Michaelowi się uda. - Pewnego dnia, po wielu latach, być może Michael dołączy do swojego brata Petera i matki w niebie.

Rooney mrugnął do niego.

- No to zrób, co możesz, żeby tak się stało. Zabierz to, Mikę.

Odejdź... błagam cię. To jedyne wyjście.

Po raz pierwszy Sullivan zastanowił się, czy nie wziąć słów Rooneya za dobrą monetę.

Rooney wyczuł to i próbował wykorzystać: Mikę mógł odejść z jego

błogosławieństwem i zabrać pieniądze, które ukradł. Owszem, Rooney wiedział, że było tego sporo, ale dużo mu jeszcze zostało - szybko się odkuje.

- A jeśli tego nie zrobię?

Ich spojrzenia znów się skrzyżowały.

- Wtedy będę opłakiwał syna, którego straciłem - powiedział Rooney i odwrócił się do wyjścia.

Sullivan zastanawiał się, czy znów mu kadzi, bo ma w tym własny cel, czy też te słowa płyną z jego serca. Nagle doznał olśnienia: odpowiedź na to pytanie nie miała znaczenia! Kiedy nadeszła pora, by wybrać między lojalnością a krwią, sentymentem a krwią, a nawet pieniędzmi a krwią, Rooney wybrał krew.

Sullivan wyszedł z pokoju i wycofał się na korytarz z czterdziestką piątką w dłoni, nie spuszczać Seana i Jimmy'ego z oka. Ta myśl nie dawała mu spokoju: Rooney wybrał krew.

A kiedy wysliznął się z dającego schronienie kościoła - teraz msza była głośna, nie przytłumiona, choć nadal przesycona właściwą sobie łacińską tajemniczością - Sullivan wiedział już, co trzeba zrobić.

Ojciec jest pochowany obok mojej matki i brata, a ja pewnego dnia dołączę do nich na tym samym cmentarzu. Connor Rooney też tam leży!'. Kiedy usłyszałem o tym pierwszy raz, pomyślałem, że to okropne - nawet ziemia powinna być bardziej wybredna.

W końcu uznałem, że to słuszne. Życie i śmierć połączyły nas ze sobą, a mój ojciec, matka i brat już zawsze będą związani z Rooneyami, tak jak ja.

Hotel Paradise stał w centrum Prophetstown, niedaleko Tri - Cities, przy drodze do Chicago. Niepozorny, zaniedbany dwupiętrowy drewniany budynek w niczym nie przypominał rajy, ale zapewniał warunki, jakimi w tych ciężkich czasach musieli zadowolić się komiwojażerowie, którym nie wiodło się najlepiej.

Michael udawał, że śpi w ubraniu na jednym z podwójnych łóżek w pokoju o wyłożonych boazerią żółtawych ścianach, które pokryte były warstwą brudu i plamami powstałymi przez dziesięciolecia, jakie upłynęły od czasów świetności hotelu. Naga żarówka wkręcona w ścianę była jedynym źródłem światła; Sullivan zgasił ją i usiadł na łóżku obok syna. Deszcz ściekał po szybach, a odbity w nim blask malował wzory na ciele chłopca. Zagrzmiało, gdzieś daleko, ale mimo to groźnie.

Sullivan miał na sobie ten sam garnitur, w którym był w kościele. Nie zawiązał krawata. To był koniec drogi, wiedział o tym - wiedział też, co musi zrobić, znał jedyny sposób na to, by skłonić Capone'a i Nittiego do wydania mu Connora.

Ponieważ musiał zadzwonić do paru osób i jeszcze to i owo przygotować, wynajął także sąsiedni pokój i dogadał się z recepcjonistą w sprawie rozmów zamiejscowych.

Teraz siedział przy stole, miejscu pracy, przy którym handlowcy i biznesmeni mogli przeglądać swoje kwity i dokumenty, i korzystał z telefonu. Obskurne, skąpo umeblowane dwa pokoje nie składały się na apartament godny, powiedzmy, Alexandra Rance'a. Ale Mike'owi Sullivanowi w pełni wystarczał do jego celów.

Zerkając w stronę pokoju ojca, Michael zauważył smugę światła wzdłuż krawędzi drzwi. Wstał, podszedł do nich, uchylił szerzej i zajrzał do środka.

Ojciec siedział przy stole, czarny futerał leżał przed nim, zamknięty. Niczym wirtuoz Sullivan otworzył zatrzaski i podniósł wieko, ukazując bezpiecznie schowane części jego instrumentu - thompsona, który towarzyszył im w podróży, ale jak dotąd ani razu nie został użyty.

Michael nie mógł wyjść z podziwu nad jego szybkością i precyzją: część po części

ojciec błyskawicznie złożył pistolet, wprawnie łącząc elementy przy wtórze mechanicznych trzasków i brzęków, z których każdy przyprawiał chłopca o dreszcz. Nieraz widział ojca w takim stanie podczas podróży - skupionego, metodycznego, dokładnego - ale tego wieczora było inaczej. Tata przygotowywał nie tylko broń, ale i siebie - jakby spajał w jedną całość części siebie samego.

Zbierał siły.

Wreszcie bęben z amunicją wsunął się z trzaskiem na swoje miejsce i chłopiec wszedł do środka.

Stał na progu w wymiętym ubraniu i patrzył na ojca z niemym wyrzutem.

- Co zamierzasz?

- Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia, już ostatnią - powiedział Sullivan. zaskoczony widokiem rozbudzonego syna.

Chłopiec spytał go, kogo chce zabić. Sullivan, bez złości, a nawet łagodnie, rzekł:

- Wracaj do łóżka. Michael.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Chłopiec powłókł się do łóżka, a mężczyzna jeszcze raz przyjrzał się pistoletowi maszynowemu i wziął do ręki automatyczny kolt kaliber 45, który przydałoby się wyczyścić.

Potem, nie wstając od stołu, na kartce z nagłówkiem hotelu Paradise zrobił listę banków i skrytek; napisał na kopercie *Michael* i włożył do niej list. Do tego dołożył gruby plik banknotów, który powinien starczyć chłopcu na wiele tygodni, a może nawet miesięcy, polizał skrzydełko koperty i zakleił ją.

Wrócił do pokoju, w którym spał jego syn, i położył kopertę na porysowanym stoliku, na którym obok małego rewolweru chłopca leżała otwarta książka o przygodach Samotnego Jeźdźca. Znowu stanął przy Michaelu i długo na niego patrzył - w skupieniu, zapamiętując każdy szczegół, jakby miał nadzieję rozpoznać go w następnym wcieleniu.

Gładząc syna po głowie, myślał o tym, jak bardzo go kocha, i miał nadzieję, że on o tym wie. Wreszcie wstał i wrócił do sąsiedniego pokoju.

Michael, który został sam, spojrział podejrzliwie na list na stoliku. Słowo „żegnaj” zdawało się unosić z koperty niczym para.

Tego deszczowego wieczoru w małej restauracji w centrum Rock Island, niedaleko swojego biura w redakcji na Second Avenue, John Rooney odbył kilkugodzinne spotkanie z najważniejszymi współpracownikami. Od śmierci Joe'a Kelly'ego Rooney osobiście zajmował się wszelkimi kwestiami prawnymi.

Jednak nawet szefa wyganiano w porze zamknięcia i kiedy personel restauracji wziął

się za ustawianie krzeseł na stołach i zgasły światła, stary człowiek włożył płaszcz, po czym to samo zrobiło sześciu jego młodych ochroniarzy (siódmy, Jimmy. został w pierce - arrowie). Sean wziął oparty o ścianę parasol i wszyscy przygotowali się do wyjścia na burzę. Za oknami restauracji noc była równie ciemna jak mokra, po szybach spływały połyskujące strużki, czarna i lśniąca ulica wyglądała jak świeżo malowana.

Kiedy Rooney wyszedł na chodnik, rozległ się grzmot i krople zabębniły w parasol trzymany przez Seana. Ochroniarze nie mieli własnych parasoli - deszcz siekł ich, atakował, kiedy otaczali swojego szefa, przeszukując oczami ciemność, ulewę, wypatrując czegoś podejrzanego, ruchomego kształtu, jakiegokolwiek oznaki życia na ulicach, z których pogoda już dawno przepłoszyła wszystkich rozsądnych ludzi.

Nieco dalej stały dwa samochody - pierce - arrow Rooneya i sedan velie dla ochroniarzy, którzy nie zmieścili się w pierwszym wozie. Stary człowiek szedł szybko, żeby nie zmoknąć, jego buty i sztylpy poddane były ciężkiej próbie, kiedy brnął przez kałuże. Zatrzymał się przy wozie - czyżby coś usłyszał? Coś innego niż niemilknące dudnienie kropel deszczu?

Rozejrzał się, Sean zrobił to samo, reszta też. Nic. Tylko owale światła latarni, kałuże tworzące dziwne wzory na chodniku i ukośne strugi deszczu, niczym wodna zasadzka.

Rooney czekał, aż Jimmy otworzy mu drzwi. Widział szofera siedzącego za kierownicą, tyle że niewyraźnie; przez mokrą szybę wewnątrz wyglądało jak za mgłą. Zirytowany, poczłapał do kierowcy, ochrona za nim, Sean z parasolem nad jego głową, i zaczął szarpać klamkę, mówiąc:

- Hej, Jimmy! Jimmy! Otwórz, chłopcze! Otwórz...

Szarpanie klamki wystarczyło, by wywołać reakcję Jimmy'ego - osunął się na kierownicę, z twarzą zwróconą w stronę okna. Nawet przez mokrą szybę widać było ciemnoczerwony otwór w czole i otwarte, puste oczy.

- Chryste - jęknął Rooney, odsuwając się od tego straszego, upiornego widoku.

Otoczający go ochroniarze wyciągnęli broń i rozstawili się na pustej ulicy, omiatając oczami chłostaną deszczem ciemność.

Rooney nie nosił broni - od tego byli jego ludzie. Mała armia, która otaczała go ze wszystkich stron. Sullivan wiedział, z czym będzie miał do czynienia, więc zabił Jimmy'ego dla przestrogi i prysnął w noc. Stary człowiek już prawie w to uwierzył, kiedy nocą wstrząsnął grzmot.

Nie taki od Boga; grzmot pistoletu maszynowego Thompson.

Grad ołowiu skosił otaczających Rooneya ochroniarzy, jednego po drugim - kilku

nawet udało się oddać strzały - pistolet maszynowy zionął pomarańczowym ogniem, przewracając jego żołnierzy, usuwając im ziemię spod nóg, podrzucając, porywając do tańca, potrzęsając nimi jak niegrzecznymi dziećmi, wzbijając krwawą mgiełkę w mroku. Jeden po drugim ci uzbrojeni ludzie z jękiem padali na mokry chodnik, krew ściekała do kałuży, malując ulicę połyskującym różem.

Rooney nie mógł na to patrzeć. Nieuzbrojony, nie mógł nic zrobić. Osaczony, nie mógł uciec. Dlatego stał w bezruchu, wpatrywał się w chodnik i wsłuchiwał w diabelski ryk wystrzałów dotąd, aż hałas ucichł, by ponieść się echem po pustych ulicach Rock Island.

Wokół Rooneya leżały jego wierne chłopaki, jeden na brzuchu, drugi na plecach, ten w rynsztoku, tamten skulony w kłębek, inny z mózgiem wylewającym się z roztrzaskanej czaszki jak galareta... i Sean na boku, z parasolem przy wyciągniętej ręce, jakby po niego sięgał, i pistoletem w bezwładnej dłoni, której nie zdążył podnieść. Deszcz walił w kałuże krwi, rozcieńczając, a potem zmywając je; niebo przecięła błyskawica, rozległ się huk gromu i przez chwilę w jasnym blasku pioruna widać było Sullivana stojącego w głębi ulicy, z thompsonem w rękach.

Nie wykonując najmniejszego ruchu, rozplynął się w ciemnościach.

Rooney czekał. Po co uciekać? Mikę zrozumiał, prawda? Tylko śmierć Johna Rooneya mogła skłonić Capone'a do wydania Connora.

Stary człowiek słyszał kroki na mokrym chodniku, blisko, coraz bliżej, i nagle za jego plecami wyrósł Mike Sullivan, z pistoletem maszynowym w prawej dłoni; byli prawie tak blisko, że mogli wyciągnąć do siebie ręce... ale nie aż tak blisko.

Rooney odwrócił się i zadrżał. Czyż nie był dla Mike'a Sullivana takim samym ojcem jak dla własnego syna?

Ale Sullivan wiedział, na czym polega różnica: w ich żyłach nie płynęła ta sama krew.

Stary człowiek zrozumiał, że Sullivan potrzebuje krwi Rooneya, by wyrównać rachunki. Ci, którzy wybierali tę drogę, od samego początku wiedzieli... czyż nie? Pewnego dnia. pewnej nocy, wszystkich ich może spotkać ten sam koniec.

Sullivan podniósł czterdziestkę piątkę. Oczy miał mokre od łez.

W głosie Rooneya brzmiała szczerść, kiedy powiedział:

- Cieszę się, że to ty.

Sullivan i tak strzelił, wbijając kulę za kulą w jego pierś.

Rooney zatoczył się na pierce - arrowa i osunął po karoserii. Przez chwilę siedział na ulicy, wreszcie przewrócił się na bok. Strużka krwi z jego piersi popłynęła w stronę rynsztoka.

Sullivan stał nieruchomo przez kilka długich chwil, wpatrując się w ciało człowieka, którego kiedyś kochał. Wcześniej oplakiwał swoją nieżyjącą żonę i syna, Michaela też. Może i teraz płakał, ale krople deszczu ściekające mu po twarzy ukrywały to nawet przed nim samym.

W budynkach ze wszystkich stron zapaliły się światła, żółte kwadraty w mokrej, ciemnej nocy. i pojawiły się w nich niewyraźne, zamazane twarze gapiów obserwujących w milczeniu rzeź ze swoich ciepłych mieszkań.

Na ulicy stał tylko jeden człowiek - reszta była porozrzucana w pozach ofiar, które zginęły gwałtowną śmiercią. Z tej wysokości muszę wydawać im się taki mały, myślał Sullivan. Samotny człowiek na zalanej deszczem ulicy.

Podniósł na nich oczy, przesuwał wzrok z jednej zamazanej twarzy na następną, tłumacząc się... nie, ostrzegając, dokąd może ich doprowadzić życie.

A potem Mikę Sullivan wszedł z powrotem w deszczową ciemność, która wchłonęła go, pozostawiając pustą ulicę.

Choć jego biuro mieściło się w hotelu Lexington, Frank Nitti - w odróżnieniu od Capone'a - nie mieszkał w tym samym budynku; przyszedł ze swojego domu niedaleko West Side, żeby być pod telefonem, kiedy oddzwoni Sullivan.

Gdyby Rooney nie żył, Al nie musiałby zawracać sobie głowy Connorem... A gdyby zginęli obaj Rooneyowie, drzwi Tri - Cities stanęłyby otworem przed gangiem Capone'a. Szkoda, że Sullivan już nie chciał dla nich pracować - był najlepszym fachowcem, z jakim Nitti się zetknął.

W tej chwili siedział za biurkiem oświetlonym tylko małą lampką. Był bez marynarki i krawata, w spodniach na szelkach i odbierał drugi tego wieczoru telefon od niezwykłego pana Sullivana.

- John Rooney nie żyje - powiedział Sullivan rzeczowo jak pielęgniarka zapraszająca pacjenta do gabinetu lekarza; brzęki i odgłosy rozmów w tle świadczyły, że dzwoni z restauracji albo baru.

Sullivan nie spodziewał się odwetu; zlikwidował siedmiu najlepszych ludzi Rooney'a - najlepszych po nim samym, oczywiście.

- Czego chcesz? - spytał Nitti.
- Connora Rooney'a.
- Rozumiem. Ale musimy mieć twoje zapewnienie, że potem koniec.

- Obaj możecie być spokojni... Mój syn i ja znikniemy.

- Hotel Lexington. Pokój 1432 - rzucił Nitti i odłożył słuchawkę.
- Główny kierownik finansowy gangu z Chicago - pajak w centrum pajęczyny - zastanowił się, czy wrócić do domu; w końcu to niedzielny wieczór. Ale było późno i jego żona Anna pewnie już spała. Może powinien zostać do czasu, aż Sullivan zjawi się w hotelu i cała ta paskudna sprawa się skończy...

Po namyśle Nitti uznał, że tak będzie najrozsądniej. Wziął akta ze stosu piętrzącego się na biurku i wziął się do pracy.

W Chicago też padało, ale po drodze z Rock Island ulewa zmieniła się w mżawkę i stała się tylko wspomnieniem. Ulice Pętli nabrały gładkiego czarnego połysku, w którym odbijało się światło latarni i neonów uśpionych sklepów, sprawiające, że chodnik tu i ówdzie zdawał się płonąć.

Sullivan zaparkował wóz na Dwudziestej Pierwszej, zadowolony, że jest sam, że nie wciągnął w to chłopca. Thompsona zostawił na tylnym siedzeniu; przy sobie miał tylko czterdziestkę piątkę w kaburze pod pachą i trzydziestkę ósemkę w kieszeni płaszcza. Wiatr wzbijał kawałki papieru, które zdawały się ścigać przez South Michigan Avenue w stronę hotelu Lexington. Sullivan nie spieszył się. Miał czas.

Długo czekał na tę noc.

Nad ranem nie pracował żaden z odźwiernych. Hol był prawie pusty: recepcjonista dyżurował na swoim stanowisku i wyglądało na to, że jedynym strażnikiem jest stojący przy windach chudy, nerwowy, modnie ubrany Marco, uzbrojony operator windy.

Sullivan skinął mu głową.

Marco odpowiedział na ukłon i wcisnął guzik ze strzałką do góry. Okratowane drzwi otworzyły się, Marco odsunął się na bok i Sullivan wszedł do środka. Winda się zamknęła, zostawiając obojętnego strażnika na zewnątrz.

Na trzynastym piętrze Sullivan wyszedł z windy i skierował się korytarzem w lewo, zgodnie z instrukcjami Nittiego. Jego dłoń tkwiła w kieszeni płaszcza, ściskając trzydziestkę ósemkę. Szedł pustym korytarzem, patrząc po drzwiach, gotów do natychmiastowej reakcji - ufał Nittiemu, ale nie aż tak.

Drzwi pokoju 1432 były uchylone. Potężnie zbudowany strażnik, którego pamiętał z poprzedniej wizyty - Harry - stał na korytarzu i czekał na niego.

Mężczyźni skinęli sobie głowami, Harry odsunął się, a Sullivan wszedł do luksusowego, dobrze wyposażonego apartamentu.

Spojrzał pytająco na Harry „ego, a ten kiwnął głową w stronę drzwi łazienki.

Anioł Śmierci poszedł we wskazanym kierunku.

Odetchnął głęboko i pchnął drzwi. Wyłożona białymi kafelkami łazienka była większa od niektórych mieszkań; lustra pokrywała mgiełka, powietrze było gęste od pary.

Sullivan stał i patrzył na bladą postać - mizernie wyglądającego nagiego mężczyznę; aż trudno było uwierzyć, że tak żalosna istota narobiła tak wielkiego bałaganu.

Wtedy Connor coś wyczuł i zbladł jeszcze bardziej; miał rozchylone usta, jakby zamarł w połowie oddechu.

Sullivan wiedział, że nie powinien się spieszyć z zabiciem tego sukinsyna... ale nie mógł znieść jego towarzystwa.

Connor zmrużył oczy, kiedy dostał kulkę w pierś, a potem w brzuch.

Piekiło stanie się niebem, jeśli będę mógł zmuszać cię przez całą wieczność, żebyś płacił za to, co im zrobiłeś, pomyślał Sullivan.

I strzelił Connorowi w głowę - tak jak jego ojcu.

Trup wpadł do mydlanej wody, na której unosiła się krwawa piana; białe kafelki wokół wanny były zbryzgane krwią.

Sullivan wyszedł i ruszył w głąb korytarza. Nie tracąc czujności, schował pistolet z powrotem do kieszeni.

Nitti dotrzymał słowa: Sullivan wyszedł przez hol Lexingtona tak jak wszedł, bez żadnych kłopotów. Po kilku minutach siedział już w kasztanowym fordzie i jechał do syna.

Kiedy usłyszał kroki na korytarzu, siedział na skraju łóżka z zaciśniętymi powiekami, modląc się za ojca - w tej chwili tylko o to, żeby wrócił. Reszta była nieważna.

Otworzył oczy i zdziwił się na widok światła wpadającego przez okno - już świtało. Kroki zbliżały się, potem w zamku zachrobotał klucz... i drzwi się otworzyły.

Tata.

Michael padł mu w ramiona. Gdyby ich uścisk był choć trochę mocniejszy, zrobiliby sobie krzywdę.

Chłopak zamknął oczy, by osuszyć je z łez - i ochronić przed blaskiem jutrzeńki. Patrząc na słońce wlewające się przez okno, trudno było uwierzyć, że ostatniej nocy tak mocno padało.

Michael spał bardzo krótko. Nie włożył piżamy. Próbował czytać książkę o Samotnym Jeźdźcu, ale po tym wszystkim wydawała mu się... głupia. Od czasu do czasu klękał przy łóżku i modlił się za tatę.

Nigdy nie doszedł do ładu ze swoimi uczuciami wobec ojca chrzestnego. Pan Rooney był kiedyś dla niego i Petera jak dziadek, ale w ciągu ostatnich tygodni stał się dla chłopca kimś w rodzaju potwora... mimo to miłe wspomnienia pozostały mu w pamięci.

Moje wspomnienia z podróży do Perdicion mogą być nie do końca wiarygodne. Wszystko, co pamiętam z poprzedniego okresu, to zima - oglądana głównie w czerni i bieli, jak stary film albo sny niektórych ludzi.

Ale podróż do Perdicion widziana oczami mojej duszy mieni się pełną garną kolorów, zdominowanych przez czysty błękit nieba i zieleń świata, na którym jeszcze wczoraj trwała ponura zima, a dziś już nastąpiła cudowna wiosna.

Wspomnienia te na pewno są ubarwione przez uczucia i upływ czasu - ostatni dzień zimy nie jest czymś martwym, a pierwszy dzień wiosny nie jest eksplozją życia.

A jednak tak to pamiętam.

W końcu zostałem tylko ja. Teraz, w zimie mojego życia, wspominam ten wiosenny dzień, kiedy pojechaliśmy do Perdicion.

Pierwszego dnia podróży rozmawiali niewiele, ale wydawało się, że łączy ich nowe ciepło. Uśmiechnięty jak dziecko, którym nadal był, Michael cieszył się wiosennym dniem, upajał słońcem, wychylał głowę przez okno. pozwalając, by wiatr owiewał go i wył mu w uszach. To, że jego syn zachował pewną niewinność po tym wszystkim, było niemal cudem, a fakt, iż mały rewolwer, który chłopak od niego dostał, ani razu nie został użyty, dawał Sullivanowi siłę i nadzieję.

Nocowali w motelu w Missouri, świadomi, że następnego popołudnia, najpóźniej wieczorem, będą nad jeziorem. Teraz, gdy jechali brukowanymi drogami, a słońce odbijało się od zielonych liści jasnym blaskiem, zaczęli rozmawiać. Po raz pierwszy połączyło ich coś więcej niż więzy krwi - lubili się. Byli towarzyszami, którzy dzielili trudności i razem znieśli przeciwności losu. którzy pomogli sobie nawzajem przetrwać ciężki, a nawet tragiczny okres.

Lecz w ich rozmowie nie było nic poważnego, zaledwie kilka razy wspomnieli mimochodem o Annie i Peterze. Michael spytał ojca, jak to było dorastać w Irlandii, a Sullivan z chęcią mu o tym opowiedział. Chłopiec instynktownie wyczuwał, że nie może poruszać tematu jego doświadczeń wojennych. Obaj dość się nawojowali w ostatnich dniach.

Potem Sullivan, którego często dręczyło sumienie, że właściwie tak mało wie o synu, pytał go, co lubi, a czego nie. Wysłuchał całej opowieści o Samotnym Jeźdźcu - ostatnim członku kompanii teksańskich rangerów, którzy zostali „zdradzeni i złapani w pułapkę przez gang Cavendisha”. Poznał Toma Miksa, Myszkę Miki i bohaterów komiksów z gazet.

Wiedział, że Michael interesuje się baseballlem, ale nigdy nie widział go w akcji, bo w Villa nie organizowano meczów; jak się okazało, zeszłego lata chłopak towarzysko grywał z kolegami. Boisko, jak twierdził Michael, było w Longview Park.

To nieco popsuło atmosferę - Longview Park był na Dwudziestej, naprzeciwko

posiadłości Rooneya.

Później Michael spytał ojca o muzykę. Poruszył ten temat delikatnie i Sullivan w końcu się domyślił, dlaczego: chłopiec wiedział, że ojciec umie grać na pianinie, bo widział go grającego na cztery ręce z Rooneyem na stypie po śmierci McGoverna.

Michael był ciekaw, czy ojciec brał lekcje. Sullivan odpowiedział, że nie, że sam się nauczył. Gra ze słuchu, tak się to nazywało. Człowiek uderza w klawisze, wsłuchuje się i zapamiętuje dźwięki. Jego matka miała pianino, dodał Sullivan.

Michael nigdy nie poznał babci. Umarła po drugiej stronie oceanu. Atlantyku.

Nagła świadomość, że obaj wiedli życie obfitujące w incydenty i zainteresowania, jeszcze bardziej zacieśniła łączącą ich więź. Sullivan cieszył się na myśl, że wkrótce pozna syna jeszcze lepiej, a sądząc po pytaniach chłopca. Michael czuł to samo.

Późnym popołudniem drugiego dnia byli na wiejskiej zwirowanej drodze, otoczeni zaskakująco gęstym listowiem. Sullivan zatrzymał się na poboczu, przy ścieżce prowadzącej przez wysoką trawę w bujne zarośla.

- Dalej musimy iść pieszo - powiedział, wysiadając.

Wkrótce schodzili już z boczem wzgórza - ojciec bez płaszcza, syn bez kurtki, bo pogoda była w sam raz na spacer - by w końcu wyłonić się z lasu, za którym czekał na nich piękny, choć dziwnie wyludniony pejzaż.

Zmierzch rozpraszał cienie, łagodząc surowy widok, i powlekał plażę nad jeziorem chłodnym błękitem; lekki powiew nadciągał od strony wody. Nie było tu żadnego samochodu oprócz zdezelowanego wozu ciotki Sary.

Patrząc w stronę domu na plaży, Michael spytał:

- To tu?
- Tak - powiedział ojciec.
- Hej - rzekł Michael z uśmiechem - wiedziałem, że tu jest pies.
- Zza domu wypadł duży golden retriever, merdający ogonem na powitanie ludzi. Chłopiec ruszył mu na spotkanie i po chwili zaczęli się bawić, biegnąc w stronę plaży.

Sullivan nie dołączył do nich. Stał tylko i patrzył na syna zachowującego się jak mały chłopiec, którym był.

Wybacz, Annie, pomyślał, że prowadziłem go niebezpieczną drogą.

Ruszył w stronę domu, zostawiając syna na plaży z psem. Wdrapał się na ganek i wszedł w otwarte drzwi, kierując się w stronę światła na końcu korytarza, gdzie była kuchnia.

- Saro! - zawołał. - To ja, Mike.

Nikt nie odpowiedział.

Kuchnia była pusta. Rozejrzał się - naczynia na swoim miejscu, pomieszczenie czyste i schludne. Przez duże okno z widokiem na jezioro zobaczył Michaela na plaży, pochylającego się, by pogłaskać psa.

Harlen Maguire powoli wstał z krzesła w kącie. Szybko oddał dwa strzały, oba celne. Sullivan zachwiał się i upadł, patrząc szeroko otwartymi z zaskoczenia oczami na zabójcę.

Zimne oczy Harlena wyglądały z twarzy, której chłopięcą urodę zastąpiła makabryczna siatka blizn, pamiątka po roztrzaskanej kryształowej lampie w apartamencie Rance'a. Maguire odłożył pistolet, wziął aparat, zamontował go na statywie i ustawił na właściwym miejscu.

- Uśmiechnij się - powiedział, robiąc zdjęcie.

Sullivan wytężył siły, ale był coraz słabszy... Czy mógł choć ruszyć ręką?

Harlen Maguire - który mniej więcej przed godziną schował ciało Sary McGinnis do szafy - przysunął się bliżej z aparatem i zaczął ustawiać ostrość. Słono zapłacił za to zdjęcie - jego twarz nigdy nie będzie taka jak dawniej, nawet po operacji plastycznej - ale zdobędzie portret wieńczący jego galerię śmierci.

Mikę Sullivan, z którego uciekało życie, będzie doskonałym obiektem, bohaterem specjalnego studium śmierci; każde kolejne zdjęcie uwieczni następny etap umierania... na jednym widać będzie błysk życia w oczach, na następnym pustkę śmierci.

Wpatrzony w odwrócony do góry nogami obraz skulonego, zakrwawionego mężczyzny fotograf z pietyzmem wykadrował ujęcie. Nie ma pośpiechu.

Słyszając cichy dźwięk za plecami, odwrócił się w stronę drzwi...

...tuż za nim stał syn Sullivana z pistoletem, który wziął ze stołu kuchennego.

Maguire nieraz już bywał w tarapatach - na przykład wtedy w apartamencie Rance'a - ale w każdej z tych sytuacji miał broń. Nagie zrozumiał, że śmierć jest fascynująca tylko wtedy, gdy nie doświadcza się jej osobiście.

Michael zorientował się, że coś jest nie tak. w chwili, kiedy pies podbiegł do niego na plaży i chłopiec zobaczył na jego łapach rozmazaną krew.

Biegł w stronę domu, gdy usłyszał strzały...

I teraz stał z podniesionym pistoletem, drżąc ze strachu nie o siebie, tylko o ojca - jego rannego ojca, krwawiącego na podłodze, bezbronnego, półprzytomnego... poległego żołnierza. Oczywiście dopuszczał do siebie myśl, że coś takiego może go spotkać; mimo to, widząc ten straszny obraz, zastanawiał się, jak to możliwe. Czyżby był to kolejny koszmar?

Tak czy inaczej, był jego uczestnikiem, a ojciec miał kłopoty.

Maguire. co rzadko mu się zdarzało, mrugnął oczami.

- Daj pistolet.

Pistolet drżał w dłoni Michaela.

- Michael? - Pokryty bliznami mężczyzna miał podniesione ręce i uśmiechał się nieprzyjemnie.

Michael mierzył prosto w Harlena.

Mężczyzna próbował zachować spokój. Powoli podszedł do chłopca.

- Michael. daj mi pistolet.

Chłopiec przeniósł wzrok na ojca. szukając rady. Mam go zastrzelić, tato? - pytał oczami, ale reakcja taty, nieokreślony ruch głową, nic mu nie powiedziała.

- Proszę... mały - nie ustępował mężczyzna ze strachem wypisanym na zrytej bliznami twarzy.

Tak wiele uczuć przenikało chłopca - wściekłość, determinacja, strach, desperacja... W końcu jego palec zacisnął się na spuście.

W małym pomieszczeniu rozbrzmiał strzał - cichy trzask głośniejszy od uderzenia gromu.

Mężczyzna spojrzął na Michaela wciąż szaleńczo rozbieranymi oczami; potem jakby zgasło światło, zagościła w nich pustka i padł na ziemię jak marionetka z poprzecinanymi sznurkami. Martwy, leżał niezgrabnie rozwalony na podłodze.

Michael, który nie strzelił, spojrzął na swojego rannego ojca. Dym unosił się z lufy czterdziestki piątki w dłoni Sullivana, układając się w znak zapytania.

- Nie mogłem, tato... - Chłopcu było wstyd.
- Ale na twarzy ojca pojawił się cień uśmiechu.
- Wiem.

Michael wziął ojca w ramiona i trzymał go, nie za mocno, by nie zadać mu bólu: tulił jego głowę do piersi, krew lała się na niego, ale nie zważał na to.

Rozejrzał się: trup na podłodze, zapach kordytu w powietrzu, ojciec we krwi.

Tata coś mówił; Michael musiał się nachylić, żeby go usłyszeć.

- Przepraszani - raz po razie powtarzał ojciec.

I umarł w ramionach syna; a ten jeszcze długo kołysał go jak dziecko, które nie może zasnąć.

Za oknem, w którym szeleścił wiatr zmieniający przezroczyste zasłony w duchy, spokojna błękitna tafla jeziora połyskiwała w konającym słońcu.

Kiedy Michael wreszcie odsunął się od ojca i delikatnie ułożył go na linoleum, lekko pomarszczone jezioro zalewał już biały blask księżyca. Zdjął tacie płaszcz, zwinął go w

prowizoryczną poduszkę i podłożył mu pod głowę, by mógł lepiej odpocząć.

Wtedy po raz ostatni miałem pistolet w ręku. W tamtej chwili zrozumiałem, że Michael Sullivan najbardziej bał się nie śmierci, lecz tego, że syn pójdzie w jego ślady.

Ludzie zawsze myśleli, że dorastałem na farmie i może w pewnym sensie tak było. Przedtem jednak, w ciągu tych sześciu tygodni podróży z Michaelem Sullivanem w zimie 1931 roku, przeżyłem tyle, że starczyłoby tego na całe życie. Kiedy ludzie pytają mnie, czy był przyzwoitym człowiekiem a/bo czy w ogóle nie było w nim dobra, nie odpowiadam. Mówię tylko, że był moim ojcem.

PODZIĘKOWANIA

Jako autor *graphic novel Droga do zatracenia*, znalazłem się w niezwyklej sytuacji; napisałem książkę na podstawie scenariusza... opartego na moim własnym utworze.

Tym, którym termin *graphic Move* jest obcy, wyjaśniam: to powieść ilustrowana. Obawiałem się, że komiks nie dotrze do czytelników, którzy nie interesują się tego rodzaju środkiem wyrazu... choć to godne pożałowania, jako że jest to równie żywotne i fascynujące medium jak filmy.

Zrobiłem, co w mojej mocy. by dochować wierności znakomitemu scenariuszowi Davida Selfa, i jestem mu szczególnie wdzięczny za uwypuklenie ojcowskiego stosunku Johna Rooneya do Mike'a Sullivana. Filmowcy zdecydowali się wprowadzić elementy fikcji, dlatego też zmienili nazwisko Johna Looneya - w latach 20. autentycznego „ojca chrzestnego” na Rock Island - na Rooney, a ja to uszanowałem. Zarówno John, jak i Connor Looney istnieli naprawdę, tego ostatniego rzeczywiście nazywano Stukniętym Connorem, a moja *graphic novel* jest luźno oparta na faktach.

Na historię Looneyów natknąłem się podczas zbierania materiałów do *Tnie Detectire* (Prawdziwy detektyw, 1983), pierwszej z powieści o Nathanie Hellerze, jednej z trzech książek składających się na moją trylogię o Franku Nittim; seria o Hellerze jest kontynuowana, podobnie jak pisany nieregularnie cykl powieści opartych na historii Elliota Nessa. Mój współpracownik, George Hagenauer, przekazywał swoje informacje i przemyślenia podczas powstawania także tej powieści.

Czas akcji mojej pierwotnej opowieści jest zgodny z czasem historycznym, w którym żyli Al Capone i Frank Nitti; jednak duża część materiałów o Looneyach pochodzi z lat 20. (choć organizacja Looneya i gang Capone rzeczywiście były ze sobą powiązane). Wprowadzono także kilka innych zmian; spodobało mi się to, jak wykorzystano w filmie Samotnego Jeźdźca (w *graphic novel* wspominałem wyłącznie Toma Miksa), więc zachowałem tę postać - choć zadebiutowała w radiu dopiero w styczniu 1933 roku.

Rock Island: Yesterday, Today and Tomorrow (Rock Island: wczoraj, dzisiaj i jutro, 1988) Elsner była głównym źródłem informacji dla *graphic novel*. Niestrudzona pani Elsner dostarczyła także inne materiały historyczne i niezwykle mi pomogła w ciężkich chwilach (nasz wspólny przyjaciel, pisarz David Collins, zmarł w czasie, gdy powstawała ta książka).

Dziękuję też Billowi Wundrumowi z „Quad City Times”. To Bili pierwszy zainteresował mnie Johnem Looneyem, kiedy zwróciłem się do niego podczas zbierania

materiałów do książki o Nathanie Hellerze; przy tej powieści korzystałem z artykułów Billa, a także kilku jego lokalnie wydanych książek o Quad Cities (za czasów Johna Looneya było jeszcze Tri - Cities). Notabene, Bili i ja spotkaliśmy się w hotelu Lexington tej nocy, kiedy Geraldo otworzył sejf Ala Capone.

Wśród wielu źródeł informacji o gangach, z których korzystałem, były: *Capone* (1971) Johna Koblera, *Capone* (1994) Lawrence'a Bergreena, *The Legacy of Al Capone* (Spuścizna Ala Capone, 1975) George'a Murraya i *Al Capone* (1992) Roberta J. Schoenberga. Pomogły mi też rozmaite przewodniki po stanach, przez które podróżują Sullivanowie, a także doskonały album historyczny / *Remember Distinctly: A Family Album of the American People in the Years of Peace: 1918 to Pearl Harbor* (Pamiętam wyraźnie. Album rodzinny Amerykanów w latach pokoju; od 1918 roku do Pearl Harbor, 1947) autorstwa Agnes Rogers i Fredericka Lewisa Allena. Wykorzystałem również artykuł *Smashing Rock Islands Reign of Terror* (Burząc rządy terroru na Rock Island) O.F. Claybaugha z grudniowego numeru „Master Detective” z 1930 roku.

Chciałbym podziękować mojemu redaktorowi Danowi Slaterowi z NAL, na którym zawsze mogłem polegać. Także niezmordowane wysiłki moich przyjaciół Dominicka Abela, mojego agenta literackiego, i Kena Levina, prawnika, były większe, niż ktokolwiek mógł tego wymagać.

Dean Zanuck i jego ojciec Richard - producenci filmu *Droga do zatracenia* - również udzielili mi bezcennego wsparcia.

Chciałbym także wspomnieć o ilustratorze *graphic novel* Richardzie Piersie Raynerze. który tak cudownie ożywił tę historię; jego artyzm w dużym stopniu przyczynił się do zainteresowania Hollywood tym materiałem. Dziękuję też Andrew Helferowi, redaktorowi tej *graphic novel*, którego wyczucie fabuły było bezbłędne; bez jego ostatniej historii i jego wiary we mnie byłbym tu, gdzie jestem teraz. Dziękuję Paulowi Levitzowi z DC Comics za opublikowanie tej powieści ilustrowanej i pomoc w przedarciu się przez gąszcz przepisów, co umożliwiło napisanie jej książkowej wersji. Zachęcam czytelników, którym spodobała się ta powieść - i/lub filmowa wersja Sama Mendesa - by poszukali jej pierwowzoru.

Pragnę też podziękować mojej żonie Barbarze Collins i synowi Nathanowi za ich miłość, inspirację i wsparcie.

Max Allan Collins, znany amerykański pisarz, scenarzysta i reżyser, dwukrotny laureat Best Novel Shamus Award przyznanej przez Private Eye Writers of America (nominację do tej prestiżowej nagrody otrzymał aż dziewięć razy!), jest autorem poczytnych powieści opartych na scenariuszach hitów filmowych: Szeregowiec Ryan, Na linii ognia i Air

Force One. Napisał scenariusze znanych komiksów, m.in. Dick Trący i Batman. Max Allan Collins jest również twórcą ilustrowanej przez Richarda Piersa Raynera *graphic novel* Droga do zatracenia, która stała się podstawą scenariusza filmu.

Ekranizację Drogi do zatracenia w reżyserii Sama Mendesa porównuje się z największymi osiągnięciami gatunku: Ojcem chrestnym i Chłopcami z ferajny.

Krytyka przewiduje, że film może zdobyć nawet osiem Oscarów 2002!

Mówią o nim Anioł Śmierci...

Naprawdę nazywa się Michael Sullivan. Zawodowy zabójca. Wzorowy ojciec dla swych synów. Ktoś, kto zrozumiał, że w przestępczym świecie lat 30. lojalność nie istnieje - tę ponurą lekcję odebrał pewnej deszczowej nocy, kiedy zabito jego rodzinę. Teraz wraz z jedynym dzieckiem, które ocalało, staje twarzą w twarz z bezwzględnym gangiem - by dopełnić zemsty i uratować syna...

DROGA DO ZATRACENIA

MAX ALLAN COLLINS

Na podstawie scenariusza DAVIDA SELFA

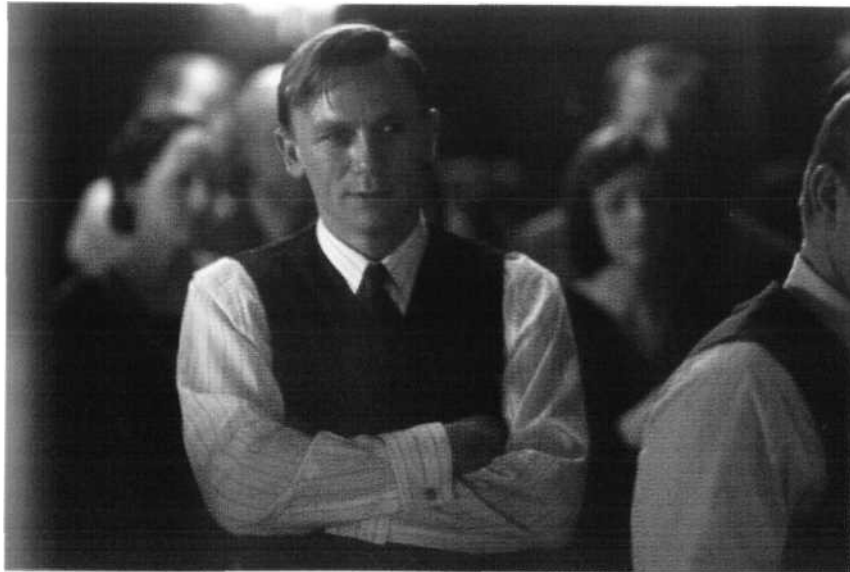
film w reżyserii SAMA MENDESA



Sullivan i Rooney przygrywają na stypie po pogrzebie Danny'ego McGovernna.



John Rooney przechodzi do rzeczy.



Connor, nieobliczalny syn Johna Rooneya.



Michael junior rozwozi gazety.



Michael junior poznaje straszną prawdę o fachu ojca.



Harlen Maguire uwiecznia swoje kolejne makabryczne dzieło.



Anioł Śmierci modli się za tych, którzy odeszli.



Sullivan uczy syna, jak być szoferem gangstera.



Anioł Śmierci składa następną wizytę, tym razem grymaśnemu księgowemu gangu Alexandrowi Rance'owi.



Michael Sullivan pociesza syna w kolejnym pokoju hotelowym.



Michael junior z niepokojem czeka na powrót ojca.



Reżyser *Drogi do zatracenia*, Sam Mendes.